

P. 20692

Wyd. 1.000, 10.000. Warszawa

duplikat

NA SZLAKU KRESOWEJ



NR6

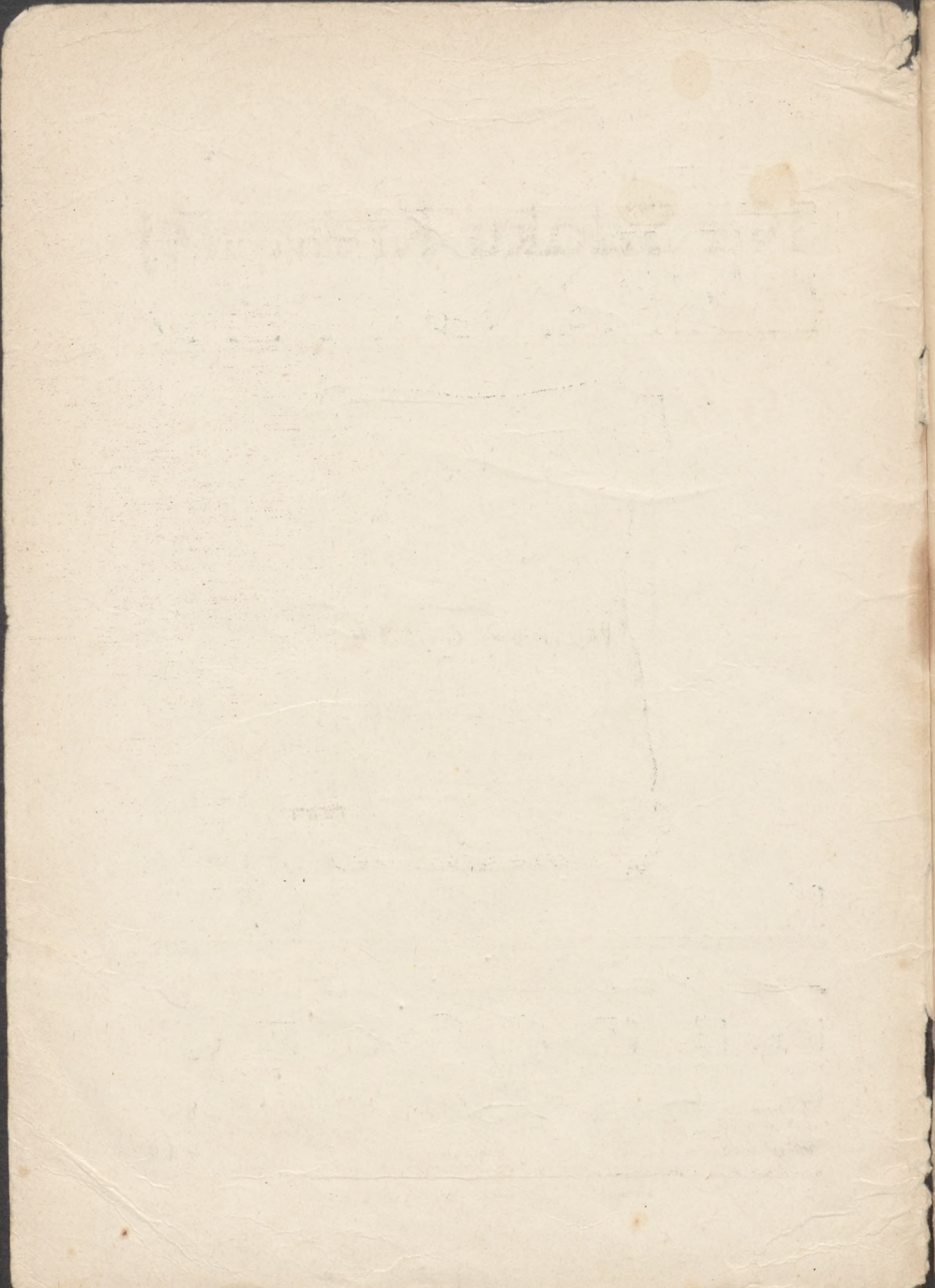
(24)

Ref. Kult. i Prasy

KRESOWEJ

DYW. PIECHOTY

Włochy - Lipiec - 1945



~~Publ. m. st. Warszawy~~
DAR

Na Szlaku Kresowej

Numer 6 (24)



Referat Kultury i Prasy Kresowej Dywizji Piechoty

Włochy

*

Lipiec

*

1945

Celina Busza

Na Szlaku Kresowej

Redaktor: *Witold Zahorski*

Numer 8 (24)



Relacja Kultury i Pracy Kresowej Działalność Plechoty
1945

Adres Redakcji: C. M. F. Polish Forces 302

Tłoczono w Drukarni Polowej A. P.

Orędzie Rządu R. P. do Narodu Polskiego

W dniu 26 czerwca 1945 roku Rząd Rzeczypospolitej Polskiej ogłosił następujące orędzie do Narodu Polskiego:

Polacy! Wbrew wszelkim oczekiwaniom w załatwianiu sprawy polskiej zwyciężyły nie zasady sprawiedliwości i zobowiązania wynikające z traktatów międzynarodowych, ale fakty dokonane, narzucone z zewnątrz. Samozwańcza grupa, złożona z komunistów i zagranicznych agentów ma być „rządem polskim”. Znalazło się kilku Polaków, którzy uznali za możliwe przyłożyć do tego rękę. Zrobili to w chwili, gdy wszyscy polityczni i wojskowi przywódcy pięcioletniej bohaterskiej walki z Niemcami zostali oskarżeni przed moskiewskim trybunałem i zasądzeni według znanych sowieckich wzorów.

Sprzymierzone rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych mają uznać ten „prowizoryczny rząd”, który sam siebie nazywa, jakby dodając zniewagę do krzywdy, „rządem jedności narodowej” i mają wycofać uznanie prawowitego rządu Rzeczypospolitej Polskiej, wiernego sprzymierzeńca w czasie pięciu lat wojny o wolność narodów. W takiej chwili jest naszym obowiązkiem raz jeszcze spojrzeć na szlak, którym szliśmy dotychczas, i na drogę, którą musimy iść w przyszłości.

W ciągu całej obecnej wojny naród polski walczył szczególnie czynnie, nie uchylił się i nie uchyli przed żadną ofiarą. Stanowisko swoje zajął świadomie i dobrowolnie i miał tylko jeden cel na oku. *Tym celem była odbudowa pełnej niepodległości Polski w jej przedwojennych granicach.* Bo dla Polaków życie w wolności jest najwyższym celem na ziemi. Uporczywie pracowaliśmy nad obaleniem tyranii, która zagrażała nam i całemu światu.

Za decyzję powziętą dobrowolnie naród polski zapłacił cenę najwyższą z możliwych. Żaden inny z narodów zjednoczonych nie poniósł tak ciężkich ofiar ani nie przyczynił się tak bardzo do wspólnej sprawy w stosunku do jego zasobów i możliwości.

Jedną z zasad naszej cywilizacji jest, że rząd jest wyrazem i sługą narodowej woli. Przestaje być rządem, gdy znajdzie się poza życiem narodowym. Dlatego każdy rząd polski traci związek z własnym narodem, *jeżeli nie broni niepodległości polskiej i jej terytorium*, które stanowi ostateczną gwarancję tej niepodległości, — jak i *zasad moralnych i cywilizacyjnych*, które złożyły się na naród i podtrzymują jego ducha. Istnieje pod tym względem pewne *minimum*, którego nie może żaden rząd polski pominąć lub odrzucić. Mówiono nam często że nawet większe ustępstwa są potrzebne: zarzucano nam brak politycznego wyrobienia i nierozsądny upór. *Nikt*

jednak nie może oczekiwać, że naród polski popełni samobójstwo w imię rzekomego umiarkowania i nadomiar wszystkiego zbeczcześci swoje dobre imię.

Obecny rząd polski ukonstytuował się dnia 29 listopada 1944 r. w momencie, gdy polityka polska osiągnęła granice swych ustępstw i gdy każdy dalszy krok w tym kierunku groził rzuceniem naszego kraju w przepaść. Kierownicze stanowiska w tym rządzie zostały objęte przez wybitnych przywódców polskiego ruchu podziemnego, którzy byli najlepszymi wyrazicielami woli i zamiarów ludności walczącej w naszym kraju. Rząd ten posiadał zaufanie i poparcie ze strony polskich sił zbrojnych, które swą krwią zapisały chlubne karty w historii wojny obecnej. Rząd ten wie, że może mówić w ich imieniu, jak również w imieniu wielu Polaków rozrzuconych obecnie po całym świecie.

Obecny rząd polski często jest sarkastycznie nazywany rządem upartego przeciwstawiania się. Tym określeniem może się tylko szczycić. Istotnie, jest to rząd oporu, oporu przeciwko wszystkim zakusom zmierzającym ku zniszczeniu niepodległości Polski.

Rząd polski nie może się zgodzić na oderwanie połowy terytorium narodu polskiego, łącznie z miastami tak drogimi dla całego narodu polskiego, jak Lwów i Wilno.

Rząd polski nie może się zgodzić na narzucenie Polsce ustroju socjalnego, obcego jej podstawowym pojęciom pokoju, zasadom prawa i tradycjom moralnym.

Rząd polski nie może się zgodzić na uznanie żadnych praw samozwańczego komitetu, złożonego przeważnie z członków partii komunistycznej i podległego obcemu państwu.

Rząd polski nie może się zgodzić na niszczenie prawnego porządku, na którym jest oparta egzystencja państwa polskiego.

Rząd polski nie może się zgodzić na zerwanie tysiącletnich więzów pomiędzy Polską a światem zachodniej kultury i cywilizacji.

Decyzje te zostały powzięte przez rząd polski w pełnej świadomości odpowiedzialności i ich powagi. Nie można postąpić inaczej, chociaż znany jest bieg wypadków w okresie, gdy te decyzje zostały powzięte. Rząd polski nie został powołany przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej do wzięcia udziału w likwidacji niepodległości Polski.

Polska była pierwszą, która chwyciła za broń w walce z Niemcami, dążącymi do panowania nad światem. Zawsze pragnęła przyjaznego współżycia z Rosją i odrzucała wszystkie niemieckie sugestie do wspólnego wystąpienia przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Walczyła ona nawet wtedy, gdy inne mocarstwa współdziałały z Hitlerem. Polska nigdy nie miała żadnych wątpliwości co do swej wierności dla sprzymierzeńców i w dniach krytycznych 1940 r. stanęła u boku W. Brytanii w jej samotnej walce. W wielkiej bitwie powietrznej o W. Brytanię, która to bitwa zadecydowała o wojnie,

lotnikom polskim przypada część zwycięstwa sprzymierzeńców. Polacy nie zawiedli gościnności i przyjaźni okazanej im przez ludność brytyjską. W długie i pełne trudów lata wojny naród polski ciężko walczył i wierzył.

Dziś na zwęglonych szczątkach Rzeczypospolitej Polskiej powstaje całkiem nowy twór, bez granic należnych Polsce, bez legalnej i konstytucyjnej ciągłości tradycji, w których Polska żyła i rozwijała się przez tysiąc lat.

Prawowita władza Rzeczypospolitej Polskiej nie może uznać tego narzuconego tworu. Prezydent i rząd Rzeczypospolitej Polskiej są mandatariuszami woli narodu, aż do chwili, gdy wolne i rzetelne wybory w Polsce zostaną przeprowadzone. Wydaje się, że czołowi mężowie stanu Zachodu opierają swe nadzieje na obietnicach Jałty, iż w Polsce zostaną przeprowadzone „wolne i nieskrępowane wybory”. Jest rzeczą jasną, że takie wybory w Polsce nie będą możliwe, dopóki wojska sowieckie i sowiecka policja polityczna tam pozostaje, dopóki nie ma wolności prasy, zebrań i wolności stowarzyszania się, dopóki nie zostanie usunięta żelazna przegroda oddzielająca Polskę od świata.

Nawet gdyby uznanie rządu polskiego zostało cofnięte, nie przestanie on być prawomocnym rządem Polski. Jest on rządem prawomocnym nie dlatego, że jest uznawany przez inne mocarstwa, lecz dlatego, że wyraża wolę narodu polskiego, dlatego, że jest utworzony zgodnie z prawami Rzeczypospolitej Polskiej.

W chwili obecnej nie możemy wam wiele obiecać co do najbliższej przyszłości. Chcielibyśmy przypomnieć słowa Churchilla, wyrzeczone w dniach, gdy jego kraj znajdował się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nie możemy nic obiecać ani dziś, ani jutro, oprócz „znoju, potu i łez”. Ale nasze wysiłki nie będą daremne. Wartości moralne naszej cywilizacji, obecnie podentanej, zostaną odrodzone i w końcu zwyciężą. Z całej swej mocy musimy dążyć do przyspieszenia tego odrodzenia. W tym okresie każdy Polak ma przed sobą doniosłe zadanie. Pierwszym obowiązkiem jest zachowanie godności naszego narodu przez wykazanie dyscypliny i opanowania, przez solidarność, przez nieskazitelną i życie publicznego i prywatnego. Na każdym stanowisku i na każdym polu Polacy muszą dać przykład nieugiętości, pracy i twórczego wysiłku. Zdajemy sobie sprawę, że nasze słowa dochodzą do mężczyzn i kobiet, którzy bardzo cierpieli i są ogromnie wyczerpani. Przyszły los Polaków nie wszędzie będzie jednakowy. Gdy większa część będzie znosić okropną rzeczywistość systemu policyjnego, inni pozostaną w wolnym świecie, aby być rzecznikami tych, co muszą milczeć.

Droga naszej przyszłości, jest trudna, lecz u kresu naszej wędrówki zobaczymy Polskę, za którą wszyscy walczyliśmy z całego serca: Polskę wolną i niepodległą, Polskę wolności i sprawiedliwości, Polskę, w której zwycięży miłość Boga i ludzi.

Polish Government Appeals to the Polish Nation

On June 26th. Polish Government issued following appeal to Polish Nation.

„Poles — Against all expectations not principles of justice and pledges resulting from international treaties have won the day in settling the Polish problem but accomplished facts imposed from outside. A self appointed political body composed of communists and foreign agents is to become „— the Government —”. A few Poles have been found who have considered it as possible for them to take a hand in this. They have done so at the moment when all political and military leaders of five years heroic Polish struggle against Germany have been charged before Moscow tribunal and been tried in accordance with the well known Soviet pattern.

Allied Governments of Great Britain and United States are to recognize this „Provisional Government” which calls itself as if to add insult to injury „Government of National Unity” and are to withdraw their recognition from the lawful government of the Polish Republic, their faithful ally during five years of war for freedom of Nations. In this moment it is our duty to review once more the path which we have followed so far and the road which we must follow in future.

During the whole present war the Polish Nation has fought exceptionally actively and has not shrunk from any sacrifices. Its attitude was consciously and voluntarily chosen and it had one purpose in view. This purpose was to restore full independence to Poland in her pre-war frontiers. For Poles the life in freedom is the highest goal on earth. We have consistently worked to smash tyranny which threatened us and the whole world.

For the decisions which it had reached of its own free will the Polish Nation has paid the highest possible price. No other member of the United Nations has borne such heavy sacrifices or contributed so much to the common cause, in relation to its resources and possibilities.

It is one of principles of our civilization that the government is the expression and the servant of nations will. It ceases to be a government when it finds itself off National life. Thus every Polish government must be at variance with its own people if it fails to defend Poland's independence, territory which forms an ultimate guarantee of that independence and moral and civilizing principles which have formed the Nation and maintain its spirit alive. There is in this respect a certain minimum which no Polish government can afford to ignore or repudiate. We were often told that ever greater concessions were needed; we were charged with the lack of political acumen and unintelligent stubbornness. No one could expect however that the Polish Nation should commit suicide in the name of alleged reasonableness and on the top of that should besmear its good name. The present Polish government was constituted on 29 November 1944 at the moment when the Polish policy had reached limit of its concessions and when every further step in that direction threatened to throw our country into abyss. Leading Cabinet offices in that Government were assumed by prominent leaders of the Polish Underground Movement who were the best spokesmen of the will and the aims of people fighting in our home country. This government also enjoyed confidence and support of the Polish Armed Forces which have written with their blood such fine page in the history of the present war. This government knows that it can speak on their behalf no less than on behalf of many Poles now scattered throughout the world.

The present Polish Government has been often called in sarcasm — government of stubborn resistance. This appellation is accepted by it with pride. Indeed it is a government of resistance, of resistance against all attempts to destroy the independence of Poland.

The Polish government could not agree to annexation of half of the territory of the Polish Nation including the towns so dear to whole Polish Nation, such as Lwów and Wilno.

The Polish Government could not agree to the imposition on Poland of social regime alien to her fundamental concepts of freedom, lawful order and moral traditions.

The Polish Government could not agree to grant any rights to the self-appointed committee composed of members of numerically weak communist party and subordinated to foreign power.

The Polish government could not agree to the destruction of legal order on which the existence of the Polish State was based.

The Polish Government could not agree to severing of thousand years old links between Poland and the world of western culture and civilization.

These decisions were taken by the Polish Government fully conscious of responsibility it bore. It could not have acted differently if it had known at time when it took these decisions the present course of events. The Polish Government was not appointed by the President of the Polish Republic to take hand in the liquidation of the independence of Poland.

Poland was first to fight with the arms in hand the German bid for the world domination. She always desired friendly co-existence with Russia and rejected all German suggestions of a joint attack upon the Soviet Union. She fought at a time when other powers were still practising with Hitler. She never had any misgivings in her faithfulness to her Allies and in the crucial days of 1940 she stood by the side of Great Britain in her lonely fight. In great air Battle of Britain which decided the issue of the war the Polish airmen contributed their bit to the Allied Victory. The Poles have not abused the friendly hospitality and friendship which was shown to them by the people of Britain. During the long and arduous years of war the Polish Nation endured, fought and believed.

To-day over the charred remains of the Polish Republic an entirely new body is to be constituted, without frontiers which are due to Poland, without legal and constitutional continuity, deprived of traditions in which Poland lived and thrived for thousand years.

Lawful authorities of the Polish Republic cannot recognize such imposed solution. The President and the Government of the Polish Republic are mandatories of the national will up to the moment when free and honest elections are held in Poland. It seems that the leading statesmen of the West are basing their hope on the Yalta promise in Poland of „free and unfettered elections”. It is clear, however, that no such elections are possible as long as Soviet forces and Soviet political police remain in Poland, as long as there is no freedom of political life, of press, of meeting and association and as long as iron screen separating Poland from the world is not lifted.

Even when recognition will be withdrawn from it, the Polish Government will not cease to be the lawful government of Poland. It is the lawful government not because it is recognized by other powers but because it expressed the will of the Polish people and because it has been constituted in accordance with the laws of the Polish Republic.

While announcing this we cannot promise you much for the nearest future. We should like to recall the words of Churchill uttered in the days when his country was in deadly peril. We cannot promise you anything to-day and to-morrow, except „toil, sweat and tears”. Our efforts however will not be in

vain. Moral values of our civilization now trodden upon will undergo a rebirth and finally win. With all our strength we must work for this rebirth and speed it up. In this period every Pole will have to face particular task. It will be their first duty to keep up the dignity of our people by their discipline and self-control, by their solidarity and by their unblemished record in their public and private lives. At every post and in every field they must give example of relentless toil and of creative effort.

We are fully aware that our words are reaching men and women who have suffered heavily and are greatly exhausted. The future fate of Poles will not be alike everywhere. While most will suffer in Poland cruel realities of Police regime, others will remain in free world to be spokesmen of those who must remain mute.

Our future path is a hard one but at the journey's end we shall see Poland for which we are all striving from the bottom of our hearts; Poland free and independent, Poland of liberty and justice, Poland in which the love of God and man shall prevail".

Appello del Governo Polacco

Il 26 Giugno 1945 il Governo della Repubblica Polacca ha emanato il seguente appello alla Nazione Polacca:

Polacchi!

Malgrado le nostre aspettative, nella soluzione della questione polacca hanno vinto non quei principi di giustizia e gli obblighi derivati dai trattati internazionali, ma i fatti compiuti imposti dall'esterno. Un gruppo illegale, formato di comunisti e di agenti stranieri, dovrà essere il „governo polacco". Si sono trovati dei Polacchi che hanno ritenuto opportuno prestare a tanto un appoggio. Hanno fatto questo nel momento in cui tutti i capi politici e militari dell'eroica lotta, durata cinque anni, contro i Tedeschi, venivano accusati davanti al tribunale di Mosca e giudicati in base alle ben note misure sovietiche.

I governi Alleati della Gran Bretagna e degli Stati Uniti, dovranno riconoscere quel „governo provvisorio" il quale si autodefinisce, quasi aggiungendo l'offesa all'ingiustizia, „governo di unità nazionale", e dovranno disconoscere il legale Governo della Repubblica Polacca e il fedele alleato, durante cinque anni di guerra combattuta per la libertà delle nazioni. In un tale momento è nostro dovere volgersi ancora una volta al solco che abbiamo seguito finora ed alla via che dovremo seguire nel futuro.

Durante l'attuale guerra, la Nazione Polacca ha lottato con particolare fervore, non ha esitato e non piega dinanzi a nessun sacrificio. Ha assunto il suo atteggiamento coscientemente e spontaneamente e mirava soltanto ad un unico scopo. Questo scopo era la realizzazione di una piena indipendenza della Polonia nei suoi confini d'anteguerra. Poichè per i Polacchi vivere in libertà è la più alta delle mire terrene. Abbiamo con pertinacia lavorato per spazzar via la tirannia, che minacciava noi e il mondo intero.

Per una decisivone spontaneamente presa, il popolo polacco ha pagato il più alto prezzo immaginabile. Nessun'altra delle nazioni alleate non ha subito perdite altrettanto gravi, nè ha dato sì grande apporto alla causa comune, relativamente ai suoi mezzi e alle sue possibilità.

Uno dei principi della nostra civiltà si è che, il governo è espressione e servo della volontà nazionale. Cessa di essere un governo allorchè si estrania dalla vita nazionale. Per questa ragione ogni governo polacco si allontana dal proprio popolo se non difende la indipendenza della Polonia e del suo territorio il quale è garanzia definitiva di quella indipendenza, come pure dei principi della morale e della civilizzazione, che formano la nazione e mantengono alto il suo spirito. Da questo punto di vista esiste un

certo minimum che nessun governo polacco può ignorare o scartare. C'è stato spesso detto, che anche le maggiori concessioni sono necessarie: ci è stata rimproverata mancanza di maturità politica e irragionevole ostinazione. Nessuno tuttavia potrà aspettarsi che la Nazione Polacca voglia suicidarsi in nome di una cosiddetta temperanza, e per di più disonorare il suo buon nome.

L'attuale Governo Polacco si è costituito il 29 Novembre 1944 in un momento in cui la politica polacca aveva raggiunto il limite massimo delle sue concessioni ed in cui qualunque altro passo su quella via avrebbe minacciato di gettare il nostro Paese in un abisso. I posti di comando in quel governo furono occupati da eccellenti capi del Movimento Sotterraneo Polacco, i quali erano i migliori esponenti della volontà e delle aspirazioni della popolazione che lottava nel nostro Paese. Questo governo possedeva la fiducia e l'appoggio delle Forze Armate Polacche, che con il loro sangue hanno scritto pagine di gloria nella storia della guerra attuale. Questo Governo sa di poter parlare in loro nome, come pure in nome di innumerevoli Polacchi dispersi nel momento presente per tutto il mondo.

L'attuale Governo Polacco è spesso con sarcasmo definito governo di ostinata opposizione. Esso può soltanto andar fiero di una tale definizione. In realtà è questo un governo di opposizione, opposizione a qualsiasi tentativo che miri a distruggere l'indipendenza della Polonia.

Il Governo Polacco non può consentire alla perdita di una metà del territorio Polacco, insieme a città così care a tutto il popolo polacco, come lo sono Leopoli e Wilno.

Il Governo Polacco non può consentire a che s'imponga alla Polonia un regime sociale estraneo al suo basilare concetto di pace, ai principi della legge ed alle tradizioni morali.

Il Governo Polacco non può consentire di riconoscere diritto alcuno al Comitato illegale, formato prevalentemente di elementi del partito comunista e sottomesso ad uno Stato straniero.

Il Governo Polacco non può acconsentire all'abolizione dell'ordine legale su cui poggia l'esistenza dello Stato Polacco.

Il Governo Polacco non può acconsentire a rompere i legami millenari fra la Polonia e il mondo della cultura e della civiltà occidentale.

Queste decisioni sono state prese dal Governo Polacco con piena coscienza della responsabilità e della loro importanza. Non è possibile agire altrimenti, benchè sia noto il corso degli eventi nel periodo in cui queste decisioni sono state prese. Il Governo Polacco non è stato autorizzato dal Presidente della Repubblica Polacca a prendere parte alla liquidazione dell'indipendenza della Polonia.

La Polonia è stata la prima a prendere le armi nella lotta contro i tedeschi, che aspiravano alla dominazione sul mondo. Essa ha sempre desiderato amichevoli relazioni con la Russia ed ha respinto tutti gli allettamenti tedeschi per una comune azione contro l'Unione Sovietica. Essa ha combattuto perfino allorchè altre potenze collaboravano con Hitler. La Polonia non ha mai esitato un attimo riguardo alla sua fedeltà per gli Alleati e nei critici giorni del 1940 si è trovato a fianco della Gran Bretagna sola nella lotta. Nella battaglia aerea per la Gran Bretagna, battaglia, che decise le sorti della guerra, agli aviatori polacchi spetta una parte della vittoria degli Alleati. I Polacchi non hanno deluso ospitalità ed amicizia offerte loro dalla popolazione inglese. Nei lunghi e pieni di difficoltà anni di guerra, il popolo polacco ha combattuto strenuamente e ha creduto.

Oggi sui carbonizzati resti della Repubblica Polacca sorge una creazione completamente nuova senza i confini propri alla Polonia, senza continuità legale e costituzionale, senza le tradizioni nelle quali la Polonia ha vissuto e si è sviluppata durante un millennio.

Il potere legale della Repubblica Polacca non può riconoscere questa creazione. Il Presidente e il Governo della Repubblica Polacca sono mandatari della volontà della Nazione fino al mo-

mento in cui libere e leali elezioni saranno indette in Polonia. Sembra che i principali uomini di Stato dell'Occidente poggino le loro speranze sulle promesse di Yalta che in Polonia avranno luogo „libere e non influenzate elezioni”. E' evidente che simili elezioni non saranno possibili in Polonia finchè l'esercito sovietico e la polizia politica sovietica rimarranno là, finchè non ci sarà libertà di stampa, di riunioni e libertà di associazioni, finchè non sarà tolta di mezzo la ferrea barriera, che separa la Polonia dal mondo. Qualora anche si togliesse il riconoscimento al Governo Polacco questi non cesserà di essere Governo legittimo della Polonia. Esso è un Governo legittimo, non perchè sia riconosciuto da altri Stati, ma in quanto esprime la volontà del popolo polacco e in quanto è eletto in armonia con le leggi della Repubblica Polacca.

Non c'è possibile, al momento presente promettervi molto per quanto riguarda il più prossimo futuro. Vorremmo ricordare le parole di Churchill pronunciate nei giorni in cui il suo paese si trovava in pericolo mortale, non possiamo promettere niente nè oggi nè domani se non „fatica, sudore e lacrime”. Ma i nostri sforzi non saranno vani. I valori morali della nostra civiltà, in questo momento calpestati, rinasceranno e infine vinceranno. Dobbiamo con tutte le nostre forze tendere ad affrettare questa rinascita. Nel frattempo ogni polacco ha dinanzi a sè altissimi compiti. Primo dovere è di conservare l'onore della nostra nazione mostrando disciplina e padronanza di sè, mostrando solidarietà, mostrando illibatezza nella vita pubblica e privata. In ogni posizione, in ogni campo, i Polacchi devono dare esempio di fermezza, di lavoro e di volontà costruttiva. Ci rendiamo conto che le nostre parole giungono a uomini e donne che hanno molto sofferto e sono già estenuati. Il futuro destino dei Polacchi non sarà dappertutto lo stesso. Mentre la maggior parte sopporterà la terribile realtà di un sistema poliziesco, altri resteranno nel mondo libero per essere portavoce di coloro che devono tacere.

La via del nostro avvenire è difficile, ma al limite del nostro pellegrinare noi scorgiamo la Polonia per la quale noi tutti combattiamo con tutto il cuore, la Polonia libera ed indipendente, la Polonia della libertà e della giustizia, la Polonia nella quale sovravvorrà l'amore di Dio e degli uomini.



(Rys. A. Grottger)

Pamiętamy zawsze o uchwałach Rady Jedności Narodowej w Kraju, powziętych w dniu 15-go sierpnia 1944 roku, w rocznicę Cudu nad Wisłą, w ogniu Powstania Warszawskiego:

- 1. Konstytucja zapewni sprawne rządy zgodnie z wolą ludu;*
- 2. Ordynacja wyborcza do ciał ustawodawczych i samorządowych umożliwi wierne odzwierciedlenie opinii społeczeństwa;*
- 3. Ustrój rolny będzie oparty na własności indywidualnej, nie przekraczającej 50 ha;*
- 4. Kluczowe gałęzie przemysłu będą uspołecznione;*
- 5. Pracownicy i robotnicy będą mieli współudział w kierownictwie kontroli produkcji przemysłowej;*
- 6. Wszystkim obywatelom będzie zagwarantowana praca;*
- 7. Podział dochodów społecznych będzie sprawiedliwy;*
- 8. Oświata i kultura będą upowszechnione.*

... praca nad sformułowaniem pozytywnym organizacji życia po-wojennego musi przynieść daleko idącą przebudowę społeczną i gos-podarczą w oparciu o zasady ideologii chrześcijańskiej. W pracach tych należy się oprzeć na uchwałach społecznych Rady Jedności Na-rodowej w Kraju ...

Tylko z bronią w ręku!

„Przeżywamy czasy o wyjątkowym znaczeniu w dziejach ludzkości. Tylko ludzie bardzo mali nie rozumieją tego i nawracają do dawnych, przebrzmiałych rzeczy“.

(Z przemówienia gen. Wł. Andersa w dniu 29. V. 1942 r. po powrocie z Londynu do Polskich Sił Zbrojnych w Z. S. R. R.)

„Musimy się scementować w jedną wielką bryłę, my, żołnierze z Z. S. R. R. z bohaterską Brygadą spod Tobruku i z kolegami z dalekiej Anglii. Musimy wytworzyć swoje własne tradycje, a tradycjami tymi winny być wiara w Opatrzność Boską i nasze głębokie ukochanie Kraju i Narodu. To są drogowskazy naszej codziennej pracy“.

(Z rozkazu o utworzeniu Armii Polskiej na Wschodzie z dn. 14. IX. 1942 r.)

„Bijemy się wszyscy o niepodległość Polski, oraz o byt i egzystencję Narodu Polskiego. Tu już nie ma „być czy nie być“ — tu jest tylko wielka wiara i walka do końca“.

(Z przemówienia w dniu 1. XI. 1942 r. na apelu poległych).

„Zapewne, że dziś jeszcze wiele jest niejasności, że długa, ciężka i pełna ofiar droga przed nami do Polski. Wierzę jednak i Wam, żołnierze, tę wiarę przekazuję, że Opatrzność Boska, która kieruje naszymi losami, pozwoli nam wyrównać krzywdy Narodu Polskiego i dać prawo do wielkiej, pięknej i szczęśliwej przyszłości“.

(Z rozkazu wigilijnego z dnia 24. XII. 1942 r.)

„Żołnierze!

Kochani moi Bracia i Dzieci! Nadeszła chwila bitwy. Długo czekaliśmy na tę chwilę odwetu i zemsty nad odwiecznym naszym wrogiem.

Zadanie, które nam przypadło, rozstawi na cały świat imię żołnierza polskiego. W chwilach tych będą z nami myśli i serca całego Narodu, podtrzymywać nas będą duchy poległych naszych towarzyszy broni.

Niech lew mieszka w waszym sercu!“

(Z rozkazu przed bitwą o Cassino.)

Pamiętać musimy, że w wyniku tej wojny zatryumfować ma uczciwość i sprawiedliwość. Uczciwy i sprawiedliwy świat nie może być bez Polski wielkiej, silnej i niepodległej. Zgodnie z honorem do Polski takiej wrócimy jako żołnierze z bronią w ręku.

A jeżeli obcy ludzie, lub bojaźliwi pytać Was będą, o co walczyście, odpowiadajcie, że żołnierz polski bije się dziś o to samo, o co poszedł w bój pięć lat temu: aby w naszym Kraju i w świecie nigdy siła nie mogła rządzić nad prawem.“

(Z rozkazu p. o. Naczelnego Wodza z dnia 26. II. 1945 r.)



Dopełniwszy służby na stanowisku Naczelnego Wodza Generał Władysław Anders wrócił do swojej rodziny — do swego 2. Korpusu. Objął znowu nad nami bezpośrednie dowództwo. Nie ma tu serca żołnierskiego, któreby nie uderzyło żywej na ten fakt.

Panie Generale!

Tylko ludzie mali mają zwyczaj wracać do przebrzmiałych rzeczy. Jesteśmy scementowani w jedną wielką bryłę.

Bijemy się wszyscy o niepodległość Polski, oraz o byt i egzystencję Narodu Polskiego.

Głęboko w sercach naszych tkwi przekazana przez Ciebie wiara, że wyrównamy krzywdy Narodu Polskiego i damy mu prawo do wielkiej, pięknej i szczęśliwej przyszłości.

Duchy poległych towarzyszy broni podtrzymują nas.

Lew nie przestał mieszkać w naszym sercu.

Świata nie będzie bez Polski wielkiej, silnej i niepodległej. Zgodnie z honorem do Polski takiej wrócimy tylko z bronią w ręku.

Wszystko pamiętamy, wszystko rozumiemy.

Po moskiewskim szantażu

W sali sądu moskiewskiego, w sali, gdzie odbywały się słynne pokazowe procesy Bucharina, Zinowiewa, Kamieniewa, Rykowa, Radka, Tuhaczewskiego, Jagody — bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych w Europie — sądzone był Naród Polski w osobach jego 16 przedstawicieli.

Prokurator i sędziowie wszelkimi środkami usiłowali nadać rozprawie charakter sądu nad przestępcami wojennymi. Celem przewodu było nie tylko zdyskredytowanie Polskiej Armii Krajowej, ale także i zachodnich sprzymierzeńców: Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Tak bowiem, a nie inaczej należy tłumaczyć zarzuty współdziałania sądzonych, reprezentujących bez reszty Polskie Państwo Podziemne i Armię Krajową — z Niemcami, tak, a nie inaczej należy rozumieć zarzut utrzymywania kontaktu z Londynem.

Wszyscy podsądni oskarżeni byli ze słynnego 58 artykułu sowieckiego kodeksu karnego, za czyny, dokonywane na obszarze Państwa Polskiego. Rozprawa nie byłaby pełna, nie dawałaby obrazu sądownictwa sowieckiego, gdyby nie użyto do niej prowokatorów. Tak się też i stało. Zeznania ich stały się podstawą oskarżenia przy braku świadków obrony, nie mogących przybyć na rozprawę z powodu... złej pogody. Przy ich pomocy stwierdzono, że Armia Krajowa tylko rzekomo pozornie walczyła z Niemcami, a zachowywała swe

siły na walkę z Armią Czerwoną. Po sześćdziesięciu latach bezkompromisowej walce Podziemnej Polski. Po krwi i zgłiszczach Warszawy. Niestety! Tych „zachowywanych przeciw Armii Sowieckiej” sił zabrakło umęczonej Warszawie i Polsce...

Przy pomocy prowokacji, przy znanych metodach NKWD udawadniano, że podziemna walka Polski przynosiła szkodę aliantom, a pomagając Niemcom. Ani słowa oczywiście nikt nie wspomniał o Lwowie i Wilnie, które 1. i 20. dywizje Polskiej Armii Krajowej — po zdobyciu przez siebie — oddały w ręce Czerwonej Armii. Bo poco? Przecież proces — jak każdy proces w Rosji — nie miał na celu odsłonięcia prawdy, a tylko i wyłącznie był narzędziem terroru i szantażu politycznego. W Rosji nie udowadnia się winy oskarżonemu. Nawet w procesie pokazowym podsądny musi udowodnić, że nie jest winien. W Rosji sprawy i zarzuty są zawsze przygotowane z góry. Trzeba tylko znaleźć człowieka. „My dieło dadim — nam tylko czełowiek nużen” — słyszałem wielokrotnie w kraju „ponurej anegdoty”. I ludzie się znaleźli. Potrzebni. Ci, których trzeba było zdyskredytować w oczach Polski, Sprzymierzonych, w oczach świata. Sprawa i zarzuty były przygotowane już od dawna. Może jeszcze wówczas i na pewno wówczas, gdy Stalin dzielił się Polską z Ribbentropem...

Przed rozpoczęciem procesu Reuter naiwnie ludzi się, że rozprawa sądowa będzie tylko czczą formalnością. Zapadły jednak wyroki. Nie chodzi tu o to, na ile lat zostali skazani oskarżeni. Rozprawa była celem samym w sobie. Cel ten propaganda moskiewska osiągnęła i — trzeba to obiektywnie przyznać — umiejętnie wyzyskała. Dziś tenże sam Reuter donosi, że Stany Zjednoczone będą się starać o uwolnienie skazanych, ale „sprawa jest bardzo delikatnej natury”... Mamy tu jeszcze jeden obraz polityki zachodnich mocarstw wobec Rosji. Nie miejsce tu na ocenę tej polityki i przewidywanie jej skutków.

Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zerwały swego czasu rozmowy w sprawie Polski na wiadomość o aresztowaniu 16 Polaków, z których kilku proponowano na członków rządu, jaki miał być powołany na podstawie uchwały w Jałcie. A jednak rozmowy te zostały wszczęte ponownie i doprowadziły do „odprężenia” według opinii prasy anglosaskiej, a do nowej próby likwidacji niepodległości Polski według opinii Polaków.

Niemal wszyscy oskarżeni w okresie swej „zbrodniczej” — jak chce przewód sądowy — działalności otrzymali rozkazy od ówczesnego premiera rządu polskiego w Londynie, p. Mikołajczyka. I w tym samym czasie, gdy zapadły na nich wyroki — tenże p. Mikołajczyk, wyzbywszy się do reszty wszelkich skrupułów, które raczej były mu poprzednio imputowane przez jego najbliższych współpracowników i zwolenników — tenże p. Mikołajczyk nie interesom polskim służący — pertraktował z politycznymi gangsterami z lubelskiego komitetu nad utworzeniem „rządu jedności narodowej”, choć w rozmowach tych nie uczestniczyli przedstawiciele Polskiego Państwa Podziemnego i większości polskich stronnictw politycznych.

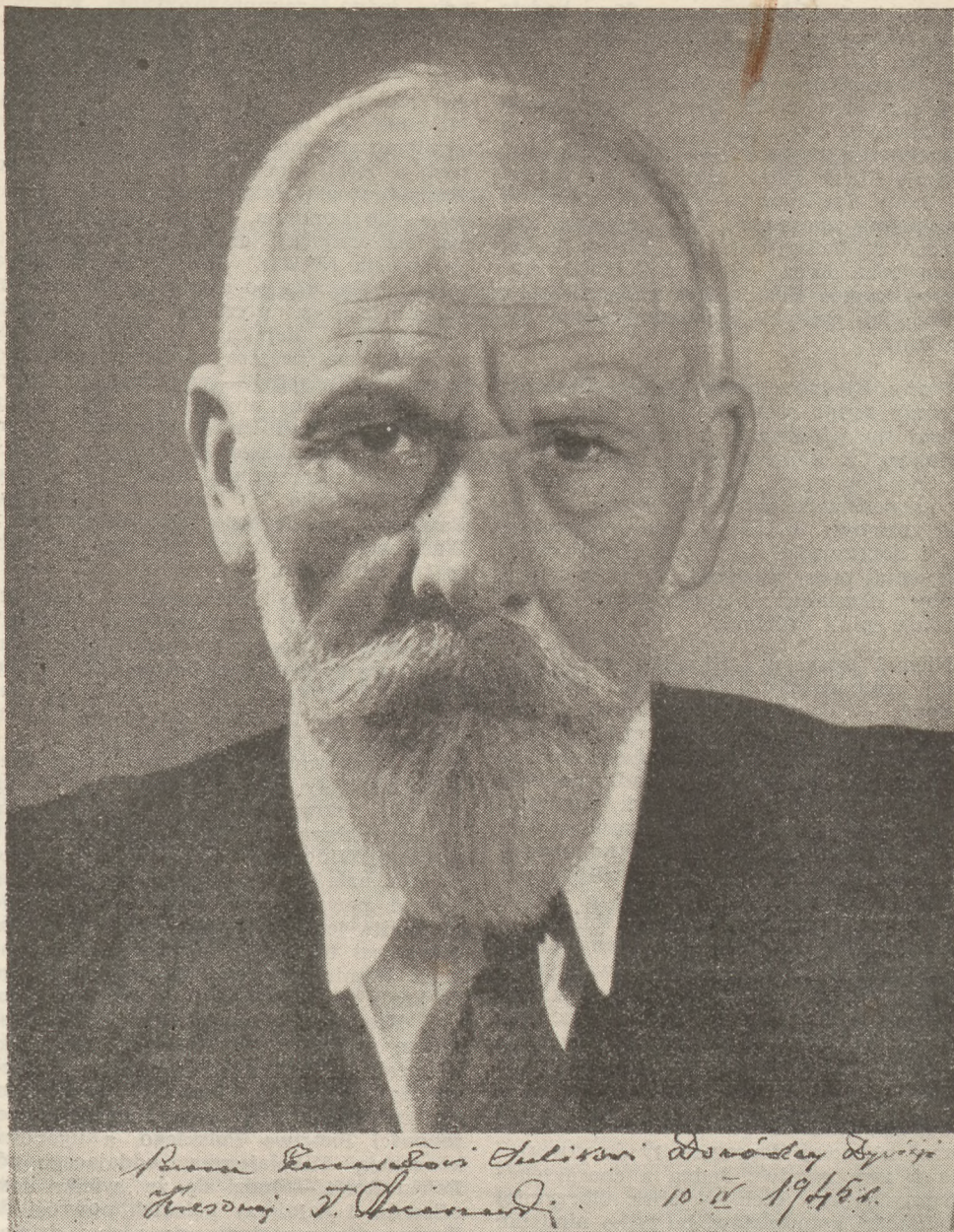
Przeprowadzone „w serdecznej atmosferze” rozmowy doprowadziły do utworzenia t. zw. „rządu”. Jedną z charakterystycznych jego cech — obok olbrzymiej większości komunistów, bo tylko nimi nie są: Stańczyk, usunięty z PPS i 4 ludowcy — jest rozbudowanie resortów według wzorów jugosłowiańskich. Nowotwór składa się bowiem z 21 ministrów, między którymi jest 16 komunistów, a będzie wkrótce i siedemnasty, bo Thugutt rozmyślił cię i woli nie wyjeżdżać z Londynu. Tak to opuszczają Mikołajczyka nawet jego najbliżsi współpracownicy. Mikołajczyk i Stańczyk, jako, że weszli na śliską drogę wysługiwania się obcym interesom wbrew interesom i woli własnego narodu, otrzymali śliskie teki:

rolnictwa i urzędzeń społecznych. Wystarczy jedno zaimprovizowane wiejskie zbiegowisko na jakimś jarmarku i jedna zorganizowana manifestacja bezrobotnych, aby obaj „ministrowie” przestali cieszyć się nie tylko tekami, ale i wolnością. Na razie, co prawda, Mikołajczykowi pozwolono pojechać w innym, niezwykłym w Rosji kierunku, bo na Zachód, do Warszawy, a później podobno jeszcze dalej — do Londynu. Ma on jeszcze poszukać na emigracji amatorów do powrotu w objęcia NKWD. Nie będzie to łatwa misja, zwłaszcza po niezbyt zachęcającym przykładzie z prezesem palestyńskich „patriotów”, niejakiem Kirtiklisem. Jak przystało na prezesa, dającego przykład członkom Związku — wyjechał on pierwszy do Warszawy, aby objąć — jeszcze raz w życiu — stanowisko wojewody, tym razem warszawskiego. Wyjechał i... wszelki ślad po nim zaginął. Jeżeli żyje jeszcze i współpracuje z kimś ze „Związku Patriotów”, to chyba tylko z Berlingiem i Wasilewską, o których tyle dziś słychać, co i o Kirtiklisie.

Komunistyczny wicepremier zrodzonego w Moskwie warszawskiego „rządu” Gomółka oświadczył przedstawicielom prasy, że wybory w Polsce, oczywiście „wolne, nieskrępowane”, odbędą się natychmiast po powrocie do kraju wojska polskiego zza granicy. Wiadomość ta nabiera niebywalej pikanterii politycznej wówczas, gdy uświadomimy sobie, że właśnie nowoutworzony „rząd” ma według uchwał w Jałcie, przeprowadzić wybory. Widocznie nie wszystko jeszcze zostało „należycie” zorganizowane i nie ma jeszcze pewności, że osiągnięta zostanie całkowita jednomyślność wyborców. Wiadomo jest także, że w obecnych warunkach termin powrotu Wojska Polskiego do kraju nie jest jeszcze dokładnie ustalony... Kiedy więc odbędą się te zapowiedziane wybory? Co prawda londyński „Times” — podkreślając lojalnie różnicę między rządem premiera Arciszewskiego, stojącego na gruncie integralności i suwerenności Państwa Polskiego, a ugodową koncepcją Mikołajczyka, oddającego pół Polski Rosji — ludzi się, że „wielka ilość oficerów i żołnierzy polskich powróci do Kraju, gdy przestanie na nich działać propaganda rządu Arciszewskiego”.

Przykro nam bardzo, że musimy prostoować niektóre pojęcia naszych zachodnich aliantów o nas. My — Wojsko Polskie — uznając całkowicie i bez zastrzeżeń nasz rząd — dajemy mu tę moc, z której czerpie on siły dla tego, co „Times” nazywa „propagandą”, czyli po prostu dla swej działalności na rzecz sprawy polskiej. Rząd — Naród — Wojsko. To takie proste!

I dlatego bez zastrzeżeń przyjmujemy odezwę Rządu Polskiego do Narodu, do któ-



rej nie mamy dodać nic, chyba tylko słowa gen. Andersa z depeszy do Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej: „Korpus będzie stał zawsze twardo i nieustępliwie tam, gdzie chodzi o niepodległość i całość Ojczyzny, tam, gdzie chodzi o honor i majestat Rzeczypospolitej”. I to też jest bardzo proste. I zrozumiałe. Jesteśmy żołnierzami. W walce o jeden cel kładły się żołnierskie głowy na polach bitew Września, Norwe-

gii, Afryki, Francji, Belgii, Holandii, na brukach Londynu i miast niemieckich, na morskich dnach, w lasach walczącego do utraty tchu Kraju, na polowiskach Italii, w Katyniu i Dachau. Jedno, niezmiennie jest pojęcie honoru i jedna jest żołnierska przysięga. Tak — jak jedna jest Polska.

Witold Zahorski

Ciała

Światu — zieleń,
światu — dobytek,
a mnie niewiele:
ciała zabitych.

Stanie armia
z martwych powstała,
świat ogarną
zabitych ciała:

ciała dzieci
z dna krematoriów
będą lecieć
ponad historią,

ciała młodzieńców,
ciała dziewcząt
w cierniowych wieńcach
przyjdą zewsząd,

ciała mężów
z ementarzy polnych
pójdą zwyciężać,
będą wolne,

ciała z obozów,
z miast rozstrzelanych,
ciała z powrozem,
ciała z raną,

ciała zagłady,
ciała krzywdy
przyjdą gromadą,
nie spoczną nigdy!

Ciałom — zwycięstwo!
Ciałom — chwała!
A mnie za ciężko
o jedno ciało.

Władysław Broniewski

PROBLEMY

O kulturę zachodnią

Chociaż w czasach ostatnich coraz częściej dają się słyszeć różne głosy jakoby wojna obecna nie była prowadzona w imię żadnej ideologii, nie zmieniają te głosy faktu, że właśnie wojna obecna, jak żadna inna z dotychczasowych, jest nasycona ideologią. Wszyscy partnerzy tych olbrzymich zmagających walczą o cele ściśle ideologiczne, co więcej — walczą o sam grunt, z którego wszelkie ideologie wyrastają: o kulturę.

Chodzi tylko o to: kto o jaką kulturę walczy?

Narody Zachodu weszły do tej wojny w obronę swojej kultury zachodniej, której naród niemiecki chciał przeciwstawić swoją „herezję” kulturalną, gdzie siła miała panować nad prawem, naród niemiecki nad wszystkimi innymi narodami świata, rozkaz fuehrera nad sumieniem jednostki.

Wojna rozpoczęła się w Polsce, czy jak mówią niektórzy, o Polskę. Tak, czy inaczej atak na kulturę zachodnią wyszedł przede wszystkim na Polskę, a naród polski spontanicznym odruchem całej swej masy walkę tę podjął.

Stało się tak dlatego, że Polska przez swe położenie geograficzne była krajem kultury zachodniej najbardziej narażonym na naciski ideologiczne zarówno koncepcji niemieckich, jak i niemniej prężnych i niemniej zachłannych wierzeń ro-

syjskich. Polska jest niejako manometrem, na którym można odczytywać zmiany ciśnień kulturalnych. Jaki typ kultury będzie w Polsce, taki — wcześniej, czy później — musi zapanować na całym świecie.

Wojna z Niemcami została skończona. Wojna rozpoczęta w imię obrony wolności jednostki, w imię sprawiedliwości, w imię poszanowania prawa, wojna prowadzona przeciw przemocy, gwałtowi i samowoli, — krótko mówiąc, wojna demokracji przeciw totalistycznej dyktaturze została zakończona zwycięstwem demokracji nad Niemcami.

Ale już pod koniec tej wojny poczęły rozlegać się głosy, że właściwie ta bezprzykładna, gigantyczna walka nie ma żadnych założeń ideologicznych, że cele ideologiczne gdzieś się zagubiły po drodze.

Dlaczego?

Bo już w końcowej fazie wojny zaczęły pojawiać się oznaki, a po jej zakończeniu stało się oczywiste, że pokonanie totalizmu niemieckiego bynajmniej nie uwalnia świat od sił holdujących ideologii przemocy i gwałtu. Że Rosja, która wbrew swej woli i chęci znalazła się w obozie koalicji antyniemieckiej nie tylko nie jest ideologicznie z państwami Zachodu związana, ale — podobnie jak pokonana Rzesza Niemiecka — wierzy w przewagę siły nad prawem. Nad gruzami powalonego Berlina wyrasta nasuwający się ze

Wschodu cień nowej dyktatury, jeszcze bardziej ponurej, a nieskończenie groźniejszej i niebezpieczniejszej, bo przykrywającej odrażające czyny mongolskiego samodzierżawia maską najbardziej demokratycznej, najbardziej „postępowej” frazeologii.

I znów Polska staje się probierzem, znów w niej ma się zdecydować, jaki typ kultury zapanuje nad światem: czy ten, chrześcijański, rzymski, budowany w ciągu wieków w sumieniu jednostki na zasadach prawa, sprawiedliwości i wolności, — czy tamten, mongolski, na bezmiernej pustaci stepów wyhodowany, który rodzi kult ślepego bałwochwalstwa wobec wszelkiej władzy i siły, przy pomocy filozofii niemieckiej w swe ideologiczne prawdy przekształcił?

My, Polacy, wierzymy, że z dzisiejszego powszechnego chaosu pojąć, z tej prawdziwej wieży Babel łatwowierności i ignorancji z jednej strony, a frazesu, podstępów i kłamstwa — z drugiej, wyprowadzą nas zwycięskie prawdy kultury chrześcijańskiej. Wierzymy tak dlatego, że wierzymy w siłę moralną polskiego narodu, w siłę jego trzonu i biologicznego i kulturalnego — masy chłopskiej.

Kto czas wojny obecnej nie przesiedział gdzieś w niesławnych zakamarkach biur i urzędów, zasłonięty od rzeczywi-

stości stertami biurokratycznej pisaniny, kto czas wojenny przeżył pełnym życiem walki, czynnie współdziałając w realizowaniu polskich dążeń i wierzeń, ten wie, jak niespożyte wartości duchowe nosi w sobie chłop polski, jak głęboko jest on przepojony kulturą chrześcijańską. Nie tylko polski, lecz również ukraiński i białoruski. Chłop z ziem Rzeczypospolitej.

Tradycje kulturalne Rzeczypospolitej Polskiej, budowane na zasadach wolności, równości i braterstwa zamieszkujących jej ziemie narodów, przechował do dnia dzisiejszego chłop. Tradycyjalne wychowanie, przekazywanie prawd prostych a niezmiennych z ojca na syna, głębokie przywiązanie do kościoła katolickiego — było tego podstawą.

W tym stanie przetrwał chłop Rzeczypospolitej 150-letni okres niewoli, ten stan trwał — lekkomyślnie niedostrzegany — w czasie 20-lecia Niepodległości. Dopiero wojna i doświadczenie dwóch okupacji wyzwołyły świadomość polskiego chłopca, że nie może on żyć inaczej, jak w prawach i obyczajach kultury zachodniej. A ta świadomość rzuciła go do czynu, do twardej walki o swoje prawo do życia. Zarówno w kraju, jak i w tej masie, która poza granicami Polski stanowi podstawę Wojska Polskiego.

dr Hieronim Jachowicz

Czarna śmierć*)

Idą czarni murzyni przez wojną zburzony świat,
Na grubych wargach ślinią przekleństwo tysięcy lat.
Biją, biją tam-tamy w skłębionych opłotach ciał,
Europejskie miasta opętał murzyński szal.
Gwizdzą przeciągle piszczałki, białe błyskają kły,
Wyją głucho po nocach czarne murzyńskie psy...
Z Azji i Afryki, z Kongo, z amerykańskich puszczy,
Wyszli czarni murzyni i ostrą śmiertelną nóż.
Śmieją się w dzikiej radości, krzykiem rozwartych warg,
Wiodą białe dziewczęta na czarny, murzyński targ.
Głoszą światu zagładę we wrzasku tysięcy trąb —
Idą czarni murzyni prosto pod Arc de Triomphe.
W rzymskich, paryskich kawiarniach neon błękitny zgasi,
Zatacza się śmiechem dziko pijany murzyński jazz...
Roztrąca wszystkie ulice, spycha strwożony tłum:
Jedzie na wielkim słońcu Czarny Murzyński Król...
Kulą się ludzie, kulą w zaułkach i gruzach miast,
Święci się wielkie święto: czarny murzyński wjazd.
Wniosą na gruz Kapitolu złoty, rozparty tron,
Płaczą dzwony żałobne — światu białemu na zgon...
I gdzieś zza gór się wychyla groźna, ściśnięta pięść...
Patrzy martwo na ziemię czarną, murzyńska śmierć.

Jan Olechowski

*) Autor ma na myśli niebezpieczeństwo grożące zachodniej kulturze.

O dynamicznych ideach

W tej wielkiej wojnie światowej na frontach jednego z kontynentów przestały padać strzały. Z tym większą uwagą trzeba przystąpić do śledzenia detonacji słów. Bo w słowach zapadać będą niejedne decyzje, równie zbawienne, a czasem równie zgubne, jak nie jeden trafny pocisk.

Słowa i pociski bowiem są tylko dwiema skrajnie przeciwnymi sobie odmianami narzędzi działania, przekonywania i wymuszania. Głębsza filozoficzna, prakseologiczna, czy etyczna analiza wykazuje najdobitniej, iż jako narzędzia, ani słowa, ani pociski nie mają same żadnej określonej wartości moralnej. Trafne słowo nie jest ani lepsze, ani gorsze od trafnego pocisku.

Natomiast wiele, jeśli nie wszystko zależy od tego, kto za nimi stoi. Kto je wypowiada, te słowa, i kto je strzela, te pociski. Z jaką intencją, w jakim zamiarze i do jakiego celu? Cóż nam więc niesie ten klekot słów, który dochodzi obecnie do nas, w chwili, gdy zamiłkły działa?

Oto mamy przed sobą interesujące streszczenie artykułu znakomitego uczonego angielskiego, Juliana Huxleya, biologa i myśliciela zarazem. W rozważaniach pod tytułem „Historia gromadzi szybkość” (u nas Kisielewski pisał: „Ziemia gromadzi prochy”) Huxley zastanawia się nad zagadnieniem postępu w nauce i życiu ludzkim. Jest to wyjątek z obszerniejszej książki o temat „Życia w okresie rewolucji”. Rzecz chyba godna zastanowienia się nad nią?

Autor twierdzi, że w przeciwstawieniu do względnej stałości form życia biologicznego na przestrzeni wielkich okresów geologicznych, rozwój życia ludzkiego ulega obecnie coraz to bardziej przyspieszonemu przemianom. Epoki cywilizacyjne mierzy się coraz krótszymi okresami. Odkrycie, które niegdys potrzebowało dla swego powstania tysiącleci, dziś dokonywane jest w ciągu zaledwie dziesiątek lat. Te odkrycia, na których przetrwanie ludzkość potrzebowała do niedawna wieków, dziś pochłania ona je już w ciągu zupełnie niewielu lat.

Ale gdy przystosowanie się indywidualne i społeczne do przemian odbywających się w ciągu okresów stuletnich jest stosunkowo łatwe w okresie równym życiu jednego człowieka (ok. 75 lat), to gdy okres przemian i niezbędnego przystosowania się spada do coraz drobniejszego ułamka jednego pokolenia, powstaje uciążliwe zagadnienie dokonywania przez jednostkę kilkakrotnej rewizji w ciągu życia swych poglądów i swych przyzwyczajeń. A cała ta sprawa przybiera jeszcze na ostrości, jeśli następuje jakiś okres skupionych przemian rewolucyjnych, więc i szybszych i zarazem głębszych.

Huxley uważa, iż naogół wzięwszy od r.

1939 dokonało się dość radykalne i rozsądne przystosowanie się ludzi do zmienionych warunków, jakkolwiek stało się to kosztem strat wyrządzonych przez okrutną wojnę światową i 5 zmiotrzonych dla większości ludzi lat. I po tym stwierdzeniu autor nasz stawia swą fundamentalną tezę: „Odtąd musimy myśleć kategorią zmian”. Dotyczyć to ma zarówno planowania, wykonywanych prac, jak i naszego własnego wychowania. „Musimy stać się świadomie rewolucyjnymi w swym osobistym myśleniu, w poglądach zbiorowych i w zakresie organizacji życia społecznego”. Obecna rewolucja według poglądu tego przedstawiciela, jednego chyba z najbardziej konserwatywnych narodów, tym się różni od poprzedniej wielkiej rewolucji przemysłowej, jaką Zachód przeżył w pierwszej połowie XIX w., że odbywa się niejako na oczach i przy współudziale każdego szarego człowieka, a przywódcy myśli współczesnej i działania rozumieją dobrze, iż te często wielkie i nieraz jakościowo wielce różniące się między sobą przemiany są ściśle związane ze sposobem przebiegu samego procesu zmian.

Zarówno wynalazki techniczne (lotnictwo, radio, telewizja), jak i ruchy ludności, wiedza o życiu (higiena, medycyna), organizacja pracy (planowanie, propaganda itd.) — wszystko to dokonywa przesunięć w układzie sił indywidualnych i społecznych, trudnych do przewidzenia w całej ich rozciągłości. To skłania Huxleya do twierdzenia iż: „Obecna rewolucja jest sama niejako rewolucją wśród rewolucji” gdyż to bodaj „po raz pierwszy w dziejach wypłynęła idea słusznego rodzaju zmian, jako ostateczna wytyczna polityki, mająca nawet pierwszeństwo przed takimi czy innymi zarządzeniami, czy stanem organizacji społecznej.”

Taka sytuacja zawiera w sobie szereg niebezpieczeństw, z których autor wylicza jako główną: trudność wyobrażenia sobie celu tych przemian i łatwość ulegania złudzeniom swych idealistycznych marzeń. Przed tymi niebezpieczeństwami nie obroniła się, ani wielka rewolucja francuska z końca XVIII w., ani wiktoriański okres oświecenia w XIX w. w Anglii, ani też powojenna wiara w zbawienną rolę Ligi Narodów.

Jeśli przedtem wiercono w wrodzoną dobroć natury ludzkiej, wyzwolonej od tyranii feudalnej czy klerykałnej, (patrz dziś sytuację w Sowietach), jeśli wiercono w zbawienność religii rozumu, ideały wolności, równości i braterstwa, — następnie w wewnętrzną dobroć liberalnego współzawodnictwa ekonomicznego, w religię automatycznego postępu, samopomoc, inicjatywę prywatną, powszechne nauczanie i potem zasadę samostanowienia narodów — to wszystkie te ideały zostały zdaniem autora zniweczone przez brutalny fakt niedoskona-

łości natury ludzkiej i niedoskonałości dróg rozwoju społecznego i gospodarczego świata.

Dziś, dalej żywi się — pisze Huxley — złudzenia w odniesieniu do doskonałości koncepcyj socjalistycznych, demokracji parlamentarnej, powszechnego dobrobytu, bezpieczeństwa wojskowego i ubezpieczenia społecznego, wolności życia politycznego. Tym wszystkim jak je nazywa, uproszczeniom towarzyszy zdaniem naszego autora brak przewidywania nieuchronnych przemian, występujących na skutek realizowania tych czy innych haseł.

Tak np. liberalizm nie przewidywał wzrostu wielkich przedsięwzięć, organizacji robotniczych i zawodowych, interwencji państwowej, rozjemstwa itd. Podobnie w teorii suwerenności narodowej nie przewidziano dostatecznej dążeń ku imperializmowi, czy ustrojom totalistycznym z ich nieuchronną agresywnością. Zresztą zdaniem Huxleya każdy system gospodarczy czy społeczny niesie w sobie jakiś zarodek samobójczych przemian.

Na to chroniczne cierpienie świata autor angielski nie widzi innego lekarstwa, jak posługiwanie się więcej w myśleniu kategoriami przemian, bliższymi rzeczywistości praktycznej, aniżeli kategorie stanów niezmiennych, statycznych, idealnych. Charakter takich systemów dynamicznych mają mieć socjalizm, lub demokracja, o ile nie utożsamiać ich z określonym typem socjalizmu, czy też demokracja np. typu ściśle parlamentarnego.

Systemy wysuwane za wzór nie określając zdecydowanych sztywnych ram ustrojowych mają zmierzać tylko do zapewnienia maksymalnej wolności, dobrobytu i rozwoju jak największej ilości jednostek, czyli — w ostatecznej granicy — najszerzych mas. Huxley przyznaje, iż takie systemy wymagają też jasno sprecyzowanych zasad. Nie mniej twierdzi, iż zawsze będzie tu mowa o ustrojach zawierających już w sobie zarzewie przemian rewolucyjnych i dlatego wszelkie działanie w tym kierunku wymaga nieustannej i czujnej kontroli. (Pytanie — w imię czego? Obrony stanu posiadania narodowego, czy imperialnego?)

Wiedzie to — jak powiada Huxley — do posługiwania się nowymi kategoriami myślenia i działania, do wprowadzenia w większym niż dotychczas stopniu i rozumie się to do myślnie na szerszą skalę wymiaru czasu do współczesnych koncepcyj ekonomicznych, czy politycznych, do myślenia pojęciami „kierunku”, czy koncepcjami „częściowych przemian” (rate of change), zamiast statycznymi terminami „celów” i „planów” itd. Wymaga to też bardziej bezpośredniej i dokładnej znajomości rzeczywistej sytuacji obecnej i jej ukrytych możliwości, a to w tym celu, aby odróżnić pierwiastki zasadnicze od przypadkowych, więc to co autor nazywa nieuniknionym pędem przemian rewolucyjnych od sfery przemian nie podlegających kontroli. (Znów ta kontrola).

Życie w okresie rewolucji, zwłaszcza takiej jak dzisiejsza, jest nie tylko wątpliwym przywi-

lejem, ale i rzeczą wielce niewygodną i nieprzyjemną. Ale na pociechę autor nasz przytacza tę okoliczność, że w tej epoce poraz pierwszy w dziejach odegrać może wybitniejszą rolę naukowe planowanie. (Dodać możemy od siebie, iż jest to bardzo wątpliwa pociecha, po ostatnich doświadczeniach poczynionych przez świat z hitlerowsko-sowieckimi „naukowymi” metodami eksterminacyjnymi).

Nauka o narzędziu i jego stosunku do głównego sprawcy tak kapitalnie wyłożona już w XIII w. i wchłonięta przez katolicką teologię okazuje się równie mało znana, jak i jest aktualna. Zwłaszcza, że ta nauka ma u swych podstaw metafizycznych tak dynamiczne pojęcia, jak pojęcie „aktu”, za którym gonią różni ideologowie, zazdroścąc dynamiczności bolszewickiej „metafizyki w akcji”, jak ochrzczono niedawno materializmu dziejowego. Dziś może bardziej niż kiedykolwiek znów widzimy, że wszelki ideał, wszelką metodę działania, jak wszelkie narzędzie czy środek, można użyć równie dobrze ku dobru jak ku złu choć naogół częściej ku temu drugiemu bywają używane.

W rozmyślaniach Huxleya najciekawszą wydaje się próba zagwarantowania sobie dodatniego efektu działania przez to, co można by nazwać zdynamizowaniem myślenia i działania. Ideały i sposoby ich zastosowania w życiu praktycznym nie mają być niezmiennie, odnosząc do sytuacji traktowanej jako stała, ale być w ciągłej zmianie, stale jakby czujne na zarysowujące się procesy, giętko przystosowujące się do następujących po sobie faz rozwojowych. Przy braku tego kośca, występującego ukrycie u naszego autora w postaci tajemniczej „kontroli”, system taki łatwo prowadzić może, jak to ma miejsce w Rosji, do... pijanego wina wszelakich ułkonów. W każdym razie ewentualną pozytywną próbę takiego typu myślenia porównalibyśmy do psychologii lotnika, wywołanego niejako z pałki ciężenia ku przyziemiom padółu smutku, a zdanego na myślenie o kierunku lotu i obronę przed przypadkowymi podmuchami.

Sama myśl o zdynamizowaniu narzędzi myślenia a za ich pośrednictwem i samych procesów myślowych nie jest całkowicie nowa. Ze znanych piszącemu prób współczesnych wyliczyć by wypadało prace Whiteheada w tym kierunku. Polegały one na tym, aby zamiast statecznych jednostek przestrzeni i jednorodnego czasu użyć skutecznie, jakkolwiek bez wielkich następstw praktycznych — jak się zdaje — jednostek dynamicznych w postaci czasowo-przestrzennych „events” (zdarzeń), których odpowiednie układy mogły również odtwarzać nasze potoczne wymiary czasu i przestrzeni, w których żyjemy jeśli nie od początku świata, to przynajmniej świadomości których jesteśmy od czasów założenia przez Newtona zrębów klasycznej mechaniki.

W zastosowaniu do ograniczonej dziedziny ciągle żywy jest pęd do zastępowania bezkierunkowego i beznapięciowego języka skalar- nego pomiarów, czy też rachunku — językiem,

czy symbolicznym rachunkiem wektorowym, kierunkowo-dynamicznym. Daje to dużą oszczędność przy wszelakich operacjach i w układzie i niejako uproszczeniu, a jednocześnie ożywienie w ujęciu matematycznym zjawisk fizycznych. Jeśli rachunek wektorowy nie przyjmuje się powszechnie, to tylko chyba dzięki bezwładnej sile oporu naszych przyzwyczajęń myślowych i trudności życia się z tego rodzaju nowinkami.

Już nie w odniesieniu do zakresu wiedzy, lecz raczej praktycznego działania ludzkiego można się spotkać i spotykamy się wszyscy z co najmniej dwoma typami dynamizmu. Jeden polega na wytworzeniu współzawodnictwa w pięciu się w górę po pionowej drabinie wartości, zwykle w pogoni za nagromadzeniem coraz większej ilości dóbr materialnych lub przywilejów. Drugi zaś na stwarzaniu rodzaju powszechnej równi pochyłej, zmuszającej do staczania się w szereg, zazwyczaj za najprostszą formą łupu.

W ustrojach o charakterze liberalno-kapitalistycznym np. możnaby się dopatrywać takich pionowych kierunków napięć w ideałach i realizacji. Jednostki lub stosunkowo drobne grupki solidarystyczne w oparciu o rusztowanie sztywnego ustroju prawnego, więc na tzw. zasadzie konstytucjonalizmu osiągały rekordy pracy, wiedzy, sprawności, potęgi dyspozycyjnej itd. Złagodzone obrazy tych stosunków jest budowanie i pięcie się na szczyt czegoś w rodzaju piramidki sokolskiej, po głowach innych, ale za ich zgodą i pomagając sobie silnym chwytem ręki, zapewniając minimum solidarności poszczególnych przeset. Zbytne obciążenie tej piramidki powoduje dopiero rozpieranie się jej podstawy w takiej czy innej postaci imperializmu.

W ustrojach o charakterze totalistycznym dynamizm powstaje przez sztuczne zazwyczaj stworzenie różnicy poziomów. Bądź więc przez wywyższenie stopy życiowej ponad otoczenie,

jak to było w Niemczech przed Hitlerem, lub stworzenie mitu o wyższości rasowej i rozlanie tak prężnej masy na jak najszerszą „przestrzeń życiową”. Bądź też przez podkopanie wszelkiej stałej podstawy bytu np. przez ograniczenie do minimum prawa własności i bezpieczeństwa osobistego wobec wszechwładnej władzy państwowej i wytworzenie w ten sposób, jak w Sowietach, koźwoniczej psychiki goniącej za łupem poza własną strefą chwilowego bytowania.

Dynamika tych mechanizmów społecznych szybko się demaskuje i rozkręca do krańca i skraju przepastnej katastrofy. Nad nimi bierze wówczas przewagę świat bardziej statycznej i statecznej zarazem równowagi między elementami konserwatywnego tradycjonalizmu a bardziej twórczego, demokratycznego ewolucjonizmu, kierujący się nie mniej dynamicznymi, gdy są należycie ujawnione, ideałami chrześcijańskimi, posłuchu dla prawa i wolności osobistej.

Jakkolwiek jest to świat przepojony siłami defensywnymi, potężny jest swym ludzkim umiarem i wielostronnością posiadanych zasobów wartości. Indywidualistyczny, ale nie zanarcanizowany demokracizm, jako postępowy wypadkowa starcia się niekiedy nawet dość krańcowych przeciwieństw, o ile tylko rzecznicy ich przepojeni są niezbędnym minimum poczucia odpowiedzialności społecznej i należytego zrozumienia interesu własnego i zbiorowego — to właściwe podłoże dla wiecznie fermentujących idei helleńsko-chrześcijańskich.

Żyją one nie tyle taką czy inną metodą rozbudzania czysto fizycznego rozpędu, ale właśnie nieprzemijającymi wartościami żywych idei. One w postaci najogólniej pojętego humanitaryzmu, kontrolującego „ślusność rodzaju zmiany”, wciąż mają jeszcze przewagę etyczną nad wszelkiego rodzaju „mystykami krwi”, czy „metafizykami w akcji”.

On

Z KRAJU

Niemcy „walczą” w Warszawie

Miesiąc już czasu minął prawie od tej chwili, gdy spotkałem pierwszego Polaka — żołnierza 2. Korpusu. Od tego czasu widziałem ich już wielu, rozmawiałem, słuchałem i sam opowiadałem. I zawsze gdy dowiedzieli się, że byłem w Warszawie w sierpniu 1944 r. natychmiast słyszałem pytanie — a to powiedzcie, kolego, jak tam było? Czy to prawda, że Niemcy robili z Polakami tak...

I opowiadałem. Mówiłem prawdę. Najprawdziwszą prawdę. Ale często widziałem

w ich oczach wyraz powątpiewania — nie zawsze wierzyli.

Rozumiem.

Bo prawda warszawska wkracza bardzo często w strefę fantazji, zamienia się w koszmar okropny i straszny.

Nie będę mówił, że widziałem wszystko, lub — że mam jakiś wyrobiony pogląd na całość akcji. To było niemożliwe dla mnie i stwarzałoby pozory legendy.

7 sierpnia 1944 r. zostałem wzięty do niewoli na odcinku Placu Bankowego. Nie będę tu pisać o tym, co robili i jak walczyli Polacy, ale opowiem raczej jak „walczyli” Niemcy.

*) Relacja niniejsza napisana została na podstawie opowiadania jednego z uczestników Powstania Warszawskiego, ppor. Zbigniewa J., który dotarł do 2. Korpusu w czerwcu br.

Osią natarcia niemieckiego na odcinku, który znam w czasie od 3 do 7 sierpnia były ulice: Wolska, Chłodna, Hale Mirowskie, Plac Żelaznej Bramy, a celem natarcia w pierwszym rzędzie było przyście z pomocą generalicji niemieckiej okrążonej w „Bristolu”, Prezydium Rady Ministrów, Hotelu Europejskim, Komendzie Miasta i gmachu Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Dalszym celem Niemców było przebicie się do mostu Kierbedzia na Wiśle i otworzenie oraz utrzymanie drogi umożliwiającej przejście niemieckich kolumn na front wschodni. Jak widać, cel dla wojsk niemieckich był bardzo ważny i konieczny do uzyskania za wszelką cenę. Ale w tym wypadku Niemcy chcieli zapłacić ceną jak najmniejszą i poradzili sobie w ten sposób:

Wola.

Na każdym skrzyżowaniu ulic na osi natarcia porobione były przez Polaków zapory przeciwzołgowe w sposób jak najbardziej fachowy, a zatem dla czołgów nie do przebycia. Były to zapory zamykające wszystkie cztery wyłoty skrzyżowania. Jednocześnie zapora taka była broniona przez żołnierzy Armii Krajowej. Widziałem na skrzyżowaniu Wolskiej i Młynarskiej a później w innych miejscach, jak oddziały SS, chronione przez „Tygrysy” podchodziły pod zapory. Poprzeżdała ich grupa około 200 mężczyzn od dzieci do starców, powiązanych za ręce kablem telefonicznym. Za taką żywą barykadą Niemcy mieli możliwość podejścia pod każdy punkt oporu. Polacy musieli wycofywać się nie chcąc strzelać do swoich, a później żywa barykada usuwała barykadę martwą i droga dla niemieckich oddziałów była wolna.

W miarę zdobywania nowych części miasta domy były podpalane, a ich mieszkańcy dziesiątkowani na miejscu.

Metody walki były przez Niemców stale „ulepszane”. Widziałem na Młynarskiej czołg z przywiązanymi kobietami i dziećmi.

Czy w takich warunkach można było myśleć o normalnej walce, o obronie? O rzuceniu granatów lub butelek z benzyną na czołg niemiecki?

Tam, gdzie były miejsca otwarte, jak np. Plac Żelaznej Bramy i przejścia, były one pod ostrzałem Armii Krajowej, Niemcy formowali żywe barykady nieruchome i za taką zasłoną przeprowadzano działka, ciężką broń maszynową, używając równocześnie Polaków jako siły pociągowej.

50 cywilów idących gęsiego obok, druga pięćdziesiątka, a w środku, jakby między opłotkami, przesuwają się kilku SS-manów. Ogień polski milknie. Żywa osłona posuwa się naprzód w kierunku domów, w których są powstańcy.

Nagle pada strzał. Jeden z Niemców trafiony celną kulą wali się na ziemię. Niemcy gwałtownie zmieniają kierunek. Dochodzą do miejsca bezpiecznego. Podoficer niemiecki od-

dziela część Polaków z jednego i drugiego rzędu; daje rozkaz ręką, kilka ostatnich kroków, seria z „empi”, parę jęków i od nowa tworzy się taka sama kolumna. Na miejsce brakujących rozstrzelanych doraźnie, Bogu ducha winnych Polaków wyciąga się z najbliższych domów następnych.

Polaków jest dużo.

Na ulicy Ossolińskich, na wprost Baru Europejskiego, na dużym podwórzu pałacowym był punkt zbiorczy ludności cywilnej, wyciągniętej z domów „dzielnic” opanowanych przez Niemców: z Powiśla, Krakowskiego Przedmieścia, Trębackiej i okolic Placu Zamkowego. 7 sierpnia 1944 r. wraz z 400 mężczyznami przez trzy godziny mogłem obserwować napływające bez przerwy transporty kobiet, dzieci i starców. Mężczyzn młodych nie było.

Niemcy tworzyli teraz kolumny po 200 kobiet z dziećmi i starcami i do każdej takiej grupy dołączali 8 mężczyzn z mojej grupy. 4-ch szło na czele kolumny, a 4-ch na końcu. Zadaniem ich było pilnowanie, aby żadna z kobiet nie została zbyt daleko w tyle, i pomóc w niesieniu bagażu tym, którym siły już odmawiały posłuszeństwa. Wszystkie te kolumny były kierowane na Wole, a później do Pruszkowa. Przez 3 godziny obserwowałem napływające i odpływające tysiące kobiet i dzieci. I rzecz dziwna. Nie, nie dziwna, lecz niesamowita! Kobiety — które straciły z całą pewnością swój dom i cały dobytek, rozłączone z mężami, ojcami, braćmi i synami, rozumiejące dobrze, że może już nigdy ich nie zobaczą, że idą w drogę, której celu i kresu nie znają, wiedzące, że na tej drodze każdy krok może być ostatnim w ich życiu — były milczące i z tysięcy ust i tysięcy oczu nie wyrwał się jęk rozpacz, nie spłynęła łza bólu. Widziałem twarze kobiece wymizerowane, wymęczone. Widziałem ich oczy, spojrzeniem szukające w naszej męskiej grupie kogoś swego, słyszałem wołania (jakże rzadko) czyjegoś imienia, widziałem wysiłek, aby dostać się do tego, kogo zabrały i kogo już może widzą po raz ostatni. Jednego tylko nie widziałem. Nie widziałem przejawu rozpacz, objawiającej się zwykle w łzach i szlochach.

To były Polki twarde i nieustępliwe, dla których Ojczyzna i sprawa były czymś więcej, aniżeli własna niedola i ból.

7 sierpnia 1944 r. o godz. 15-ej znalazłem się wraz z dużą grupą po przejściu Ogrodu Saskiego na Plac Żelaznej Bramy. Idące z nami kobiety i dzieci zostały rozpedzone. Nam zaś kazano rozebrać się do pasa i przez kilkunastu żandarmów zaprowadzeni zostaliśmy na róg ulicy Ptasiej i Żimnej dla budowy barykady. Woziliśmy cegły ręcznymi wózkami z ruin domostw. Niemiec-żandarm o wygodzie spalonego wieprza pilnował pracujących. Siedział w bezpiecznym miejscu, na wydebytnym z gruzów fotelu. Obok na ziemi butelka wódki, w ręku pistolet maszynowy. Kto nie pracował szybko, przestawał pracować na zawsze.

Cegłę do budowy wyciągaliśmy z palącego się jeszcze domu. Wkrótce zabrakło cegieł ziemnych, zabrakło ciepłych, musieliśmy wyciągać gorące, rozpalone. Palce nasze były spieczone, obolałe, aż wreszcie przestaliśmy odczuwać w nich ból. Potem musiałem kontynuować pracę układania na barykadzie przywiezionych cegieł. Żandarm zachęcał do pracy bardzo szczerze — „spiesz się, jak skończysz pracę, to cię zastrzelę”. — Byli w pracy także i urozmaïcenia. Gdy jakiś Niemiec chciał bezpiecznie przejść ulicę, kilku Polaków tworzyło kółko, w środku którego krył się Niemiec i tak przeprowadzaliśmy „bohatera” przez ulicę, chroniąc go od kul naszych kolegów. Na moje szczęście w chwili ukończenia barykady naszego opiekuna nie było. Skończyła mu się właśnie wódka i poszedł ją zdobyć do pobliskiego rozbitego baru, chroniony przez kilku Polaków. Dzięki temu dostałem się zupełnie przypadkowo do innej roboty.

Transportowanie rannych Niemców z Placu Żelaznej Bramy na ul. Solną. Miałem szczęście, że żaden z niesionych przez nas Niemców nie zmarł w drodze. W takim bowiem wypadku „tragarze” towarzyszyli nieboszczykowi także w jego życiu pozaziemskim. Wreszcie z grupą 40 ludzi odprowadzono nas z Placu Mirowskiego do kościoła św. Wojciecha na Woli. Ręce podniesione do góry. Za najmnijmniej opuszczenie lub zgicie rąk kula od licznie rozstawionych po drodze posterunków niemieckich, 2-kilometrowy odcinek szliśmy 2 godziny, a doszła nas tylko połowa. W czasie drogi ciągle nas rewidowano, szukając rzekomo broni a właściwie robiono to dla rabowania zegarków, portfeli, pieniędzy. Z kościółka, w

którym natłoczone były masy kobiet, dzieci i mężczyzn wyciągano przez całą noc grupy ludzi, którzy już nie wracali do nas. Słychać było tylko suche serie karabinów maszynowych.

Boże! Jak myśmy rozumieli ich wymowę!

Plac Żelaznej Bramy. Odcinek pomiędzy dwoma halami targowymi. Budynki palą się w powietrzu ciężkie opary rozkładających się i palących trupów. Grupa 250 Polaków „odpoczywa” pod dozorem SS-manów. Nie stoją, ani nie siedzą. Kłęczą. Ręce podniesione do góry. W obolałe kolana wżera się wilgoć ulicy. Niemcy zaczynają kręcić nosem. Przykre powietrze nie odpowiada tym „nadludziom”. Wybierają czterech Polaków, którym każą nosić trupy do palącego się hali, aby tam spłonęły całkowicie. Jeden z noszących bierze za nogi, drugi za ręce i wchodzi w głąb buchającego dymem budynku. Niemcy eskortują. Po chwili słychać kilka strzałów i SS-owcy wracają sami.

Następna czwórka, znów o dwa trupy mniej. Znów strzały i znów o 4 trupy więcej. Ile razy tak było? Ile takich procesji przeszło przed moimi oczyma? Nie wiem! Nie pamiętam! Wiem tylko, że w kołku trupów w pobliżu nie było, a grupa kłęczących była znacznie mniejsza.

* * *

Rozumiem was koledzy z 2. Korpusu, gdy widzę w oczach waszych powątpiewanie. Wiem, że nie zawsze możecie uwierzyć mi, gdy opowiadam o „prawdzie warszawskiej”. Może myślicie, że przesadzam, wyolbrzymiam fakty. Nie! — Nie trzeba tego robić. Prawda nie potrzebuje przesady.

Stanisław Piaskowski

W KRAJACH MIĘDZYMORZA

U braci nad Adriatykiem

Słoweńcy są jednym z najmnijniejszych narodów słowiańskich, jest ich bowiem zaledwie 2 miliony. Kraj ich, Słowenia, rozciągający się na zapleczu Triestu, ma zaledwie 26 tys. km. kw. powierzchni.

Ala ani rozległość kraju, ani też liczba mieszkańców nie świadczy o właściwym znaczeniu Słowenii; jakkolwiek chodzi tu o naród posiadający bardzo starą i bardzo wysoką kulturę zachodnią, o naród, w którym nie ma zupełnie analfabetów, który przed obecną wojną wydawał stosunkowo więcej książek niż Niemcy lub Włochy. Pełne znaczenie Słowenii dla Europy jest następstwem funkcji geopolitycznych, jakie ten kraj pełni, a którymi obdarzyło go położenie geograficzne. Oto ich zestawienie:

1. Wszystkie linie kolejowe i drogi komunikacyjne z Europy środkowej i Basenu

Naddunajskiego do portu w Trieście i od niego — wiodą przez Słowenię.

2. Najkrótsza droga z Europy zachodniej do Europy południowo-wschodniej i odwrotnie — przechodzi przez Słowenię; tedy też biegnie ekspres symfoniński na Wschód.

3. Słowenia jest przede wszystkim jedną barierą etnograficzną, oddzielającą Niemców od Zatoki Triesteńskiej, a tym samym od Adriatyku i Morza Śródziemnego. Słowenia jest też „wielką naturalną fortecą, która zagradza Niemcom dostęp do Adriatyku; to też od 13 wieków trwa ciągła walka Słoweńców z niemieckim zamiarem usadowienia się nad Morzem Śródziemnym” (Patrz: „The Balcan Revue”, London, czerwiec 1919 r., str. 399).

4. Słowenia strzeże dostępu do Włoch od Wschodu.

Z powodu swego znaczenia geopolitycznego naród Słowenów nie miał nigdy w ciągu swych dziejów ani jednej spokojnej chwili. Otoczona przez Niemców, Włochów i Węgrów — Słowenia była zawsze zagrożona przez trzech swoich sąsiadów jednocześnie. Zwłaszcza między Niemcami i Włochami trwały spory o panowanie nad małą Słowenią. Z tego też powodu Słowenci nie mieli „przyjaciół” w swoim bezpośrednim sąsiedztwie. Można się było o tym doskonale przekonać w ciągu ostatniej wojny.



Herb Słowenii: trzy gwiazdy i łódź z trzema wiosłami, świadczący o morskich tradycjach Słowenów, od wieków osiadłych nad Adriatykiem.

Gdy inne narody i kraje okupowane przez państwa „osi” mogły zachować choć najmniejsze ślady swej autonomii narodowej (jak np. Czesi, Słowacy, Chorwaci, Serbowie, Grecy itd.), to Słowenia nie mogła niczego uratować. Nadomiar złego uległa rozbiorowi i została wręcz wcielona przez trzech swych sąsiadów.

Wielkie mocarstwa zachodnie nie rozumieją znaczenia Słowenii. Dlatego też pokój w Wersalu przyznał całe wybrzeże słowiańskie (Wenecja Julia) i całą Karyntię Włochom i Austrii, jakkolwiek jedynym następstwem tego było wzmocnienie geopolitycznej pozycji Niemiec i Włoch przed rozpoczęciem przez nich drugiej wojny imperialistycznej. Dlatego również uważa się obecnie terytorium słoweńskie, jakby to była „terra nullius” (ziemia niczyja). Wbrew woli narodu słoweńskiego oddano jugosłowiańską część Słowenii komunistom bałkańskim spod znaku marsz. Tito.

Od razu rzuci się więc w oczy podobieństwo między zagadnieniem słoweńskim a sprawą polską.

Pięć rozbiorów Słowenii

Tylko przez trzy stulecia Słowenci cieszyli się zupełną niezależnością polityczną. Już w X w. bowiem popadli pod panowanie Niemców i częściowo Węgrów.

Pierwszy rozbiór Słowenii dokonany został przez podział ziem słoweńskich pomiędzy różne feudalne rodziny niemieckie. Z tych ziem feudalnych Słowenii stopniowo powstały historyczne okręgi cesarstwa dawnej Austrii, zamieszkałe przez Słowenów: więc Karyntia, Styria, Karniola i wybrzeże Adriatyckie (Hrabstwo Gorycy, Triest i Istria), a ponadto okręg Prekmurje (Zarzecze Muru), który przeszedł pod panowanie węgierskie.

Drugi rozbiór miał miejsce wówczas, gdy Napoleon w r. 1809 stworzył państwo Illirii na bezpośrednim zapleczu portu Triestuńskiego, w skład którego to państwa wchodziło Wybrzeże Słoweńskie, Karniola i część Karyntii. Inne obszary słoweńskie pozostały pod władzą Austrii i Węgier.

W r. 1866 dokonano trzeciego rozbioru Słowenii: okręg słoweński zwany „Słowenia Wenecka” (część zachodnia Wybrzeża Słoweńskiego między Gorycją, Tarcento, Cividale, Gemona i rzeką Socza (Isonzo) przeszła pod panowanie włoskie.

Potem przyszedł wielki rok 1918. Słowenci mieli nadzieję, że nadszedł wreszcie moment historyczny dla zrealizowania słoweńskiego programu narodowego, zmierzającego do stworzenia zjednoczonej i niezależnej Słowenii. Program ten został proklamowany przez delegatów wszystkich krajów i okręgów słoweńskich jeszcze w r. 1848.

Z ogólnego obszaru terytorium Słowenów, liczącego 26 tys. km. kw., który w czasie tyśiącletniego panowania germańskiego zdołał się obronić przed wynarodowieniem, jedynie 15 tys. km. kw. z ludnością liczącą 1.200.000 Słowenów, weszło do nowego państwa Słowenów, Chorwatów i Serbów. Całe Wybrzeże Słoweńskie nawet z częścią Karnioli (8 tys. km. kw.) i 500.000 Słowenami zostało oddanych Włochom na skutek Paktu Londyńskiego. Ponad 3 tys. km. kw. z 140.000 Słowenów (Południowa Karyntia) weszło w skład Austrii i 300 km. kw. z okręgu słoweńskiego Prekmurii pozostało przy Węgrzech.

Piąty rozbiór Słowenii dokonany został podczas obecnej wojny. Jest on z punktu widzenia geopolitycznego najbardziej znamienity. A to dlatego, iż wszystkie imperializmy kontynentalne odsłoniły swe karty w grze o Słowenię. Projekt faszystowski przewidywał podział Słowenii pomiędzy Niemcami i Włochami z linią demarkacyjną biegnącą dużo bardziej na północ od Lublany. W ten sposób Włochy faszystowskie zostały zawiedzione w swych imperialistycznych dążeniach. Już w roku 1941 było jasnym, że na wypadek zwycięstwa państw „osi” w obecnej wojnie, Włochy byłyby straciły nawet tę swoją „granicę naturalną” z 1919 r. Niemcy bowiem były zupełnie zdecydowane do zrealizowania po tej wojnie swego starego projektu wzniesienia „mostu do Adriatyku” przez zupełne zgermanizowanie całej Słowenii aż po Triest. To znaczy, że razem z Wybrzeżem Słoweńskim, oddanym przez Pakt Londyński Włochom,

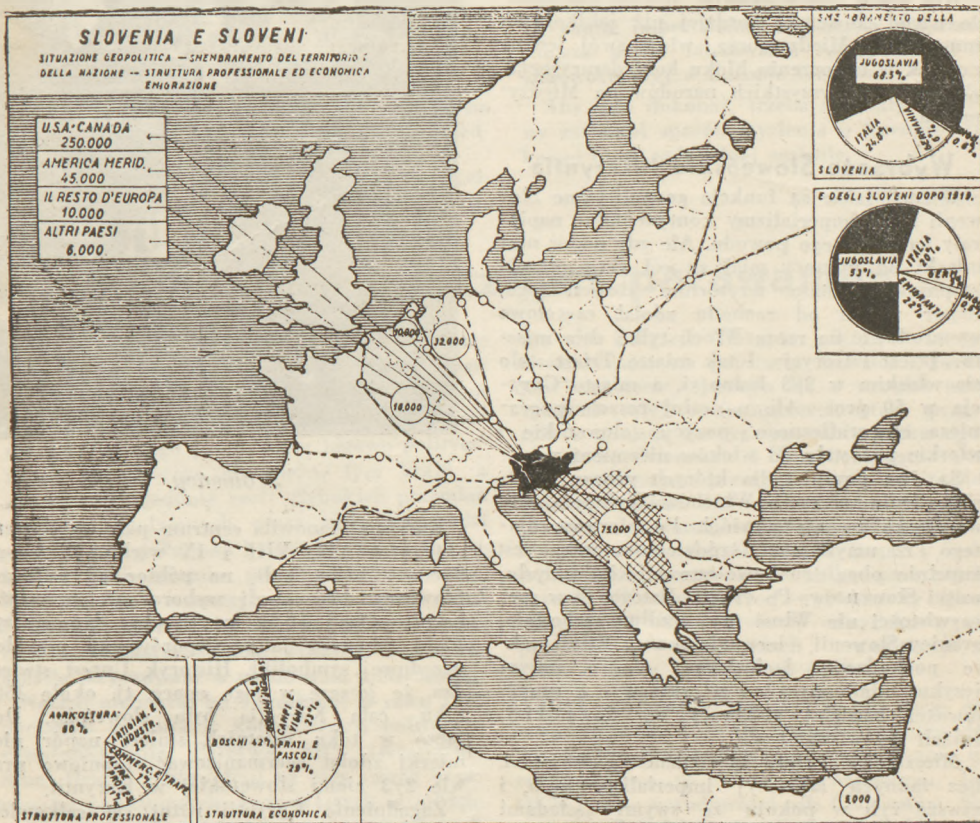
Tak też się stało po kapitulacji Włoch we wrześniu 1943 r. Niemcy zaraz zajęły nie tylko jugosłowiańską część Słowenii, która do tej chwili znajdowała się pod okupacją włoską, ale także całe Wybrzeże Słoweńskie z Gorycja i Triestem, a nadto całą włoską prowincję Udiny, tzn. Friuli. Hitler stworzył z prowincji Lublany, Wybrzeża Słoweńskiego, oraz Udiny nową jednostkę administracyjną zw. „Adriatisches Kuestengebiet”. I to zapewne nie przez przypadek postawiono na czele tej nowej „Illirii” właśnie „Gauleitera i Staatthaltera” Karyntii, Dr. Reinera, tworząc w ten sposób rodzaj unii personalnej z tą nową jednostką administracyjną rozciągającą się dokoła Triestu i Karyntii, przez którą przechodzą główne linie kolejowe z Europy środkowej do Triestu.

Słowenia bezpośrednio przed i po pogromie Niemiec

Obecnie jest już powszechnie wiadomo, jak podtrzymano szczerze bandy komunistów Tita, których jedynym zadaniem było przygotować podczas okupacji zbolszewizowanie Słowenii i innych krajów bałkańskich, systematycznie wymordowując katolików i rzetelnych demokratów. Cała dokumentacja na ten temat jest już tak skompletowana, że moż-

na z zupełną dokładnością i pewnością powiedzieć, iż bez przychylnych warunków stworzonych dla terroru komunistycznego przez okupację i bez pomocy okupantów, terror ten nie zdołałby nigdy znaleźć stałego gruntu pod nogami. Zwłaszcza w kraju tak katolickim, tak demokratycznym i tak kulturalnie i społecznie rozwiniętym, tak poza tym zrównoważonym, jak Słowenia. Ale pomimo tego wszystkiego zdrowe siły narodu słoweńskiego potrafiły oprzeć się i w chwili, gdy nie było rodziny, która by nie straciła kilku członków zamordowanych przez terrorystów komunistycznych lub podczas równocześnie akcji „represyjnych” okupantów — cały naród powstał do walki z komunistycznymi bandami Tita.

Tak z początkiem 1945 r. cała prawie Słowenia znalazła się pod władzą patriotów słoweńskich. Komunistyczne bandy Tita w Słowenii zostały praktycznie biorąc unicestwione a pozostałe resztki wyrzucone poza granice kraju. Dnia 2 maja 1945 r. zebrał się potajemnie w Lublanie podziemny parlament Słowenii, który proklamował wolną Słowenię, zjednoczoną i niezależną. Komitet Narodowy Słoweński przybrał charakter rządu tymczasowego. Powstała armia narodowa słoweńska złożona z oddziałów rzetelnych patriotów i ludzi stojących w słusznej obronie własnej przed terrorem komunistycznym, w sile 20 tys. ludzi. Stała ona



Słowenia i Słowenci

na straży granicy między Słowenią i Chorwacją, opanowana przez komunistyczne bandy Tita.

Wszyscy byli pewni wygranej, pod warunkiem, że marszałkowi Tito nie przyjdą z pomocą wojska obce. Ale właśnie to się stało. Tito zaatakował słoweńską armię narodową przy pomocy swej IV armii, złożonej wyłącznie z elementów nieloweńskich: przeważnie wojsk bułgarskich, band Elasu i innych oddziałów bałkańskich, uzbrojonych w sprzęt zmotoryzowany i ciężki, rozporządzając nawet znacznym lotnictwem, którego armia słoweńska była zupełnie pozbawiona. W obliczu takiej przewagi nie było można stawiać oporu.

Wobec tak okrutnej rzeczywistości słoweńska armia narodowa wycofała się ze swych pozycji nad granicą chorwacką w głąb Karyntii, która miała być okupowana przez Anglików. Do armii słoweńskiej przylączyło się prawie 50 tys. uchodźców cywilnych — Słoweńców, z których nikt początkowo nie liczył się z koniecznością ucieczki. Tylko połowie tych uchodźców udało się przekroczyć granicę Karyntii. Wszyscy inni zostali zagarnięci przez bandy komunistyczne.

Część oddziałów armii słoweńskiej wycofała się w góry. Obecnie nadchodzą wiadomości, iż liczne zastępy młodzieży słoweńskiej przylączyły do tych oddziałów.

Kto wie o tym wszystkim, ten się nie dziwi, że naród słoweński bardziej niż jakikolwiek inny naród Międzymorza, widzi swój jedyny ratunek w utworzeniu bloku konfederacyjnego, złożonego ze wszystkich narodów na Międzymorzu.

Wybrzeże Słoweńskie i Karyntia

Wiemy, jakie są funkcje geopolityczne Słowenii i jak imperializmy kontynentalne napierały na nią z tego powodu. Ale gdy napór niemiecki od północy miał za cel germanizację stopniową i stałą terytorium słoweńskiego, napór włoski od zachodu zdołał częściowo wynarodowić na rzecz Włoch tylko dwa miasta: Triest i Gorycja. I tak miasto Triest stało się włoskim w 2/3 ludności, a miasto Gorycja w 50 proc. Ale na całej reszcie pogranicza etnograficznego pozycje słoweńskie i włoskie pozostały od wieków niezmienione.

Są dwa powody, dla których proces wynarodowienia na rzecz Włochów Wybrzeża Słoweńskiego się nie powiódł. Po pierwsze dlatego, iż umysłowość śródziemnomorska jest zupełnie obca środkowo-europejskiej umysłowości Słoweńców. Po drugie dlatego, iż w rzeczywistości nie Włosi żyją wzdłuż zachodniej granicy Słowenii, lecz mieszkańcy Friuli, także pochodzenia łacińskiego, ale o innym języku, odmiennym od włoskiego i o umysłowości bardziej zbliżonej do słoweńskiej, aniżeli do włoskiej.

Mieszkańcy Friuli są ludźmi spokojnymi, bez żadnych aspiracji imperialistycznych, i zawsze żyli w pokoju ze swymi sąsiadami słoweńskimi. Dopiero od czasów faszystowskich młodzież z Friuli była systematycznie

wychowywana w duchu włoskim przez faszystowskie organizacje szkolne. Ciekawym zjawiskiem jest fakt, iż element włoski w Triście nie pochodzi z Friuli. Włosi z Triestu są Włochami ze środkowych Włoch, osadzonymi tam przez Wenecjan a później przez rządy nowych zjednoczonych Włoch. Jeszcze na początku XVIII w. Triest liczył zaledwie 6 tys. mieszkańców, z których połowa była Słoweńcami. Włoska kolonizacja Triestu jest objawem par excellence imperialistycznego ruchu ludności. W ten sposób tłumaczy się także fakt, iż poza Triestem i Gorycją nie ma na Wybrzeżu Słoweńskim (Wenecja Julia) wcale Włochów, poza urzędnikami i innymi elementami napływowymi, na skutek politycznej koniunktury.



Słoweńcy

Karyntia stanowiła centrum państwa słoweńskiego w VII, VIII i IX wieku. W Gospa Sveta, (Maria Saal), na północ od Celowca, Słoweńcy dokonywali wyboru swoich książąt i wprowadzali ich na tron według słynnego rytuału, znanego jako nieporównany przykład urzędowej symboliki. Historyk Unrest stwierdza, że jeszcze w jego epoce, tj. około 1500 roku, cała Karyntia była słoweńska. Dopiero w toku ostatnich stuleci napór niemiecki zdołał zgermanizować stopniowo prawie 2/3 ziemi słoweńskiej w Karyntii.

Zagadnienie Karyntii różni się całkowicie od zagadnienia Wybrzeża Słoweńskiego (Wenecja Julia). W Karyntii chodziło o napór na-

rodu kulturalnie bardzo posuniętego, o umysłowości alpejskiej bardzo zbliżonej do słoweńskiej. A zwłaszcza chodziło w tym wypadku o naród politycznie i wojskowo bardzo silny, pozbawiony skrupułów i zdecydowany do przenikania w kierunku Triestu, przyciągany przez magiczną siłą, jaką posiada morze południowe dla narodu północnego, oddalonego odeń o zaledwie 150 km.

A poza tym występował tu fanatyzm austriackich Niemców, którzy uważali się za misjonarzy ekspansji niemieckiej w Europie północno-wschodniej.

Już Bismarck wskazał na Triest, jako na jeden z głównych celów imperializmu pangermańskiego. Wówczas powstał projekt rzućnia „mostu ku Adriatykowi”. Wprowadzenie w życie tego projektu było brutalne i systematyczne. Polityka, administracja, kapitał, szkolnictwo, kolonizacja niemieckich rodzin protestanckich, nieublagane łepienie wszelkich narodowych przejawów kultury słoweńskiej — wszystkie możliwe środki były użyte dla jak najszybszego zrealizowania tego projektu, którego urzeczywistnienie zmieniloby zasadniczo układ geopolityczny Europy na korzyść sił pangermańskich.

W drugiej połowie XIX w. 50 proc. ludności Celowca była jeszcze słoweńska. Dziś wydaje się, iż cała ludność „Klagenfurtu” jest niemiecka. Ale jeszcze dziś cały okręg na południe od linii Hermagor-Bleiberg-Villach-Ostascher See i wzdłuż linii naznaczonej na mapie ludność jest wyłącznie słoweńska. Są tu albo elementy świeżo zgermanizowane albo też Niemcy zamieszkujący wyłącznie w osiedlach i miastach.

Można powiedzieć bez obawy stronniczości, że Południowa Karyntia jest jeszcze dziś słoweńska.

Ale uczynionoby pomyłkę, gdyby urządzono plebiscyt, aby stwierdzić ten stan rzeczy. Metoda plebiscytu jest bowiem w Karyntii zupełnie skompromitowana. Mianowicie od czasu spisów ludności, przeprowadzanych przez Austriaków, którzy wprowadzali pojęcie tzw. „języka potocznego”, jakim, poza życiem rodzinnym i na wsi oraz w kościele, był, z konieczności język niemiecki. Nie mogło być inaczej, skoro administracja publiczna, szkoły państwowe, wojsko itd. używały tylko niemieckiego. Dlatego też metoda plebiscytu zawiodła w r. 1920, gdy nawet według zdania Niemców okazało się, iż 10 tys. Słoweńców głosowało na rzecz Austrii w obawie przed represjami.

Godni wiary rzeczoznawcy obliczają, że obecnie w Karyntii jest 120 tys. Słoweńców, z czego 20 tys. najlepszych zostało wywiezionych. Ale to nie przez jakiś nowy „plebiscyt” znajduje się sprawiedliwe rozwiązanie europejskiego zagadnienia Karyntii. To da się dokonać tylko przez poznanie rzeczywistości historycznej i geopolitycznej Słowenii. Musi się przy tym wreszcie oddać sprawiedliwość matemu i pokojowemu narodowi Słoweńców, pozwalając mu na zjednoczenie całego swego obszaru. „Restitutio ad integrum”, odbudowę tego, co według danych etnograficznych było stanem posiadania Słoweńców przed r. 1850, tj. zanim imperializmy rozpoczęły najprzeróżniejsze próby fałszowania rzeczywistości narodowościowej w Europie środkowej.

Aby tego dokonać, trzeba aby cały tradycyjny zachodni sposób myślenia o Europie środkowej uległ radykalnej zmianie.

Słowniec

Za demokratycznym parawanem

Stosunki panujące w Jugosławii (SHS) nie zawsze stwarzają możliwości właściwego zorientowania się w sytuacji, która podlega częstym zmianom, oraz nie zawsze daje się ująć w formy zakończonego już procesu ideowo-politycznego, zachodzącego obecnie w tym kraju, a stanowiącego jedynie część głębokich przemian polityczno-społecznych, przez jakie przechodzi obecnie cały półwysep bałkański, na skutek okupacji tych terenów przez armię czerwoną. Należy jednak zaznaczyć, że wkroczenie Armii Sowieckiej na Bałkany było już tylko faktycznym usystematyzowaniem sytuacji, która się zaczęła zarysowywać w czasie walk z Niemcami.

Najazd niemiecki na Jugosławię w roku 1941 pociągnął za sobą w konsekwencji polityczne rozczłonkowanie Państwa SHS (Kraljevina Srba, Hrvata i Slovencea) na cały szereg organizmów państwowych, pozostających w orbicie państw osi. Została stworzona „niezależna” Chorwacja, Serbia, Czernogóra. Część Chorwacji została przyłączona do Włoch, Macedo-

nia do Bułgarii. Pozorna niezależność tych nowokreowanych państw z rządami „Quislingów” na czele, spotkała się z wrogiem naszymi miejscowej ludności, która przystąpiła z miejsca do organizowania ruchu oporu przeciwko Niemcom i Włochom, oraz przeciwko popieranym przez państwa Osi rządowi quislingowskiemu. Na czele ruchu zbrojnego przeciw okupantom stanął gen. Michajłowicz, który w niedostępnych górach Bośni i Serbii południowej, rozpoczyna walkę partyzancką przeciw Niemcom. Prąd wyzwolenczy kierowany przez Michajłowicza, człowieka o nieprzeciętnych zdolnościach organizacyjnych, zyskuje coraz bardziej na sile.

Ruch partyzancki rozwijając się coraz szerzej, wchłania w swoje szeregi nie tylko Serbów tworzących najsilniejsze ugrupowanie narodowościowe w Armii Michajłowicza, lecz także i inne narodowości jak Chorwatów, Słoweńców, Bośniaków itp. Poza Armią Michajłowicza powstają także luźne oddziały partyzanckie, zwłaszcza na terenie Chorwacji, które z



Belgrad – widok ogólny

chwila przystąpienia Rosji Sowieckiej do wojny przeciw Niemcom zostają stopniowo opartowane przez komunistów miejscowych, względnie też „użyczonych łaskawie przez Centralę Moskiewską” jako fachowych kierowników do walk partyzanckich, przynoszących także ze sobą dyrektywy opanowania kraju drogą penetracji do oddziałów Michajłowicza i rozsadzenia ich od wewnątrz.

Partyzanci z chwilą gdy się znaleźli pod ustawicznie wzmagającym się wpływem komunistów, stanęli na stanowisku, że wojna międzynarodowa musi stać się podstawą do wojny klasowej i ma się przerobić w wojnę domową, która powinna zniszczyć wszystkie elementy stojące na przeszkodzie w budowie socjalistycznego państwa. Nie też dziwnego, że pierwszym wrogiem przyszłego państwa socjalistycznego okazał się gen. Michajłowicz, wraz ze swymi zwolennikami, dążącym do odbudowania naprawdę wolnego i niepodległego królestwa SHS. Między grupą gen. Michajłowicza a królewskim rządem, znajdującym się wraz z królem na emigracji w Anglii, były utrzymywane ścisłe stosunki służbowe.

Przybyły z Moskwy wybitny działacz kominternowski, Tito (Józef Broza) rozpoczyna organizowanie i przekształcanie chorwackich oddziałów partyzanckich, walczących dotychczas przeciwko Niemcom, do walki przeciwko Michajłowiczowi, reprezentującemu legalny rząd królewski w Londynie.

Jednocześnie rozpoczyna się wprowadzanie reżimu komunistycznego z pominięciem nawet tych pozorów, jakie zachowywano w Rumunii,

na Węgrzech i w Polsce. Wojna z Niemcami dla komunistów staje się rzeczą drugorzędą, wojna domowa zaś została wysunięta na plan pierwszy. Obok walki zbrojnej przeciwko oddziałom Michajłowicza, władze titowskie wszczęły silną propagandę przy pomocy Moskwy przeciwko „czetnikom” (oddziałom serbskim Michajłowicza). Tymczasem według oświeślenia F. A. Voigt'a, wybitnego publicysty angielskiego, sytuacja przedstawiała się całkiem odmiennie.

„Sam Tito oświadczył, że jego partyzanci pierwsi zaatakowali „czetników”. Gen. Verlebit, który odwiedził Londyn jako osobisty wysłannik Tito i o którym Churchill wyrażał się w pochlebnych słowach, poinformował nas, że walka przeciwko tym elementom tj. żołnierzom Michajłowicza, była równie istotna, jak i walka przeciwko obcemu najeźdźcy.

Nie ma takiego błota, którego by nie rzucano na Michajłowicza, od przeszło roku. Ani jedno z oskarżeń przeciwko niemu nie zostało udowodnione. W dalszym ciągu pozostaje on człowiekiem umiejącym szczególnie daleko patrzeć, żelaznej odwagi i przekonania, najczystszej patriotyzmu, niesplamionego honoru.”

Wprowadzenie dyktatury komunistycznej w SHS natrafiło i natrafi na znaczne trudności. Prostym, patriotycznie usposobionym wieśniakiem walczącym przeciw wrogowi zewnętrznemu został całkowicie zdezorientowany przez perfidną propagandę komunistyczną, występującą pod



Lublana. Na wzgórzu — stara forteca

hasłami walki narodowej przeciwko najeźdźcom, której ciężar w pewnym momencie został przerzucony na te warstwy społeczne względnie narodowe, które były przeciwne komunistycznej w kraju. Wykorzystanie przez Tita z jednej strony silnych antagonizmów narodowych istniejących w SHS z drugiej zaś nędzy materialnej społeczeństwa, wyniszczającego długotrwałą wojną i rządami okupacyjnymi, stworzyło podstawę do rozpoczęcia działań zaczepnych przeciw Michajłowiczowi.

Jednak pomimo tak szerokiego skomunizowania mas, zamieszkujących SHS, Tito natrafia na poważne przeszkody ze strony pewnej części społeczeństwa, która występuje zbrojnie przeciw zapędowi bolszewizacji kraju. Wrogami partyzantów Tito obok „czetników” serbskich stają się także i inne narodowości. Każda narodowość ma swoich przedstawicieli w walce o prawdziwą wolność i demokrację w kraju, która pomimo zakończenia wojny z Niemcami jest w tym samym stopniu, jeżeli nie w większym, zagrożona. I tak np. w Czarnogórze i Bośni działały oddziały Muzułmanów wrogo ustosunkowanych do komunizmu.

Jednocześnie z wojskową „likwidacją” przeciwników reżimu Tita była prowadzona bezczelna propaganda przeciwko tym ludziom, którzy nie sprzeniewierzyli się idei niezależności państwowej w pełnym tego słowa znaczeniu i którzy pragnęli raczej zginąć, niż dopuścić do tego, ażeby kraj ich stał się jedną z republik Związku Sowieckiego. Michajłowicz oraz cały szereg innych niepodległościowców zostało oskarżonych o współpracę z Niemcami, o dążenie do wprowadzenia ustroju faszystowskiego w kraju.

Jednak, pomimo olbrzymiej przewagi materialnej, partyzanci komunistyczni nie mogli dać sobie rady z likwidacją tego oporu. Dopiero wkroczenie Armii Czerwonej pod dowództwem Tolbukina do SHS zmieniło radykalnie sytuację na korzyść Tita.

Przy pomocy Armii Czerwonej, oficerowie i żołnierze, którzy walczyli przeciwko Niemcom w przeciągu 4-ech lat, zostali rozbieni, aresztowani lub internowani, a nawet wielu zostało rozstrzelanych. W „uwolnionej” Serbii założono obozy koncentracyjne, do których zaczęto masowo wysyłać przeciwników nowego ustroju, często nawet ludzi niewinnych i biernych, ale którzy mogliby przedstawiać pewne niebezpieczeństwo dla nowych władz Jugosławii. Szczególnie silnie ta walka zaznacza się na odcinku warstwy intelektualnej kraju, która została poddana metodom masowego wyniszczania. Życie przestało być bezpieczne, stało się wprost koszmarnie. Po wybiciu większości inteligencji przystąpiono obecnie do dalszej akcji, mającej na celu zdyscyplinowanie społeczeństwa. W tym celu zmobilizowano całą ludność w wieku od 16 do 40 lat (mężczyzn i kobiet), która zostanie poddana metodom wychowawczym „w nowym duchu ideologicznym”. Około 20.000 dzieci ma być wysłanych do Rosji (w tym samym celu (na wospitanie)).

Dlatego też dla uniknięcia starć z Armią Sowiecką, Michajłowicz ze swoimi oddziałami, liczącymi 70.000 żołnierzy, oraz z 30.000 przedstawicieli inteligencji, wycofał się w góry Bośni, gdzie oczekuje swego przeznaczenia. Według ostatnich wiadomości znaczna część

wojsk Michajłowicza, przy wybitnej pomocy oddziałów sowieckich, została zlikwidowana, a resztki, które pozostały, stawiają tylko lokalny opór, pozbawione pomocy i zapomniane przez swoich zachodnich aliantów.

Powodzenie ruchu komunistycznego Jugosławii należy przypisać przede wszystkim taktyce zastosowanej przez partię komunistyczną, która wykorzystując ruchy partyzanckie o partię na przesłankach ściśle patriotycznych, stopniowo opanowała je posługując się zresztą hasłami narodowymi.

Przez długi czas partia komunistyczna utrzymywała wersję, że ruch partyzancki nie jest ruchem komunistycznym, lecz narodowym, w którym wszystkie tendencje polityczno-partyjne mogą swobodnie się rozwijać. W rzeczywistości jednak partia komunistyczna potrafiła umocnić swoje stanowisko, które umożliwiło jej w rezultacie całkowitą kontrolę i poddanie pod swoje wpływy ruchów niepodległościowych. Ciekawe światło na nieświadomość miejscowego społeczeństwa wobec niebezpieczeństwa idącego ze strony komunizmu rzuca fakt, że partie nie komunistyczne jak np. agrariuszy chorwackich, nie orientowały się do ostatniej chwili w zamiarach komunistów, którzy tworząc komitety wyzwolenia narodowego (wywodzące swą genezę z tych samych źródeł co i komitety wyzwolenia w innych krajach) posługiwali się takimi hasłami jak: niepodległość, braterstwo narodów, demokracja, postępy socjalny itd. Otóż przedstawiciele innych istniejących jeszcze początkowo partii, zapytywani dlaczego nie chcą zająć stanowiska samodzielnego lub opozycyjnego, odpowiadali, że to jest zbędne, ponieważ jedyną partią jest partia „zjednoczenia narodowego” posiadająca te same programy jak każda z nich z osobna. Nie też dziwnego, że inne partie, które istniały przed wojną — jak katolików chorwackich, lub socjalistów słoweńskich, siłą rzeczy musiały skończyć swoją samodzielną działalność. Na placu pozostała jedyna tylko partia, partia komunistyczna.

Jak już zaznaczyłem, podstawą prawną nowego ustroju jugosłowiańskiego stały się komitety wyzwolenia narodowego, (stanowiące rodzaj nieoficjalnych parlamentów w poszczególnych prowincjach i państwach federacji jugosłowiańskich), które idąc po linii piramidalnej tworzą Centralny Komitet Wyzwolenia Narodowego spełniający de facto funkcje rządowe. Ustrój państwowy „nowej Jugosławii” został oparty na zasadzie federacyjnej. W skład tej federacji wchodzi następujące państwa: Chorwacja, Serbia, Słowenia, Bośnia i Hercegowina, Czarnogóra oraz Macedonia.

Po umocnieniu się, komuniści przystąpili do generalnej akcji przeciwko konstytucyjnemu rządowi, znajdującemu się w Londynie. Po długich zabiegach i naciskach, oraz przy wybitnym współudziale władz brytyjskich a ściślej mówiąc Churchilla, doszło do utworzenia rządu koalicyjnego, polegającego na fuzji rządu londyńskiego z rządem belgrad-

kim, utworzonym samowolnie przez „Front Zjednoczenia Narodowego”.

Cechą charakterystyczną nowego rządu jugosłowiańskiego jest ogromne powiększenie liczby ministrów. Cały rząd składa się z 28 ministrów wchodzących w skład Centralnego Rządu Federacyjnego. Ponadto istnieją jeszcze rządy państw wchodzących w skład federacji, których liczba jest także niemala. Z 28 ministrów tylko trzech nie wypowiedziało się na rzecz Tita. W rękach ministrów „Titowców” skupiono najważniejsze resorty ministerialne. Z liczby 25 ministrów 14 jest członkami partii komunistycznej, a pozostali już od dawna agitowali na rzecz Tita, a być może w danej chwili są już członkami partii komunistycznej. Taki stosunek sił politycznych na arenie rządowej prowadzi do obsadzenia przez partię aparatu całej administracji państwowej, oraz do wzmocnienia centralizmu. Stworzenie zaś ustroju federacyjnego jest tylko parawanem na użytek zewnętrzny, ponieważ w samych rządach prowincjonalnych większość stanowią komuniści.

W skład utworzonej regencji wchodzi Słoweniec Dusan Sornec, zaufany Tita, były minister rządu jugosłowiańskiego sprzed wojny, oraz Chorwat dr Antoni Mandić. Trzecim członkiem regencji jest Serb dr Srdjan Budisavljević, należący jeszcze w okresie przedwojennym do antymonarchistycznej organizacji „Czarnej Ręki”. Dwaj pierwsi są związani postanowieniami antyfaszystowskiego Zgromadzenia Rady Narodowej, które już dawno przesadziły „złożenie z tronu” króla Piotra II.

Przez skład rządu i regencji partia komunistyczna zapewniła sobie całkowitą większość w kraju, chociaż obecnie wiele grup narodowościowych jest wybitnie przeciwna hegemonii komunistycznej. Rząd ten stwarza tylko pozory i to „słabo skleconego” porozumienia, za którym kryje się czerwona dyktatura.

Tak więc pod przewodnictwem marsz. Tito rozwój totalistyczny Jugosławii (SHS) jest bardzo szybki. W wyborach w Macedonii wszystkim głosującym została przedłożona tylko jedna lista kandydatów wyznaczonych przez Front Wyzwolenia Narodowego. Żadne inne organizacje polityczne nie zostały wzięte pod uwagę. Cała Jugosławia kierowana obecnie przez Tita jest nastawiona w kierunku realizacji i polepszenia warunków istnienia „jedynej partii” — partii państwowej (komunistycznej), przechodzącej obecnie przez ostateczny proces „unifikacji i utrwalać się”. Ciekawym przykładem tej „unifikacji i utrwalać się” tej jedynej partii jest wypadek, który zaszedł w dniu 14 marca br. Pewna grupa osób z serbskiej partii agrarnej oskarżyła swego prezesa, Milana Gavrilowica, o faszyzm i współpracę z Michajłowiczem. Natychmiast został on aresztowany i aresztowany. Nowy prezes partii złożył wniosek o przyjęcie całej partii w skład Frontu Wyzwolenia Narodowego Serbii (pod tą nazwą kryje się partia komunistyczna).

Naturalnie, że zostało to entuzjastycznie i jednomyślnie przyjęte.

Doskonale charakteryzuje obecną sytuację panującą w „wojnej Jugosławii” John Chabot Smith, który będąc związany pewnymi węzłami przyjaźni z Tito miał możliwość swobodnego podróżowania po kraju. Swoje ciekawe uwagi i wrażenia zamieścił w „Saturday Evening Post” w dniu 17 lutego br.:

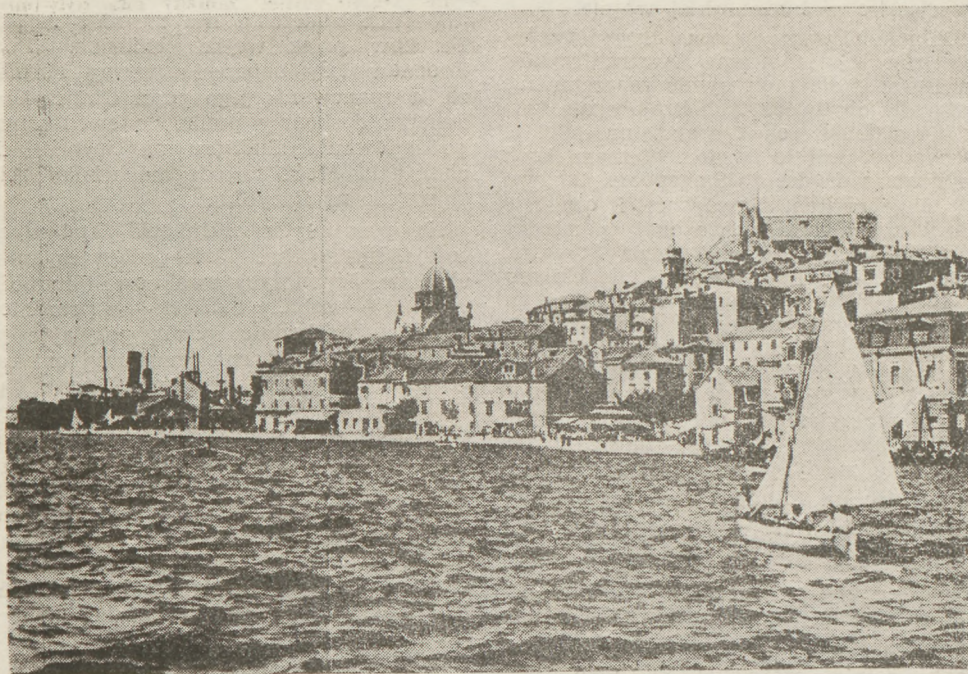
„Komuniści dzisiejsi w Jugosławii pod wieloma względami przypominają komunistów rosyjskich z roku 1917. Będąc opanowani manią rewolucyjną, przeprowadzają likwidację opozycji gwałtem... Komisarze polityczni wykonują ścisły nadzór nad wszystkimi władzami wojskowymi i cywilnymi. Ich system szpiegostwa jest doskonale zorganizowany; te osoby, które są widziane w towarzystwie podejrzanym, lub które wydają się być niebezpieczne dla obecnego ustroju, natychmiast są karane i to więzieniem lub karą śmierci. Mówiąc ogólnie, na terytorium zajętym przez partyzantów (Tita) jeżeli się nie jest partyzantem, to się nie je, lub w najlepszym wypadku je nie złe...”

być wymordowane w samej tylko Lublanie, gdyby do tego miasta weszli partyzanci.

Rząd Tita prowadzi także systematyczną walkę przeciwko kościołowi katolickiemu. Księża oskarżani są między innymi o ukrywanie Niemców, o noszenie broni pod sutaną, o organizowanie oporu przeciwko „prawdziwym siłom demokratycznym” narodu. Masowe aresztowanie duchowieństwa i ich deportacje stanowią zjawisko codzienne.

Lecz nie tylko w SHS, ale wszędzie, we wszystkich krajach Europy Środkowej, począwszy od Bałtyku aż po Adriatyk, panuje straszliwy terror, który jest starannie ukrywany, ażeby nie się nie przedostało z owego „piekła” do ludzi, którzy jeszcze mogą się cieszyć wolnością osobistą. Dziennikarze, którym czasami udaje się przeniknąć poza kordon komunistyczny, są zazwyczaj uważani za szpiegów, a tylko dzięki temu, że są zbyt wpływowi, unikają rozstrzelania.

Niewątpliwie za taki rzeczy, który wytworzył się na Bałkanach i w innych krajach Europy Środkowej odpowiedzialność ciąży na



Sebenico od strony Adriatyku

System terroru, prowadzony przez bandy partyzantów, a zalegalizowany następnie po opanowaniu całego kraju przez komunistyczny Front Narodowy, pociągnął za sobą olbrzymie masakry ludności. Jak daleko owe masakry demokratów i katolików były i są organizowane, mówią spisy kandydatów na tamten świat, znalezione w podziemnej centrali komunistycznej w Lublanie. Owe „listy śmierci” wymieniały 20.000 osób, które miały

twórcach uchwał krymskich, zwłaszcza na Rosji Sowieckiej, która w myśl swego dążenia do „zrewolucjonizowania świata” szczególnie mocno jest zaangażowana w sianiu zamętu, ażeby móc tym łatwiej wprowadzić dyktaturę proletariatu, stanowiącą przejście do całkowitego „komunizowania danego kraju i późniejszej jego inkorporacji do ZSSR.

Po raz pierwszy w nowoczesnej historii wpływ angielski został wyeliminowany z Bał-

kan (z wyjątkiem Grecji), równowaga sił nie została przywrócona przez wojnę i nowe, olbrzymie problemy wyrosły przed Wielką Brytanią.

Za dalsze utrzymanie takiego stanu w całej Europie Środkowej i na Bałkanach odpowiedzialność będzie ciążyła na całej Europie. Polacy szczególnie silnie odczuwają cierpienia

narodów bałkańskich, które cierpią tak samo jak i Naród Polski pod krwawą dyktaturą komunistyczną. Najwyższy już czas, aby słowa „demokracja i wolność” były należycie interpretowane i rozumiane. Od zrozumienia tego zależy przyszły los i pokój świata.

M. Chał Janiszewski

Sytuacja na kontynencie azjatyckim

Na kontynencie azjatyckim wojska alianckie odnoszą bardzo poważne zwycięstwa. Jeśli chodzi o zdobycze terytorialne, to są tu one bardziej widoczne niż na wyspach Pacyfiku.

W Burmie Japończycy zostali całkowicie pokonani i usiłując ocalić resztki swoich rozbitych oddziałów, pod osłoną nocy cofają się do Sjamu. Opanowując Burmę i zajmując jej stolicę Rangoon — 14 armia brytyjska odniosła największe zwycięstwo w burmańskiej wojnie.

Odbicie Burny przez Brytyjczyków, jak również lądowanie Australijczyków na Borneo, mają olbrzymie znaczenie nie tylko dla obydwóch tych krajów, ale także dla ogólnego rozwoju akcji na Dalekim Wschodzie. Jest to bowiem olbrzymi krok naprzód na drodze do Singapoore. Odebranie Japończykom Singapoore i otwarcie cieśniny Molucca, położonej pomiędzy półwyspem Malajskim i wyspą Sumatra, zaoszczędziłoby dwódmilstwu alianckiemu około 6.000 mil odległości koniecznej do transportowania wojsk z europejskiego teatru wojny na Pacyfik. Wtedy transporty będą kierowane drogą morską przez Kanał Suezki i Indie, zamiast, jak to jest praktykowane obecnie, przez Stany Zjednoczone. Z Indyj ludzie i zaopatrzenie mogłyby być przesyłane przez Singapoore na Filipiny, zarówno dla inwazji Japonii właściwej, jak i dla ewentualnego lądowania na wybrzeżach chińskich. Kwestia — jak wiele wojska będzie skierowane na Pacyfik przez Kanał Suezki, a jak wiele przez Stany Zjednoczone, zależy częściowo od tego, jak szybko nadejdzie R-day, w którym rozpocznie się akcja przeciw Japonii na całej linii. Generał Eisenhower twierdzi, że dzień ten nie nadejdzie zbyt szybko.

W Chinach, gdzie jeszcze przed niedawnym czasem sytuacja była bardzo groźna z powodu wielkiej inwazji japońskiej, w której udział brało 80.000 Japończyków, skierowanej na Chunking, nastąpił olbrzymi zwrot. Wojska chińskie w obecnej chwili na wszystkich frontach

postępują naprzód. Na południowo-zachodnim odcinku olbrzymiego frontu wojska chińskie opanowały „korytarz” pomiędzy Chinami i Indochinami i posuwają się ku granicy francuskich Indochin. Na skutek tego posunięcia armii chińskiej około 200.000 Japończyków zostało izolowanych w Sjamie, Indochinach i na Malajach, bowiem wszystkie japońskie linie komunikacyjne w południowej Azji znalazły się w rękach Chińczyków.

Wielkie znaczenie ma również zajęcie Foochow przez wojska chińskie. Port Foochow leży naprzeciw wyspy Formoza, a opanowanie jego przez Chińczyków stwarza doskonały punkt do ewentualnego lądowania aliantów na wybrzeżach chińskich. Może to odegrać wielką rolę w wojnie na Pacyfiku.

Na pozostałych odcinkach Japończycy cofają się szybko. Jak podają czynniki chińskie, Japończycy ewakuowali ludność cywilną — kobiety i dzieci — z południowych i wschodnich Chin, posyłając ją do Mandżurii. Obecnie ewakuują oni cały szereg małych garnizonów, znajdujących się na północ od linii kolejowej Kweichow — Kwangsi. I wreszcie w Chinach Południowych wojska japońskie wycofały się z Kantonu i Hong-Kong, aby uniknąć otoczenia. Wiadomość ta nie została jeszcze potwierdzona, ale ewentualna ewakuacja japońskich sił stamtąd stworzyłaby drugi port chiński, przez który alianti mogliby uderzyć na ląd azjatycki.

Należy jednak wziąć pod uwagę, że zarówno Foochow jak i Hong-Kong są w dużym stopniu chronione przez garnizon japoński na Formozie. Stąd bowiem startujące samoloty japońskie utrudniałyby wszelkie alianckie operacje desantowe na kontynencie chińskim. Jak podaje japońska agencja prasowa, Formoza została zamieniona w jedną wielką fortecę. Leży ona na połowie drogi pomiędzy Okinawa i Hong-Kong. Trudno jest przewidzieć, jak będą wyglądały operacje aliantów, jeśli chodzi o Formozę i naprzeciw niej położony brzeg chiński, ale

ciężkie bombowce amerykańskie w dzień i w nocy tłuką tę wyspę.

Ze wszystkich posunięć aliantów na Dalekim Wschodzie widać jasno, że przygotowują się oni do zadania ostatecznego ciosu Japończykom. Czołgi, działa i inne uzbrojenie pozostałe po wojnie w Europie, w ilości 60% zostaje obecnie przesy-

łane na Daleki Wschód. To samo odnosi się do lotnictwa. Ciekawe jest, że pomimo oficjalnych zapewnień, że wojna z Japonią pociągnie się jeszcze bardzo długo, naogół panuje przekonanie, że Japończycy skapitulują w przeciągu najbliższych sześciu miesięcy.

J. J.

Ostatnie stadium

Z chwilą, kiedy skończyła się wojna z Niemcami, wzrosło natężenie ataków alianckich na Japonię. Japonia, pomimo, że pozostaje nadal potęgą militarną, zmuszona została do walki defenzywnej. Nie należy jednak sądzić, że jest to walka mniej zaciekała, lub mniej gwałtowna, raczej przeciwnie — przeszła bowiem w stadium desperacji.

Ostatnio Japończycy zastosowali nową broń. Są to bomby niesione przez balony. Broń ta ma być skierowana przeciw wschodnim stanom Ameryki Północnej. Balony te są typem balonów stratosferycznych, pilotowanych przez ludzi. Radio japońskie podaje, że dotychczasowe ataki były tylko eksperymentalne, choć dokonano ich już setki. Balony mają lecieć na wysokości 45.000 stóp, a czas przelotu do Stanów Zjednoczonych będzie trwał niewiele ponad 100 godzin.

Obrazem zaciekałości, z jaką walczą Japończycy, są walki na Okinawa. Zdobywanie tej wyspy postępowało z niesłychaną powolnością. Japończycy dokonali szeregu kontrataków i lądowań na tyłach wojsk amerykańskich; zostały one odparte, ale kosztowały wiele ofiar. W czasie tych kilku tygodni walk o Okinawa Japończycy stracili 67 tysięcy żołnierzy. Japońskie straty dzienne wynoszą więc 1634 zabitych. Na utrzymaniu Okinawa zależało Japończykom bardzo, bowiem według słów Japońskiego premiera Suzuki — walka o Okinawa będzie decydowała o całej wojnie. Pomimo wielkich wysiłków i wielkich strat, Okinawa faktycznie jest dla Japończyków stracona.

Sukcesy lotnictwa alianckiego są nadzwyczajne. Według planu dowództwa alianckiego bombardowanie Japonii właściwej zostało uintensyfikowane do maksimum. Są pewne okręgi, w których wszelkie istniejące tam obiekty przestały istnieć na skutek bombardowań. Gen. James Doolittle oświadczył, że ma być dokonanych 2000 lotów bojowych nad Japonię i że w bieżącym roku zostanie tam zrzucone dwa razy więcej bomb niż alianci zrzucili w tym roku na Europę. Większość sił ludzkich będzie przeniesiona z Europy na Pacyfik. Pozostanie tu tylko ta część lotnictwa, która należy do sił oku-

pacyjnych. Ilość samolotów w Europie wynosiła 2400 latających Fortec i Liberatorów. Jest to tylko liczba samolotów, które brały ostatnio udział w operacjach. Ponadto jest jeszcze wielka ilość maszyn w warsztatach reperacyjnych, oraz nowych, będących w bazach rezerwowych.

Co się tyczy dalszych planów wojny na Dalekim Wschodzie, to istnieją dwa kierunki przypuszczeń; jeden skłania się ku inwazji Chin, a następnie Japonii właściwej, drugi zaś opowiada się za zburzeniem przemysłu japońskiego przez bombardowanie z powietrza i zajmowaniem wyspy po wyspie. W każdym bądź razie admirał Nimitz powiedział: „Będziemy bili Japonię wszystkimi środkami, jakimi rozporządzamy — zarówno na morzu, jak i w powietrzu. I dziś nie ma takiego miejsca w Japonii, które nie byłoby w zasięgu naszego lotnictwa”. Następnie dodał, że „siły nieprzyjaciela na Pacyfiku są jeszcze bardzo poważne i droga do zwycięstwa jest jeszcze bardzo długa”.

Pomimo zwycięstw wojsk alianckich na wszystkich frontach, i zbliżania się ustawicznego do wysp Japonii właściwej, pamiętać należy, że japońskie straty w ludziach nie są jeszcze katastrofalne. Ma ona wielkie zapasy w materiale ludzkim. Rezerwy te są obliczane na 4.000.000, a z tego więcej niż połowa jest przeszkolonym wojskiem. Wielkie siły japońskie są skoncentrowane na lądzie chińskim i nie ma żadnej racji przypuszczać, że siły te poddadzą się, nawet gdyby Japonia właściwa została zajęta.

Jeśli chodzi o Rosję Sowiecką, to przystąpienie jej do wojny na Dalekim Wschodzie zmieniłoby całkowicie strategiczny obraz wojny na tutejszym teatrze. Kosztowałoby to aliantów o wiele mniej żyć ludzkich i czasu. Stanowisko Rosji jest jednak znane... Natomiast jeśli chodzi o zyski terenowe, to Rosja okazuje wielkie sympatie dla planów Stanów Zjednoczonych, dotyczących okupacji wysp odebranych Japończykom, ale zastrzega sobie prawo żądania niektórych wysp, położonych w rejonach przyległych do jej granic, ze względu — podobno — na bezpieczeństwo...

J. Moran

Blisko dna

(Miesięczny przegląd wydarzeń)

Nie przeżywalimy jeszcze w tej wojnie okresu dla sprawy polskiej tak ciężkiego, jak obecnie. Gdy na nasz dom ojczysty waliła się przemoc niemiecka wiedzieliśmy, że upomnieć się o nas będą musieli i we własnym interesie i w imię podpisanych traktatów nasi sojusznicy zachodni. Że nikt nie wymyśli drugiej Polski, drugiego rządu polskiego, by skryć się za ten parawan przed wypełnieniem zobowiązań. Gdy więźniom sowieckich łagrów polityrucy powtarzali, że już Polski nie ma, gdy pytali: „gdzie wasz rząd”, niejeden usłyszał dumną odpowiedź — chwilowo w Londynie.

W obecnej chwili Rosja Sowiecka, okupawszy przemocą nasz Kraj ojczysty, czeka na legalizację narzuconej przez nią okupacji, czeka na uznanie posłusznego jej narzędzia za rząd polski. Więcej, po raz pierwszy w tej wojnie na szali naszej sprawy przemożnie zaważyli zdrajcy, obcy agenci, którzy przyłożyli swą rękę do tego, by „samozwańcze polityczne ciało, złożone z komunistów i obcych agentów stało się rządem polskim”.

Nad Polską, pierwszym obrońcą wolności, zawisł pierwszy werdykt niewoli, tak jak nad polskimi podziemnymi bojownikami wolności pierwszy rozpoczęto w tej wojnie sąd, jak nad wojennymi zbrodniarzami, choć jeszcze nie osądzono ani generałów S.S. ani szefów Gestapo, a na ławie sędziowskiej zasiadają i najgłośniejszą sądzić wspólnicy Hitlera z września 1939 r. Próbuje po raz drugi wydać wyrok śmierci na naród, który już raz we wrześniu 1939 roku chcieli bezpowrotnie z karty Europy wspólnie z Hitlerem wymazać. Tym razem chcą do spółki państwo polskie likwidującej wciągnąć mocarstwa zachodnie, by z nimi podzielić się winą piątego rozbioru Polski i likwidacji naszej państwowości.

Proces

Jak zawsze najgroźniejszą bronią, którą wojujący bolszewizm niszczy świat zachodni i tym razem jest rozkład moralny. Cios został przygotowany i wymierzony tak, by możliwie gruntownie splugawić ideały człowieka zachodniej, chrześcijańskiej kultury, by prawdę i sprawiedliwość zerwać ze sztandarów Zachodu, a przynajmniej obrzucić je błotem.

Bo taki jest sens i cel moskiewskiego procesu!

Ministrowie spraw zagranicznych W. Brytanii i St. Zjednoczonych przerwali rozmowy w sprawie polskiej przed dwoma miesiącami i oświadczyli, że nie mogą ich prowadzić, dopóki nie zostanie wyjaśniony los 16 przewodców Polskiego Podziemnego Państwa. Wyrzucony z Polskiej Partii Socjalistycznej Jan Stańczyk mówił dosłownie: „Jakżeż możemy uczciwie prowadzić rozmowy w Moskwie, gdy gdzieś

obok niedaleko siedzą za kratami nasi towarzysze!”

Podróże wysłanników prezydenta Trumana pp. Davies'a i Hopkins'a do Londynu i Moskwy „zakończyły się powodzeniem”, jak doniosły anglosaskie agencje prasowe podróże te przygotowały „porozumienie” w sprawie Polski i nowe spotkanie Wielkiej Trójki. Prawdziwym powodzeniem zakończyła się nowa reżyseria moskiewska, która doprowadziła do postawienia przed sąd przewodców Polskiego Państwa Podziemnego w tym samym czasie, gdy w tej samej Moskwie ugłę polsko-sowiecką, „nowy rząd” dla Polski, przygotowywali przedstawiciele mocarstw zachodnich — naturalni obrońcy prawa i sprawiedliwości, oraz polscy zdrajcy — tej samej krwi, co zasiadający na ławie oskarżonych bohaterowie Polski Podziemnej.

Polska nie tylko była natchnieniem narodów, gdy dawano jej to miano, ale była i jest sztandarem prawa i sprawiedliwości. Sztandar ten dzierży w ręku prawowity Rząd Polski. To też reżyserzy sowieccy zrobili wszystko, by w procesie moskiewskim ten właśnie Rząd oskarżyć.

Postawa Polaków w kolumnowej sali moskiewskich procesów była o całe niebo wyższa od postawy tych, którzy kajali się w 1936, czy 1938 roku w tej samej sali. Nie znalazło się tylko w świecie dość miejsca w radio i prasie, by jasno powiedzieć, że to co miało być winą oskarżonych bohaterów Polski Podziemnej — było ich obowiązkiem i zasługą wobec polskiego narodu i wobec zachodniego świata. By powiedzieć jasno, że z chwilą, gdy mimo setnych prób porozumienia i tysięcy ofiar armia sowiecka na ziemi polskiej przyszła jako okupant, walka jest *dobrym prawem samoobrony narodu polskiego*, choć oczywiście nie kto inny, jak tylko kierownictwo polskiego narodu decydować może o formach i czasie tej walki.

Gdy czasem gorzyc zalewa serce, a na usta ciśnie się pytanie: „coż nam z prawości i czystości sprawy polskiej, gdy w świecie cynizm i kłamstwo biorą górę”, proces moskiewski daje odpowiedź. Furia, z jaką wszystkimi środkami pragnie się wydrzeć z rąk Polski sztandar prawa, sprawiedliwości i prawdziwej wolności, jest dowodem, że realistyczna Moskwa w pełni docenia siłę idei w polskim ręku. Tylko pod sztandarem prawdy i sprawiedliwości może nastąpić odrodzenie świata i mobilizacja wszystkich sił uznających prymat ducha, bez czego nie może być mowy o zwycięstwie.

Rząd

Bankiet u Stalina zakończył pertraktacje lubelskich agentów, kilku Polaków z Kraju ekipy Mikołajczyka pod protektorem trzech cudzoziemców. Rozmowy te dały „samozwań-

cze polityczne ciało", które nazwało się „polskim rządem jedności narodowej”. Komunikaty radiowe donosiły wprawdzie o możliwości objęcia przez Mikołajczyka teki premiera, następnie wicepremiera i ministra spraw zagranicznych, aż wreszcie ulokowały go na stanowisku wicepremiera i ministra rolnictwa. Na tym stanowisku nie tak dawno oskarżono Andrzeja Witosa o sabotaż za niewykonanie reformy rolnej. Możliwości polityczne Mikołajczyka, jak widzimy, rozszerzają się.

Rząd polski w proteście do rządów mocarstw zachodnich i w odezwie do Narodu Polskiego powiedział na ten temat wszystko. Przypomniał nawet, parafrazując słowa Churchilla, że tak, jak król angielski nie poto mianuje premiera, by ten likwidował imperium tak, tym bardziej nie poto Prezydent mianował Rząd Polski, by miał on likwidować nie imperium, którego Polacy nie mają, a polską niepodległość.

Rząd Polski powiedział Narodowi całą prawdę o groźbie sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się, niczego nam nie obiecując prócz „trudu, potu i łez”. Z odezwy Rządu Polskiego powiał ten sam duch, który kazał Józefowi Beckowi w 1939 roku oświadczyć, że nie ma ceny dla honoru Polski. Dziś Rząd R. P. stwierdza, że nikt nie może oczekiwać, by naród polski popełnił samobójstwo w imię domniemanej mądrości, a by nadomiar splamili swe imię.

Rząd Polski wyraźnie podzielił nasz naród według różnicy metod walki na dwie części, na cierpiącą większość w Kraju, zmuszoną do milczenia i nas na wolności, którzy mamy być rzecznikami tych, co będą musieli milczeć.

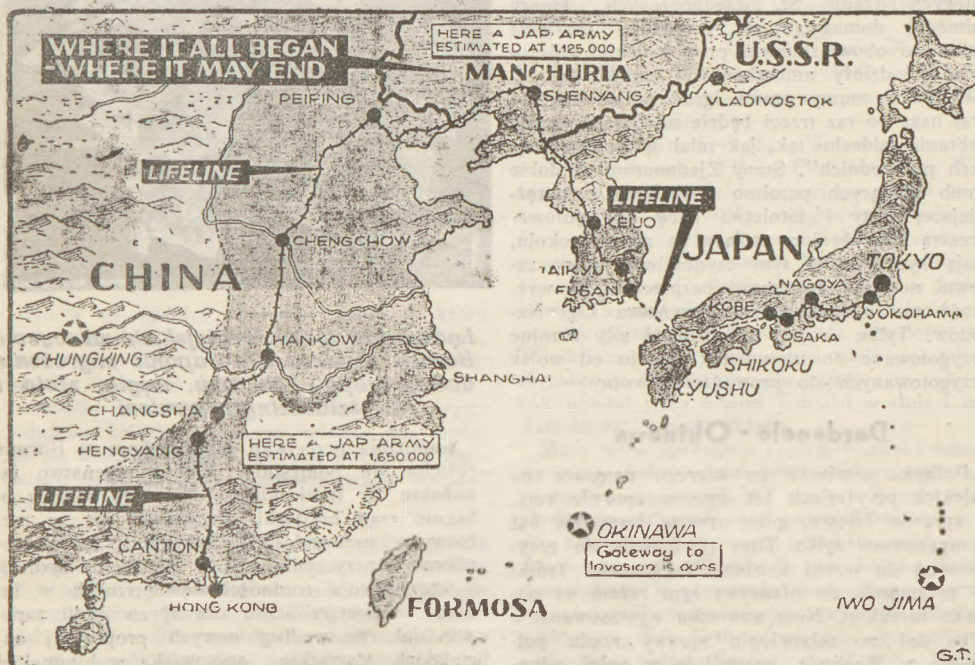
Jasno wytyczona i jedyna jest przed nami droga. Nie tu miejsce na pytania drobne — co dalej z każdą jednostką, czy zbiorowością polską. Na pytania te da odpowiedź solidarność i dyscyplina narodowa.

Wiemy, że jeszcze nie jesteśmy u dna naszej narodowej tragedii. Wiemy, że sroższe ciosy czekają naszych braci w Kraju, większe trudności mogą stanąć przed nami za granicą. Lecz ostatnie orędzie Rządu uderzyło już w ten ton, który będzie obowiązywał i na dnie kryzysu, który będzie naszą chlubą i dumą, gdyby nawet na jakimś odcinku do kryzysu nie doszło.

Karta

Los naszej sprawy przysłania nam spokojne wejrzenie na całokształt sytuacji międzynarodowej. Lecz gdy tylko przyjrzeć się jej bliżej, nie sposób nie dojrzeć, że sprawa polska jest tylko najbardziej przez bohaterstwo narodu i ogrom krzywdy uwydatnionym punktem sytuacji międzynarodowej, w której te same siły i problemy wchodzą w grę.

Po sześćdziesięciu dniach obrad zakończyła się konferencja w San Francisco. Pozostała po niej ogromna karta złożona ze 111 artykułów, podpisana przez przedstawicieli 50 państw. Rosja Sowiecka wycofała się ze swego pierwotnego stanowiska w sprawie weta tak, że obecnie „veto wielkiego mocarstwa nie może zapobiec” dyskusji i rozważaniu każdej sprawy przez Radę Bezpieczeństwa, złożoną z pięciu wielkich mocarstw, jako jej stałych członków i



Armie japońską w Chinach (na terenach zakreskowanych) ocenia się na 1.650.000, w Mandżurii — na 1.125.000 żołnierzy.

sześciu członków wybieranych spośród innych państw. Delegat Meksyku nie znał zapewne określenia przygotowywanego systemu bezpieczeństwa według „Orla Białego” sprzed wielu miesięcy, gdy przegląd prasy polskiego tygodnika pisał o „barankach w klatce i tygrysach na wolności”. Lecz p. Alfonso Garcia Robles zwalczając prawo weta mówił o „systemie w lesie, który będzie utrzymywał w porządku myszy, ale nie lwy”. Na konferencji zaznaczył się wyraźnie, choć mało skuteczny prąd państw mniejszych, którym przewodziła Australia i Nowa Zelandia. Smutne widoki wróżył dla systemu opartego o dominację wielkiej piątki pański „Tems Présent” pisząc: „Nie ma innego prawa niż prawo siły. Małe narody muszą zniknąć, a gdy zaatawi się z małymi narodami, wielkie muszą pożreć jeden drugiego... I wszystkie one będą zjedzone. Lecz lepiej jest być małym narodem. Bo — jak mówił grecki poeta — lepiej jest znosić nieprawdę, niż ją popełniać”. Szkoda tylko, że powyższe uwagi nasunęły się francuskiemu pismu dopiero w związku z zatargiem syryjskim, a nie skłoniły go do sugerowania Francji właściwszej roli w polityce europejskiej — przewodztwa małym narodom Europy, zamiast gwałtownego poszukiwania piątego krzesła w gronie wielkich mocarstw.

Dardanele - Okinawa

jażni. Według pierwszych wiadomości równoległe do tego ma być wysunięte żądanie kontroli sowieckiej nad Dardanelami i przyłączenia do Związku Radzieckiego rejonów pogranicznych Karsu.



Kampania przeciwko Japończykom w Burmie rozwija się pomyślnie. Niebezpieczeństwo japońskie dla Indii minęło. Mimo to właśnie obecnie rząd brytyjski zdecydował się na rozmowy z przewódcami hinduskimi, które niezawodnie przyczynią się do odciążenia sytuacji i zmniejszenia trudności wewnętrznych w Indiach. Sekretarz stanu dla spraw Indii zapowiedział, że według nowych propozycji angielskich wszystkie stanowiska w hinduskiej radzie wykonawczej będą odąd obsadzone przez Hindusów z wyjątkiem wicekróla i ministra obrony narodowej. Przygotowuje się powołać

przejście Indii na statut dominialny, a narazie wypuszczono na wolność ośmiu przewodców kongresu z Pandit'em, Jawarharlal Nehru na czele.

W wojnie przeciwko Japonii wojska imperium brytyjskiego lądowały na Borneo, zagrażając japońskim dostawom ropy i innych surowców. Amerykanie po bardzo ciężkiej batalii oczyścili Okinawę. Radio japońskie zapowiada szybką inwazję wysp japońskich i utrzymuje cały naród w najwyższym fanatyzmie. Fanatyzm japoński osiągnął w wielu wypadkach szczytowe napięcie. Oficerowie japońscy przed oddaniem szpitali wystrzelili wszystkich rannych, poczem sami popełniają samobójstwo. Japońscy generałowie na Okinawa z całym tradycyjnym ceremoniałem, zwróceniu twarzą do oceanu, popełniają harakiri.

Lecz przewaga amerykańska jest tak bezwzględna, że nie tylko nie mogą jej oprzeć się sfanatyzowani Japończycy, ale i propaganda moskiewska zdecydowała się znowu puścić w świat wiadomości o możliwym udziale Rosji Sowieckiej w wojnie z Japonią. Narazie na to

konto otrzymała dalsze dostawy amerykańskie dla wojsk syberyjskich, które utrzymują w szachu wielką armię japońską".

W oczekiwaniu

Znacznie większa ilość ludzi czeka bardziej na wyniki wyborów w Anglii, niż na udział Rosji Sowieckiej w wojnie przeciwko Japonii. Kampania wyborcza jest prowadzona z dużym temperamentem po obu stronach, a jej wynik, choć obie partie (w większości) zastrzegają się, że nie ma między nimi wielkich różnic w poglądach na politykę zagraniczną, będzie miał zasadniczy wpływ na sytuację międzynarodową.

Znacznie mniej ludzi czeka na wynik nowej konferencji Wielkiej Trójki, która tym razem prawdopodobnie zbierze się w pałacu cesarza niemieckich w Poczdamie.

Najwięcej napewno ludzi czeka na elementarną sprawiedliwość, lecz terminy wyborów, konferencji Wielkiej Trójki i bardziej sprawiedliwego jutra nie bardzo się pokrywają ze sobą.

29. VI. 1945.

Jarosław Żaba

Lwów — serce gorejące Polski

Zakładając z końcem XIV stulecia arcybiskupstwo łacińskie na Rusi, nie wiedział jeszcze papież o Lwowie: — „Co to jest za wieś czy miasto?” Tym lepiej natomiast znali tę nazwę kupcy całego świata. Na przełęczu dwóch wieków, czternastego i piętnastego, zasłynął bowiem gródek ten nieznaczny dotąd, jako najważniejsza stacja tranzytowa między Wschodem a Zachodem. Idą więc przez Lwów transporty korzeni, futer, niewolników, jedwab włoski. A w zamian za to płody ziem polskich kierują się na Wschód.

Miasto handlowe zaczyna rozwijać swój przemysł. Słynie z wytwórczości broni, łuczników i płatnerzy lwowskich ceniono wyseko. Wyrabiali kusze, którymi miasto obdarzało wojewodów mstańskich. Dalej wyrób pasów metalowych nieodzownej części ówczesnego stroju polskiego.

Kiedy za sprawą królowej Jadwigi, która wydobyla Ruś spod panowania węgierskiego, Lwów odzyskał dawne związki z Macierzą, Jagiełło uwiecznił te związki w pamiętnym dokumencie — „Lwów i ziemia lwowska nigdy żadnemu księciu ani panu oddane nie będą, ale po wieczne czasy z Koroną Królestwa Polskiego nierozdzielna stanowią całość” (1389).

I tak też było, pokaż Rzeczypospolita trwała w niepodległości. I tak się stało, gdy po długiej niewoli niepodległość odzyskała. Lwów strzegł granic Rzeczypospolitej, Lwów umacniał wokół kulturę polską, a zagarniając jako miasto handlowe obce żywioły, polonizował je bez przymusu samą swoją polskością, w której była przewaga duchowa i żywotność. Lwów złoty, renesansowy, wydał trzy świet-

ne nazwiska — poety muzyka i rytownika. Byli nimi — Szymon Szymonowicz, twórca po dziś dzień żywych „Siełanek”, Marcin Łowczyk, organista króla Zygmunta Augusta, mistrz kontrpunktu, autor popularnych pieśni religijnych i Jan Ziarno, mieszczanin lwowski, którego zowią ojcem chrzestnym nowoczesnej grafiki. Pierwszy druk lwowski jawi się za Stefana Batorego — „gdy w „połowej drukarni” wychodzi poemat łaciński Jana Kochanowskiego „Drias Zamchana” (1578), a wkrótce potem drukowano we Lwowie poezje Mikołaja Sopa Szarzyńskiego.

Zygmunt Stary żył się z Wawelem, syn jego czuł się dobrze w Wilnie, Poniatowski w Warszawie najlepiej. Sobieskiemu natomiast w latach czynu i wysiłku najbardziej przypadł Lwów do gustu. Już hetman Sobieski żyty był z miastem, a jako wódz i król jeszcze więcej. Umiął natchnąć miasto dobrą myślą w każdej udręce, a sam się wystawiał w pierwszym szeregu kopijników. Ze śmiercią zwycięcy pod Wiedniem skończył się okres wielkości miasta. Z roku na rok upada siła państwa, z roku na rok upadał wraz z nim jednaki w doli i niedoli Lwów. Semper fidelis.

Może więc spokojnie region lwowski zapisać na swoje dobro udział, jaki wziął we wszystkich ruchach narodowych, od czasu wytyżonych, tu się koncentrujących prób powstańców po trzecim rozbiore i od czasu, gdy kilka ułanów ks. Józefa w r. 1809 zabrało na krótko miasto Austriakom. W powstaniu listopadowym ogromny, niewspółmierny procent stanowili ochotnicy galicyjscy. Noc listopadowa nie skończyła się wybuchem tylko dlatego, że chytry Wiedeń umiał w czas przysłać na fotel namiestnikowski gładkiego i kokietującego Polaków namiestnika z Czech. W epoce spisków polistopadowych sta-

neli pod szafotem ludzie, którzy później doszli istotnie wysoko, bo do prezesury Rady Państwa w Wiedniu (Smolka), lub do kapelusza kardynalskiego (ks. Albin Dunajewski). W tych latach dwudziestu Lwów przeszedł katusze nie mniej dotkliwe od razów knuta rosyjskiego, lecz usunęły się one z pamięci narodu na plan dalszy tylko dlatego, że mając swych Nowosilcowych, nie miał Lwów Mickiewicza.

Rok 1863 zapisany jest w dziejach Lwowa tragicznie dzięki temu również, że większość wysiłków miasta, które wysłało za kordon kwiat swej młodzieży i nie szczędziło wraz z całą ziemią czerwieńską ofiar materialnych — nie dało rezultatu na polu bitwy. Miała wszelako wojna styczniowa znaczenie wychowawcze. Z jej męki i ofiary wyrósł mocny, oporny, nie zawodzący nigdy żywioł patriotycznej inteligencji. Ludzie biali i spokojni, zwoleńnicy współpracy pokojowej z rządem, legitymiści spod Wawelu nazywali niespokojne zawsze miasto — „Tygrysowem”. Po dyplomie październikowym, pozwalającym na język polski w szkole, sądzie i niektórych urzędach, wypadło przeciwstawić się mentalności galicyjskiego c.k. urzędnika. Czynił to dom i czyniła prasa. Czynili wybitni pisarze i artyści, którzy wyszli swoją twórczością poza rogatkę lwowskie, poza kordony, poza granice Polski.

Do Lwowa należy młodość Aleksandra Fredry i wiek męski i starość. Trzy czwarte życia z jednym jedynym chyba dłuższym wyłotem na wojnę napoleońską. „Wyjechaliśmy potem nie z równych pobudek — Napoleon na Elbę, ja prosto do Rupek”. U zbiegu ulic Fredry, Romanowicza i placu Akademickiego stał ten pałacyk, w którym krył się karmazyn przez trzy dziesiątki lat prawie przed ludźmi, oraz prośbami dochodzącymi z Polski całej. Tu przyjmował deputacje hołdownicze, które go błagały o nowe słowo. Stąd patrzył sceptycznie dowódcą 3 kompanii gwardii narodowej na „wiosnę ludów”, nie przerażony, gdy mu Austriacy w r. 1852 grozili szafotem za obrażenie cesarza.

Za sprawą lwowianki rusza Artur Grottger po mowę, wielkie zdobycze swej sztuki. Tę lwowiankę znać dobrze. Każda twarz kobieca jej twarzą się staje pod olówkiem Grottgera. Muza Artura z gwiazką na czole żyje na kartonach „Wojny”. I wszędzie indziej — nawet w tym orszaku Francuzów stłoczonych pod pomnikiem Napoleona. — „Wiesz, tutaj chciałyśmy kiedyś leżeć niedaleko tego cienia...” Tak powie Artur do Wandy za swej ostatniej bytności we Lwowie, kiedy przechadzając się z nią po ementarzu Łyczakowskim, zatrzyma się wśród grobów i dostrzeże cień padający od krzyża poległych w r. 1863. Odtąd tym bardziej pokocha we Lwowie Ojczyznę całą, a w Ojczyźnie Lwów.

Kornel Ujejski stanie się ambasadorem wieszcejszej poezji na gruncie lwowskim i jednym z najbardziej ognistych budzicieli. Twórca „Skarg Jaremięgo” i „Maratonu”, ziemianin galicyjski, dzierzawca magistrac-

kiego folwarku zrośł się z miastem od dziecka po siwy włos. Żywe słowo Jeremiego słychać w dzień każdego niemal święta narodowego — „Z dymem pożarów... O, rękę karaj, nie ślepy miecz...” Jak kartony Grottgera, tak strofy i czyny Ujejskiego będą przez dobre pół wieku żarliwym wyrazem artystycznym tęsknoty do niepodległości.

W owe czasy trybunem opinii miasta jest niestrudzony redaktor i dyrektor Jan Dobrzański, zaś przedziwnym romantycznym typem idealisty — autor modlitwy trzech narodów Polski, Litwy i Rusi — Platon Kościecki. Felieton w guzeczarni lwowskiej należy do samborzanina, znakomitego pisarza obyczaju lwowskiego — Władysława Łozińskiego, a powieść szczyści się jego bratem, twórcą „Zakłętą dworów” Walerym. Satyra chlubi się — Rodociem. Czołowe miejsce zajął jednak Jan Lam, bo był z nich wszystkich „niepodległościowcem najbardziej zagorzałym”.

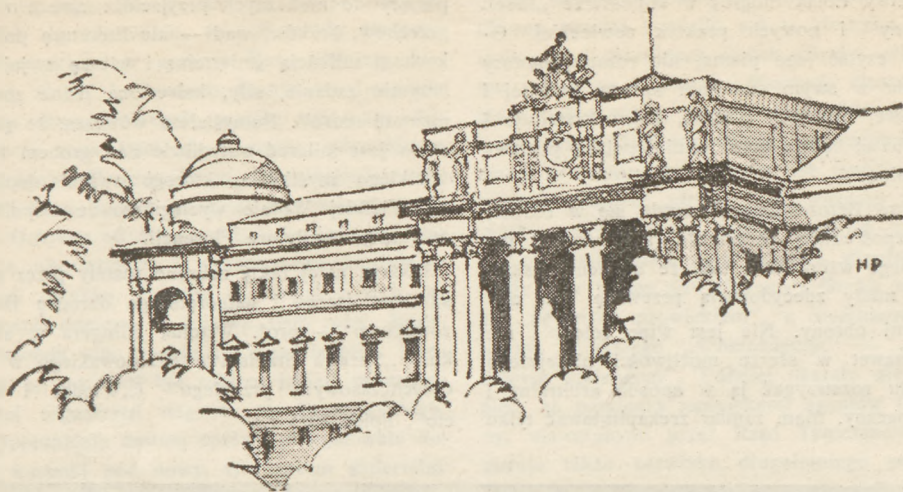
Plastyka lwowska tych czasów chlubi się jeszcze Rodakowskim i wielu innymi, którzy stąd, jak Jan Styka szybko wyfruwają w świat. Albo ich Krakowska Akademia Sztuk Pięknych przynęci i nie popuści.

Za to teatr lwowski w XIX stuleciu od Jana Nepomucena Kamińskiego, po Ludwika Hellera, po Tadeusza Pawlikowskiego da porządną robotę, wykształci znakomitych aktorów. Z między kulis Teatru Skarbowskiiego wyszła pierwsza tradycja komedii Fredry. Potem Korzeniowski, Potem znakomita Zapolska. Scena polska we Lwowie staje się centrum polszczyzny na Wołyn, Podole, Ukrainę. Jest jakby mohortowską stanicą.

Ale trzeba jeszcze zejść do Ossolineum, gdzie stoi warsztat robotczy i bastion obronny i szaniec cywilizacji na kresach wschodnich. Z małego szanca urosła twierdza zamczysta, w starym domostwie klasztornym, rozbudowanym ręką Bema, rozwinął się warsztat pracy na pospólny pożytek polskości. Pogasiły ognie Krzemieńca i Wilna, znicz ossoliński przetrwał i nie dał się zdmuchnąć. Urok zaklęty w murach tej świątyni woła. Z rąk Prusaków wydzierają się przemocą Kętrzyński, A. Matecki zasiada w kuratorium, stanice ukraińskie dają A. Bielowskiego, Białoruś przysyła bibliografa Przyłęckiego, rozśpiewany Litwin urządza muzeum, K. Godebski i Bełza nie zrobili wstydu Warszawie. Tubylecy galicyjscy nie dadzą się ubiec w gorliwości. Dyrektor Słowiński latami kaźni na Kufsteinie poświadczy swoją miłość dla Ossolineum, skazany za zbrodnię druku... Mickiewicza. Szajnocha resztę oczu poświęci Katalogowi.

Fundacja J. M. Ossolińskiego była wszechnicą i akademią umiejętności w czasach zniemczonego uniwersytetu, był sztandarem kultury polskiej, zatkniętym dumnie na mogile państwowości.

W stolicy Galicji wytworzyło się środowisko, jakiego nie znalazłbyś wówczas w żadnej innej dzielnicy. Urzędnik polityczny, sędzia, kolejarz, nauczyciel polski stworzył



Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie

w ciągu dwu pokoleń nowy stan lwowski, bastion inteligencji i polskości. Utrzymywały Lwów w atmosferze opozycji owe prześmiewane często obchody patriotyczne. Trzymała go przede wszystkim szkoła. Rozwinięło się bowiem świetnie szkolnictwo powszechne i średnie, zapelniając miasta Galicji siecią szkół, pracujących wbrew intencjom Wiednia, raczej wedle wskazań i testamentu Komisji Edukacyjnej.

Aby jeszcze wspomnieć muzyków — Galla, Niewiadomskiego i cały muzyczny Lwów z operą, konserwatorium, szkołami muzycznymi, a potem znowu wrócić do muzeów — Przyrodniczego, Dzieduszyckich, Muzeum im. ks. Lubomirskich, Galerii Narodowej Miasta, stworzonej z inicjatywy i zabiegów prezydenta miasta, Tadeusza Rutowskiego.

Łańcuchem ciągnie się ta praca kulturalna z wieku XIX na wiek XX. A jednocześnie

młodzież przygotowywała się do wydarzeń, które szły niezależnie od walk o formy literackie, nowe formy w sztuce, nowe zdobycze w nauce. Świat zbroił się po zęby i zmierzał ku wojnie. Niemiecko-cesarski imperializm, carskie balamuctwa polityczne na Bałkanach i z naszej strony wycucie chwili, której nie należy stracić. Więc Strzeleckie Drużyny, więc wojenne przygotowanie się pod kierunkiem Piłsudskiego. Lwów zasilł obficie legionowe szeregi. A zaraz potem Orleńta i obrona Lwowa, który chciano nam wydrzeć. Krzyż *Virtuti Militari* dano miastu wiernemu. A teraz — ileż krzyży cnoty bojowej i obywatelskiej należy się miastu, które tyle najazdów przeżywa i tyle krwi przelewa. Miasto, które niczego innego nie pragnie, tylko wiernie stać przy Rzeczypospolitej.

według Stanisława Wasylewskiego

Sprawa Stanisława Brzozowskiego

„Ktoś, kto przyjechał z Kraju, doniósł, że myśląca młodzież wróciła do Brzozowskiego, czyta jego książki w podziemiach. W liście z Rosji, pisanym przez człowieka dziś już zapewne nieżyjącego, znajdowało się zdanie: „Myślę wiele o Brzozowskim”.

Tymi słowami rozpoczyna swój artykuł o Brzozowskim (pierwszy, zdaje się na emigracji głos o wielkim pisarzu) Stefania Zahorska w Londyńskim wydawnictwie „Wczoraj i dziś”. Twórczość Brzozowskiego przeżywa więc w Kraju po raz któryś już z kolei swój renesans. Pozyskanie (nie przypadkowe zresztą — autor „Legendy młodej Polski” ostatnie lata swego życia spędził przecież we Florencji) prawie całego kompletu dzieł Brzozowskiego przez Odrodział Kultury i Prasy 2 Korpusu — otwierali Brzozowskiego), to trudno mi pomyśleć, że

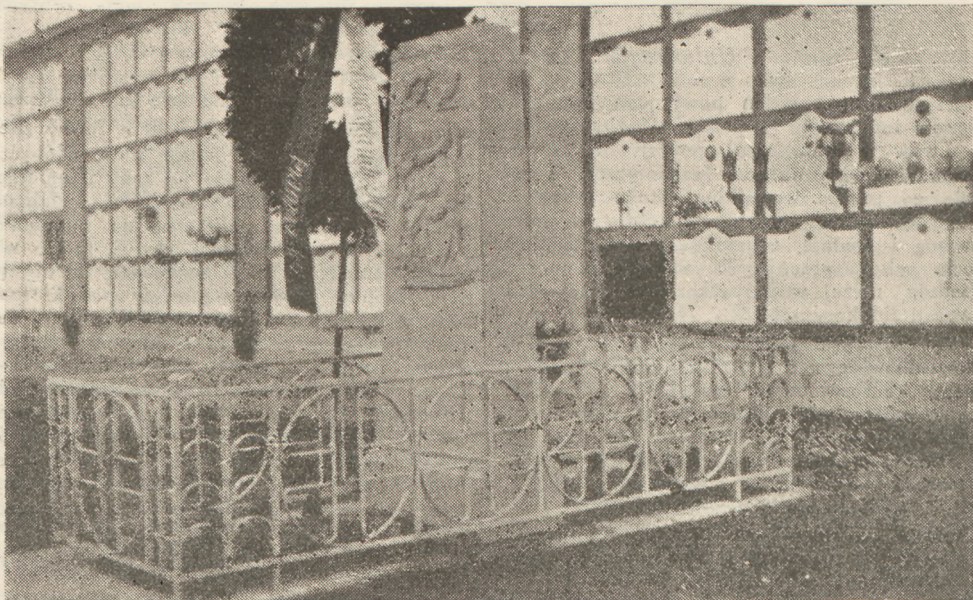
możliwości wznowienia nad nim studiów i poza granicami Polski. Ale nad postacią Brzozowskiego ciąży w polskiej opinii publicznej straszliwa hańba. — Hańba agenta carskiej Ochrony. To potworne oskarżenie człowieka nie mogło i nie może dalej nie zakłócać stosunku czytelnika polskiego do pisarza. I jakkolwiek nie podzielam zdania Żeromskiego, że „dążenie do wyjaśnienia prawdy w tej ohydnej sprawie mogłaby wszcząć tylko Akademia Literatury Polskiej aby, przeprowadziwszy dochodzenie, zmyć z pamięci Brzozowskiego znak haniebny, albo w razie udowodnienia winy na zawsze to nazwisko z kart literatury narodowej wykreślić”, (jes. eśmy naprawdę zbyt ubodzy, ażeby się tak odrazu i bez wahania wyrzec myś-

prawdziwy Polak mógłby w atmosferze „lubelszczyzny” i nowych praktyk sowieckiej Ochrony czytać jego pisma, nie rozstrzygnąwszy najpierw w swym sumieniu sprawy ludzkiej i narodowej czystości pisarza, który kształtuje i kształtować będzie coraz silniej polską postawę kulturalną.

Sprawa Brzozowskiego toczyła się w okresie jej bezpośredniej aktualności i w okresie powojennego wznowienia tak, że elementy oskarżenia miały zdecydowaną przewagę nad elementami obrony. Nie jest więc celem i nie leży nawet w sferze możliwości niniejszego artykułu rozstrzygać ją w sposób arbitralny i jednoznaczny. Mam zamiar zrekapitulować tylko

piszący do nielicznych przyjaciół: „mam wiele grzechów, braków, wad — ale literaturę polską kocham miłością śmiertelną i wierzę w jej olbrzymie zadanie, siły, które ona jedna zorganizować może”. Pomyślałem wówczas, że grzechem jest milczeć wstydliwie nad grobem tego wielkiego myśliciela, którego zwłoki dopiero po Wielkiej Wojnie wyciągnięto ze wspólnej, żebraczej mogiły we Florencji.

Podane niżej fakty zebrane zostały przez najsumienniejszego i najgorętszego obrońcę Brzozowskiego — prof. Witolda Klingerę w artykule „Sprawa Stanisława Brzozowskiego w jej dotychczasowym przebiegu” („Wiedza i Życie”, lipiec 1935 r.).



Grobowiec St. Brzozowskiego we Florencji

materiał obrony, aby w świadomości czytelnika powstała przynajmniej równowaga, pozwalająca na zachowanie do czasu ostatecznego wyjaśnienia sprawy Brzozowskiego postawy ostrożnej i nie lekkomyślnej powściągliwości. Opowiadano mi niedawno o tym, jak żył i umierał Brzozowski we Florencji. Opowiadano mi o człowieku, któremu „wstydem podać było rękę”, któremu nie wolno było przestąpić progu domu polskiego na obczyźnie, do którego drzwi nie zapukała w okresie tego strasznego bojkotu żadna polska ręka. Widziałem go przez chwilę jak „sam wśród ludzi” umierał wolno na gruzlicę, nawrócony na żarliwy katolicyzm,

Niewątpliwie cień na całą sprawę, nawet dla ludzi dobrej woli, rzuca incydent z roku 1898, kiedy to Brzozowski jeszcze jako student uniwersytetu warszawskiego, aresztowany w związku ze sprawą oświaty ludowej, przekroczył w czasie śledztwa dozwolone normalnemu konspiratorowi granice tajemnicy organizacyjnej i stanął jednocześnie pod zarzutem pewnych nadużyć finansowych Bratniej Pomocy, której był jednym z kierowników. Skazany przez sąd koleżeński na trzyletnie odsunięcie od wszelkiej pracy społecznej — Brzozowski przyjął ten wyrok z całą lojalnością i pokorą. Trudno o tym fakcie nie pamiętać, gdy się śledzi dalszy

przebieg jego sprawy. Ale nie można również oprzeć się zdumieniu, że „Materiały śledztwa żandarmskiego w sprawie Tow. Oświaty Ludowej. Część I. Zeznania Stanisława Leopolda Leona Brzozowskiego” zostały ogłoszone dopiero w roku 1906, tj. w czasie, gdy główny oskarżyciel Brzozowskiego, rewolucjonista rosyjski Iwan Burcew otrzymał spis tajnych agentów Ochrany od Mikołaja Bakaja, byłego i rzekomo skruszonego i nawróconego konfidenta policji carskiej. Burcew skorzystał z tych informacji dopiero na wiosnę 1908 roku. Prawdopodobną więc wydaje się sugestia prof. Klingera, że rok 1906 był rokiem jakiejś milczącej, cichej organizacji nagonki na Brzozowskiego. Przypomnienie dawnej sprawy przygotowało dobre warunki pod nowy, tym razem śmiertelny cios. Brzozowski zażądał, jako członek P.P.S., zwołania Sądu Partyjnego. Zebrał się on w maju 1909 roku w Krakowie, w składzie: Herman Diamand, Feliks Perl, Feliks Kon, Emil Bobrowski i Stanisław Żmigrodzki. Obrońcami i mężami zaufania oskarżonego byli: Jędrzej Moraczewski i dr Rafał Buber. W atmosferze wielkiego podniecenia sąd sprawę odroczył, a obrońcy Brzozowskiego złożyli następujące oświadczenie: „Dotychczasowy przebieg sprawy sądowej nie tylko nie zachwiał w nas przekonania o zupełnej niewinności oskarżonego, lecz zarazem dał podstawę do przypuszczenia, że autor oskarżenia, złudzony podobieństwem cech zewnętrznych, padł ofiarą pomyłki, wywołanej przez osobę trzecią, która z tego podobieństwa świadomie korzystała”. Brzozowski nie doczekał się więc jej ostatecznego wyjaśnienia, gdyż zmarł we Florencji w roku 1911.

Na pierwszym posiedzeniu Sądu Partyjnego Brzozowskiemu zarzucano „poza pisaniem ogólnych sprawozdań o ruchu społecznym i politycznym: 1) przeszkodzenie legalizacji Uniwersytetu Ludowego w Warszawie, 2) spowodowanie aresztu dr Nelkena i St. Goldberga, 3) wskazanie Ochranie mieszkania L. Kulczyckiego, przebywającego w Warszawie konspiracyjnie”. We wszystkich tych trzech punktach ustalono co następuje: 1) Uniwersytet Ludowy w ogóle nie zabiegał o legalizację, 2) dr Nelken, według własnych zeznań, został aresztowany na skutek donosu pewnego robotnika, 3) L. Kulczycki był przed zwołaniem Sądu w Paryżu i w atmosferze rosnącego podejrzenia wyraził w rozmowie z Burcewem i Bakajem przypuszczenie, że jego pewnie musiał zadenuncjować Brzozowski. Burcew miał się wyrazić, że „było

to dla Bakaja nowością”. W tym stanie rzeczy główne wysiłki zwróciły się w kierunku ustalenia roli i charakteru dwóch filarów oskarżenia: Burcewa i Bakaja. Pierwszy cieszył się zrazu dobrą opinią u rewolucjonistów polskich i rosyjskich. Dopiero później, gdy objawy jego manii prześladowczej zaczęły się mnożyć, gdy węsząc wszędzie zdradę i prowokację rzucił ciężkie oskarżenia na ludzi, stojących w opinii rewolucjonistów poza wszelką nieufnością, padły dwa ważne oświadczenia: Gorkij nazwał go „nędznym człowiekiem”, a Siemionow, redaktor paryskiego „Wozroźdzenia” — „szkodliwym szaleńcem”. Później okazało się również, że pomiędzy nazwiskami agentów Ochrany, ujawnionymi przez Rząd Tymczasowy, figuruje także nazwisko długoletniego sekretarza osobistego i współpracownika Burcewa. Przypomniano sobie na dodatek, że po drugiej rozprawie przeciwko Brzozowskiemu dwaj oskarżyciele poróżnili się gwałtownie i kiedy Bakaj twierdził, że „Burcew go wyzyskuje i że na nim się wzbogaca”, Burcew nie pozostał dłużny i oświadczył, że „Bakaj jest człowiekiem nieuczciwym i mimo pozornego porzucenia służby, jest nadal na usługach Ochrany”.

Kim bo w istocie był ów Bakaj? „Nawróconą owieczką”, z której wśród rewolucjonistów rosyjskich powinna być radość większa niż z dziesięciu wiernych? Niezupełnie. W „Protokołach Gosudarstwiennoj Dumy 3-go Sozywa” znajduje się taki oto fragment mowy ówczesnego premiera Rosji Piotra Stołypina: „Nie dawno otrzymałem list od Bakaja. Prosi mnie o rozejrzenie się w tych dokumentach, które znaleziono przy nim w czasie rewizji w r. 1907 i proponuje mi powrót do Petersburga, aby pomóc w dalszych demaskowaniach.” Stefan Drzewiecki dotarł w r. 1918 w Moskwie do tajnych archiwów Ochrany, Żandarmerii i Izby Sądowej i znalazł w nich dwie teczki, jedna z napisem „Sprawa St. Brzozowskiego” zawierała jedynie wycinki z gazet krakowskich ze sprawozdaniami z Sądu Partyjnego, druga z napisem „Sprawa M. Bakaja” zawierała dokumenty, stwierdzające, że Bakaj wstąpił do Ochrany z własnej woli, wydany zaś z niej został za szantaże i nadużycia pieniężne. Znacznie już później, bo w r. 1927 Feliks Kon, b. członek Krakowskiego Sądu Partyjnego i członek Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Radzieckiej z r. 1920 powiedział przedstawicielowi „Wiadomości Literackich”, że „Sąd Partyjny nie ujawnił żadnego dowodu pozytywnego, ja-

koby Brzozowski był, jak twierdził Bakaj, płatnym agentem Ochrany” i że „przechowywane w Moskwie ułamki archiwum Ochrany warszawskiej, nie zawierają żadnych przyczynków do sprawy Brzozowskiego”. W r. 1933 natomiast oświadczył Karol Radek jednemu z członków redakcji „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” co następuje: „Kiedy tylko zwyciężyła w Rosji rewolucja komunistyczna i uzyskałem wpływ na bieg spraw, wydałem rozporządzenie przeszukania wszystkich archiwów Policji, Żandarmerii itd. celem stwierdzenia, czy istnieją jakiegokolwiek dowody winy Brzozowskiego. Muszę stwierdzić, że nigdzie, na całym terenie Rosji nie znaleziono ani papierka, ani jednego zapisku, ani jednego słowa, któreby w jakiegokolwiek sposób potwierdzały, że między Brzozowskim a władzami carskimi był jakiegokolwiek kontakt.

Pozostaje tedy jeszcze nie mniej ważna sprawa pisania owych „ogólnych sprawozdań o ruchu społecznym i politycznym”. Nie jest ona w istocie błaża. Pisać takie sprawozdania, „oswieszczać” wierzchy”, znaczyło dawać do rąk policji carskiej główne nici, po których można już było dotrzeć łatwo do określonych i zakonspirowanych ludzi. Tę sprawę oświeśla interesująco sam prof. Klinger. W r. 1907, w czasie pobytu w Kijowie, otrzymał prof. Klinger następujący list od Brzozowskiego: „Teraz zaś muszę Was przeprosić, że śmiem prosić o oddanie mi w Kijowie pewnej dość dla mnie ważnej usługi. Rzecz się ma tak. Jeszcze przeszłego roku (a więc w tragicznym roku 1906 — przyp. autora) towarzystwo wydawnicze „Sierp” zwróciło się do mnie z żądaniem dostarczenia artykułu o kwestii żydowskiej w polskiej literaturze. Dostarczyłem w końcu grudnia około 4 arkuszy druku: według warunków podanych mi przez firmę — po 75 rs. za arkusz druku — 300 rs. lub około tego. Suma dla mnie dość znaczna. Towarzystwo „Sierp” pomimo, że napisał trzy listy rekomendowane, nie odpowiada mi nic. Proponowałem pół lub dwie trzecie należitości. Gdybyście mogli i chcieli odnaleźć to towarzystwo i zapytać się, czy moje listy otrzymało i czy może oraz chce zapłacić i kiedy, byłbym wam wdzięczny. Trudność jest w tym, że nie posiadam bliższego adresu towarzystwa — podano mi adres: Kijów Sierp — i pod tym adresem wysłałem listy oraz rękopis, o otrzymaniu którego otrzymałem zawiadomienie”. Prof. Klinger udał się wówczas na poszukiwania i stwierdził z przerażeniem, że firma taka w Kijowie nie istnieje i nawet w ogóle nigdy nie istniała. Sądząc, że jest to akt zwykłej kradzieży literackiej, puścił ją w niepamięć. Dopiero po latach doszedł do wniosku, że Brzozowski padł ofiarą ohydnej szantażu ze strony Ochrany, ukrywającej się pod firmą nieistniejącego towarzystwa wydawniczego. Trudno powiedzieć czy w tym

studium o kwestii żydowskiej w literaturze polskiej nie było uwag o „ruchu społecznym i politycznym”. Każdy rozsądny krytyk literacki odpowiedziałby raczej, że tak. Dotyczy to szczególnie Brzozowskiego, który nie umiał wyjaśniać zagadnień małych, nie dając im szerokiego tła społecznego i politycznego. W ten sposób Ochrana mogła wejść w posiadanie dokumentów, które w rezultacie tak bardzo obciążały Brzozowskiego w atmosferze wyjątkowo temu sprzyjającej, bo w okresie odnowienia incydentu z roku 1898.

Tyle prof. Klinger. O jakim celu tej misternej intrygi rosyjskiej chodziło i jakie może i powinno być nasze wobec niej stanowisko w chwili obecnej.

Brzozowski był człowiekiem słabym (potwierdzają to wszyscy, którzy go znali) i nie ulega wątpliwości, że w sprawie z r. 1898 odegrał rolę co najmniej niejasną. Człowiek słaby, który raz popełnił przestępstwo ma już na zawsze psychicznie odciętą drogę obrony. Brzozowski staniał się bezradnie pod zadawanymi mu ciosami, bo nie wierzył, że może budzić zaufanie, mając na sumieniu plamę niestartą fatalnego, młodzieńczego potknięcia. Ten fakt wykorzystała Ochrana, która w walce swojej z ruchami rewolucyjnymi Rosji i zaborów rosyjskich postanowiła rozsądzić je od wewnątrz, wprowadzić coś, co my nazwalibyśmy dzisiaj „piątą kolumną”. Brzozowski nadawał się do tego i z tego także względu, że był jednym z najbardziej „wojujących marksistów”, „mężem zaufania” całej nieomal radykalnej młodzieży polskiej. Atak mógł być także poparty i od wewnątrz. Brzozowski po druzgocącej krytyce twórczości Sienkiewicza był przedmiotem nienawiści całej zachowawczej części inteligencji polskiej. W ten sposób zafamizowała się spoistość Polskiej Partii Socjalistycznej i w tym konserwatywno-radykalnym sojuszu nad osaczonym człowiekiem zamazywała się jej linia ideowa. Jeśli była jakaś sprawa, stwierdzają współcześni, o której część rewolucjonistów polskich mogła rozmawiać z prawicą bez uprzedzeń i niechęci — to była nią sprawa Brzozowskiego. Wytrąceniu z rąk rosyjskich tej podstępnie zarzuconej wędki nie pomogło mętne i kunktatorskie stanowisko ówczesnych władz partyjnych.

Dobrze jest przypomnieć sobie tę sprawę właśnie teraz, w chwili gdy w Moskwie rozpoczęła się nowa komedia rosyjskiej Ochrany, realizująca starą zasadę imperialistycznej policji: niszczyć Polaków ich własnymi rękami. Nieśmiertelny rodzie Bakajów, obciążonych grzechem janseenowskim...

Gustaw Herling-Grudziński.

Homex

Z dzikiego Uralu na szerokie blonia
Gdy nowych barbarów plemiona się zwała,
Nowe uzbrojeniem, na wozach i koniach,
I beockie Teby gdy zaleją fala,

Padnie Rzym, a wtedy wystąpi wzburzony
Tybr, by kraj bez nazwy i pustynię zalać.

Jak Herkules w Ebie,^{*)} nim na górze spłonął,^{**)}
Odrodzisz się, wieszczu, ku wieczystej chwale,

Wtedy będziesz wzrastać, młodością skrzydlaty,
Odłoni się prawda dla siebie pierwszego
I pierwszego ciebie uśmiechem wybierze.

Więc nim się rozpłyną i Alpy i Atos,
Ponad brzegiem rzymskim i nad greckim
brzegiem
Wезде wieczną sławą twe słońce, Hómerze!

Giosuè Carducci
(Tłum. Bolesław Kóbrzyński)

^{*)} Ebe, żona Herkulesa, dzięki której od-
zyskał on wieczną młodość.

^{**)} Mowa jest o górze Eta (Oeta), na której
Herkules w koszuli Dianiry płonął na stosie,
zanim został przez Jowisza wybawiony od
śmierci.

Omero

E forse da i selvaggi Urali a valle
Nova ruinerà barbara plebe,
Nova d'armi e di carro e di cavalle
Coprira un' onda l'agenorea Tebe,

E cadra' Roma, e per deserto calle
Bagnerà il Tibro innominate glebe.
Ma tu, o poeta, si com' Ercol dalle
Pire d'Eta fumanti al seno d'Ebe,

Risorgerei con giovanili tempre
Pur a l'amplesso de l'eterna idea
Che disvalata rise a te primiero.

E, s'Alpe ed Ato pria non si distempre,
A la riva latina ed a l'achea
Peranne splendor a co' l'sole Omero.

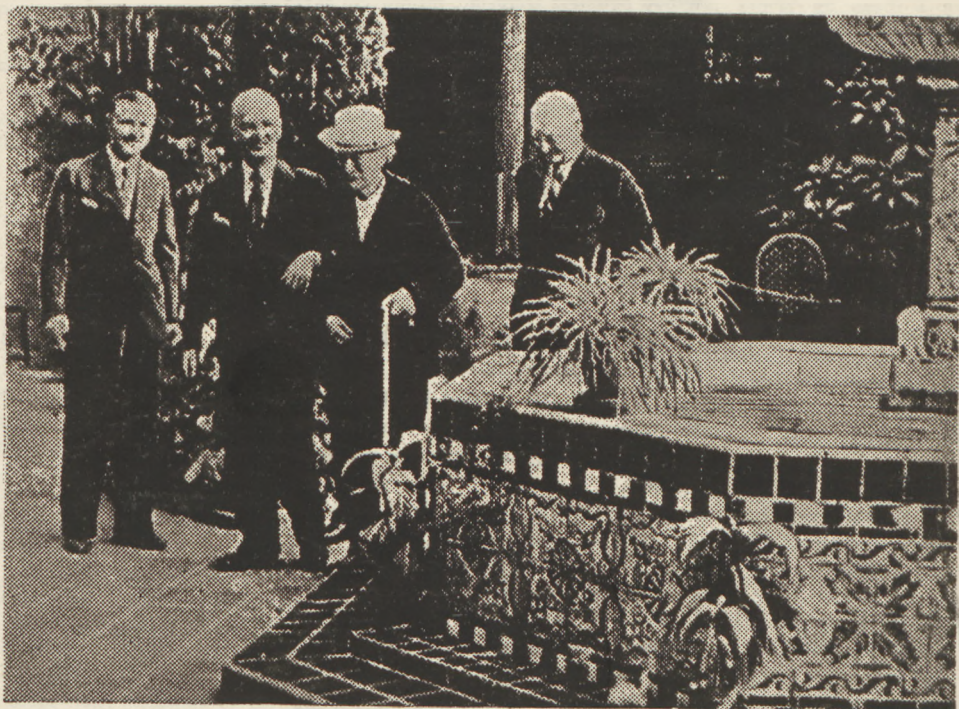
Giosuè Carducci

Ignacy Jan Paderewski

W dniu 29 czerwca minęła czwarta rocznica śmierci Ignacego Jana Paderewskiego, w którym Polska straciła jednego z największych swych synów, męża stanu, gorącego patriotę i nieustraszonego obrońcę, a świat cały — genialnego artystę.

Kariera artystyczna Paderewskiego była niezwykła. Urodzony w cichym dworku, Kuryłówce, na Podolu, już w dwunastym roku życia rozpoczyna studia w Warszawskim Instytucie Muzycznym — podówczas dobrze rozwijającym się pod dyktando Apolinarego

roku 1888 przynoszą mu niebawem entuzjastyczne przyjęcie krytyki i publiczności. Sława Paderewskiego w Europie jest już ugruntowana — wszystkie jednak sukcesy w stolicach europejskich błędną wobec niesłychanego tryumfu, jaki przypadek w udziale Paderewskiemu podczas jego pierwszej podróży koncertowej po Stanach Zjednoczonych A. P. Nie sposób wyliczyć w krótkim szkicu nawet części niezliczonych tournées Paderewskiego po Europie, Ameryce, a nawet Australii w ciągu długiej, bo blisko pół wieku trwającej



J. I. Paderewski w Riond-Bosson

Kątskiego. Mając lat 18 uzyskuje dyplom wirtuozowski i zostaje profesorem klasy fortepianu. Studia teoretyczne uzupełnia u Kiel'a i Urban'a w Berlinie, a w roku 1884 udaje się do Wiednia, pociągnięty sławą słynnego pedagoga Leszetyckiego, który z kolei staje się entuzjastą i pieczołowitym opiekunem talentu młodego artysty.

Już w owym czasie Paderewski daje się poznać w kraju jako doskonały pianista-wirtuoz i kompozytor.

Pierwszym jednak sukcesem o skali europejskiej staje się jego występ w Wiedniu (1887). Koncerty w Paryżu i w Londynie w

kariery artystycznej, która mu przyniosła sławę i zaszczyty, dostępne dla niewielu śmiertelników. Potężna indywidualność Paderewskiego, jego gra uduchowiona, subtelna i niesłychanie sugestywna, świetne odczucie wykonywanych utworów, zniewały słuchaczy na obu półkulach. Dzięki swej szczerze polskiej duszy był niezrównanym, genialnym odtwórcą Chopina.

Tryumfy wirtuozowskie nie zaspakały ambicji artystycznych, (to też równolegle z działalnością koncertową Paderewski tworzył. Zostawił bogaty dorobek, często niesłusznie niedoceniany. Już pierwsze kompo-

zycje fortepianowe, jak: Preludium i Kaprys, Tańce Polskie, op. 5, Elegia, Gawot, słynny, popularny na całym świecie Menuet oraz wiele innych odznaczają się wdziękiem formy, świeżością inwencji i oryginalną harmonią.

Pełna jednak indywidualność twórcza objawia się dopiero w późniejszych kompozycjach, z których wymienię Koncert Fortepianowy A-moll, Liryki do słów Mickiewicza oraz pełną wdzięku i młodzieńczego rozmachu „Fantazję Polską” na fortepian i orkiestrę. Opera „Manru” wystawiona została z dużym powodzeniem w Dreźnie, a w kilka dni później we Lwowie w roku 1901.

Do szczytowego okresu rozwoju twórczego mistrza zaliczyć należy późną symfonię A-moll, zwaną również „Polonia”, rozpoczętą w czterdziestą rocznicę powstania styczniowego i będącą wyrazem tęsknot i nadziei patriotycznych autora. Patriotą był Paderewski szczerym i o gorącym sercu. W czasie swego największego powodzenia nigdy nie zaniedbał okazji, aby zawitać do kraju, gdzie hojną ręką rozsyłał dary na cele społeczne. W roku 1910, w pięćsetną rocznicę bitwy grunwaldzkiej, ufundował pomnik w Krakowie. Tegoż roku wygłosił pamiętne przemówienie we Lwowie z okazji stulecia urodzin Chopina (wydane w roku 1945 w Rzymie).

Po pierwszej wojnie światowej, jako przedstawiciel Odrodzonej Ojczyzny na Kon-

ferencji pokojowej w Paryżu — wywierał na dyplomatów niezapomniane wrażenie swymi płomiennymi mowami w obronie praw Polski.

W roku 1921 Paderewski usuwa się w cień życia politycznego i powraca do swej kariery artystycznej, będącej dalszym ciągiem tryumfów i zaszczytów — wolne chwile spędza w swej pięknej rezydencji Riord-Bosson. Miejscowość ta stała się Mekką młodych muzyków polskich, których mistrz wychowuje cały zastęp.

Po katastrofie wrześniowej 1939 roku pomimo podeszłego wieku, składa ponownie cały swój autorytet i majątek na ołtarzu Ojczyzny, jak zwykle w ciężkich dla Niej chwilach.

Podobnie jak w poprzedniej wojnie jest nieustraszoną propagatorem polskiego wysiłku zbrojnego na terenie Francji i Ameryki. Podczas ostatniej swej podróży do Ameryki umiera — jak żołnierz na posterunku. Pochowany zostaje w Arlington Memorial w Waszyngtonie przy udziale niezliczonych tłumów Polaków amerykańskich, dla których był ojcem duchowym oraz najważniejszych przedstawicieli miejscowego społeczeństwa. Majątek zostawił niewielki — wszystkie swe olbrzymie dochody, obliczone na miliony dolarów, wydał na cele społeczne i filantropijne — wszystko dla swej umiłowanej, nieszczęśliwej Ojczyzny.

Jerzy Sas

DYSKUSJA

Jeszcze o sztuce i cywilizacji

Zamykając dyskusję na temat zagadnień sztuki — oddajemy ponownie głos p. Michałowi Pawlikowskiemu. Do dobrych obyczajów dyskusyjnych należy bowiem obowiązek udzielenia głosu zaatakowanemu niezależnie od formy w jaką przyobleka on swoją odpowiedź.

Stanowisko Redakcji „Na Szlaku Kresowej” w sprawach poruszonych w dyskusji zostanie określone w następnym numerze naszego pisma.

O tym co „dochodzi do świadomości p. Pawlikowskiego” pisał już niejeden zarówno w długich rozprawach po różnych fachowych publikacjach jak w organach wszystkich możliwych kierunków od „Wiadomości Literackich” po „Myśl Narodową”. Pisał W. Witwicki, St. Pieńkowski, T. Sinko, T. Grabowski, K. H. Rostworowski, J. Krzyżanowski, K. L. Koniński, Z. Wasilewski, T. Kowalski i inni, że tylko wspomnę o Polakach. Napisał o tym wreszcie p. Marian Kościółkowski. Szkoda, że nie wcześniej, aby oszczędzić zażenowania tym z wymienionych panów, którzy jesz-

cze pozostali przy życiu, a którzy pozwalali sobie myśleć całkiem co innego niż on. Niejeden byłby połączony i zamilknął wobec autorytetu p. Kościółkowskiego. Byłby zamilknął przede wszystkim nie chcąc się narażać na kwiaty jego stylu i tej jego „zachodniej” kultury, które przez moją głowę spadają na nich wszystkich, bo to już jest coś, co wybiegło daleko poza różnicę zdań. Nie przypuszczałem, że przyjdzie mi kiedykolwiek na tę moją bibliografię się powoływać i dziś nie czynię tego wcale w intencji mojej obrony, ale celem wykazania całej doniosłości zwycięstwa p. Kościółkowskiego, z którego, jak się zdaje, nawet nie zdawał sobie sprawy, bo musiał nie mieć dotąd czasu na paranie się kulturą polską. O ile zaś zdawał sobie sprawę, to istotnie i ja, oni wszyscy powinniśmy tym bardziej zapomnieć języka w gębie.

Dlatego też nie mam najmniejszej intencji wdawania się w polemikę z p. Kościółkowskim. Niemniej, ponieważ pismo ma służyć wyjaśnianiu spraw, a nie dezorientowaniu czytelników, muszę się dla nich nad paru szczegółami zatrzymać.

Otóż (trzeba próbować choć trochę dociągnąć się do stylu mistrza) — p. Kościółkowski, natykawszy się najrozmaitszych, przeważnie zresztą nieświeżych faktów, zasypuje nas komunałami, nad którymi myśl ludzka dawno przeszła do porządku dziennego. Zdradza się z ideałami o sztuce nie tylko przebrzmiałymi po zarówno monachijskich, jak i paryskich kawiarniach, ale nie orientuje się, że dyskusja toczy się w całkiem innym horyzoncie. Nie zdaje sobie sprawy, że ludzie to, o czym mówi, mają już nie przed sobą, lecz poza sobą.

Niestety, na dłuższy wykład, któryby może także zacieklego polemistę przekonał, iż należałoby użyć nie tylko innego tonu, ale chwycić wątki nieco wyżej i stanąć do starcia na innym piętrze, nie ma miejsca na trzech stronach. Nie mam ochoty i ja uderzać w próżnię, zajmując się fałszywymi poglądami p. Kościółkowskiego, np. na renesans. Tu tylko ograniczę się do skrótów:

1.) Kocioł koncepcji, w który p. Kościółkowski zamyka obraz i genealogię „kultury zachodniej”, a które historykom kultury są aż nadto dobrze znane, dowodzi nagromadzenia faktów powierzchownych, bez głębszego nad nimi zastanowienia. Przeciwno tym komunałom — którymi zresztą operuje nie sam jeden p. Kościółkowski — twierdząc z całą świadomością tego co mówię, a na co gdzie indziej przytaczam szczegółową argumentację historyczną, — że koncepcja cywilizacji europejskiej jest fikcją, wszyscy bowiem jesteśmy spadkobiercami różnych cywilizacji i dlatego może także z p. Kościółkowskim nie możemy się porozumieć. Pod cywilizacją rozumiem (stosunkowo zresztą zgodnie z przeważającym pojęciem, krystalizującym się w chaosie pojęć) system mentalny wytworzony przez zbiorowość w ciągu wieków, a rodzaj reakcji afektywnych jest od niego pochodny. Zanim poczniemy łączyć Marxa z Bellarminem, albo Nietzschego, że już nie powiem Dostojewskiego, z Chestertonem — musimy raz zadać sobie trud pójścia śladem starych cywilizacji, które zbiegły się były w basenie śródziemnomorskim, ale nigdy nie zlały się w jedną — aby wiedzieć, co się z nimi stało.

Rzecz charakterystyczna, że p. Kościółkowski napadł na mnie z powodu kojarzenia pojęcia cywilizacji katolickiej ze sztuką, a nie tknął p. Jaremy, który właśnie skojarzeniem cywilizacji chrześcijańskiej ze sztuką chciał, bez żadnych dowodów, słuszność swego stanowiska podeprzeć, a wobec czego starałem się jedyny związek między nimi wykazać, związek — jeśli o to idzie — najbardziej odległy od tematu. Samo już to dowodzi zarówno braku rutyny czytania rzeczy wymagają-

cych wysiłku myślowego jak nieszczerości intencji. Otóż jeżeli się mówi w tym miejscu o cywilizacji łacińskiej (co znaczy: katolickiej), to zatym wcale nie chodzi o treść dogmatyczną, ani o moral katolicki. Oczywiście, że temat celowo antymoralny nie może być wynikiem przeniknięcia tą cywilizacją psychiki twórcy, ale to jest sprawa całkiem innego horyzontu, który sztuka odzwierciedla tylko pośrednio. Chodzi natomiast o to, że poczucie stroju, ładu, dyscypliny wewnętrznej, dążenia do prawdy osobistej w samym sobie jest cechą tej właśnie łacińskiej cywilizacji (łacińskiej, czyli „katolickiej”, a nie „chrześcijańskiej”, na co polemista tak zdumione oczy otwiera. A to, że cywilizacja katolicka, która zapadła w psychikę ludzi nie zawsze pokrywa się z wyznaniem, to nie ma nic do rzeczy).

Wszystko to są cechy tej cywilizacji tak samo, jak z drugiej strony na przykład demagogiczne operowanie zarzutami „reakcji” przeciw jedynie, jakoby, „postępowym” wyobrażeniom p. Kościółkowskiego, jest wykвитem mentalności azjatyckiej, tej samej marki, co pojęcie jedynej „demokracji”, która pragnie narzucić się światu drogą wymuszenia i terroru, jak nim jest rzucanie nieumotywowanych oszczerstw i obelg w przeciwieństwie do łacińskiej precyzji myśli obiektywnej, jak nim jest niechlujstwo słowa, chęć nadawania sobie pozorów racji przez ton arbitralny i brak szacunku należnego innym ludziom, narodom i myślom.

Jeżeli, zatem, w czym sztuka może mieć pretensję i ma istotny związek z cywilizacją łacińską, czyli katolicką, tak nazwaną od języka łacińskiego, którym się posługiwała, — to w tym poczuciu dyscypliny wewnętrznej i ładu, wynikających z psychiki na tej cywilizacji wychowanej, i w ujęciu siebie samego w rygory konstruktywne dla wykazania własnej prawdy. Nie o niewoli twórcy narzuconym prawidłom twórczym, ale o konsekwencji i subordynacji własnej linii, o normie dzieła mówiłem, czego p. Kościółkowski oczywiście nie chwycił i z wszelkim brakiem sumienności polemicznej tytułuje replikę „Sztuka na rozkaz!”. Jeżeli walczyć z frazeologią „zupełnego wyzwolenia” — to dlatego, że się pod tym tytułem przemycza prawo do błagi i absolutna anarchia poza jakimkolwiek kryterium.

Jeśli wszelkie kryterium ma zastąpić czas i utrzymanie się w przyszłości rzeczy wartościowych, a przepadanie mizernych — to, owszem — ale jakim prawem każda miernota podnosi wrzask o swoją twórczość, chcąc się ubezpieczyć w nieśmiertelności? — A zalewanie świata i pojęć hasłami artystycznego rozpasania, wyzutego z wszelkiej dyscypliny wewnętrznej, jest w prostej linii potomkiem niemieckiej

heglowskiej filozofii „magicznego idealizmu” i „genialnej swobody” niemieckiego romantyzmu, głównych źródeł hitlerowskiego totalitaryzmu.

Ponieważ staram się gdzie indziej dowiedzieć, że duch Niemiec i Rosji są jednego azjatyckiego pochodzenia, mam tu z jednej strony w najwierniejszym powtórzeniu niemieckiej „genialnej swobody” przez hasło „zupełnego wyzwolenia”, a z drugiej w wyżej wykazanych metodach — identyczność obu pierwiastków cywilizacyjnych azjatyckich w jednej osobie, przeciwstawioną cywilizacji łacińskiej.

2.) Jednym z twierdzeń *ex cathedra* p. Kościalkowskiego jest twierdzenie, iż nie ma kultury narodowej. Trudno mówić ze ślepych o kolorach. Dusza Polaka jest dzieckiem i spadkobiercą duszy narodu, a narodowość nie leży w paszporcie, ani we wspólnocie interesów, ani w języku, ani w wyznaniu, ale w jedności kultury narodowej. Polak jest dla mnie Polakiem i bratem nie dlatego, że mówi po polsku, ani dla czego innego, tylko dla tego, że po polsku myśli, to zaś w nim utworzyło przez pokolenia współzycie w jednej tradycji i w jednej z mną kulturze narodowej. Oczywiście wyraz psychiki narodowej, jaki daje sztuka, jest w poszczególnych działach trudno i nie zawsze sprawdzalny, zważywszy, że tematowość dzieła w najmniejszym stopniu jest polem tego wyrazu. I dlatego właśnie powiedziałem, że z czasem w całość sztuki polska wytwarza sobie swój styl wspólny, swoją atmosferę i swoją inność, jeżeli istotnie wyraża „*état d'ame*” artysty, bo choćby była ona zmysłową sztuką impresjonizmu, czy superlatywną kubizmu, nie oprze się ona imponderabilom tej duszy, w skład której wchodzi jej spadek duchowy, jej narodowość, o ile twórcy mentalnie się nie wynarodowił. P. Kościalkowski, szukając mnie w epoce przedstendhalowskiej, nie doszedł nawet do Stendhala, odkrywającego wewnętrzne, pozatematowe cechy duchowe artysty, a już oczywiście nie liczył Taine’a teorii środowiska i nie byłby przygotowany na dyskusję o jej słusznościach i błędach, nie przeobrażał Ruskina, nie mówiąc już wcale o wypłynięciu we wiek XX-ty. Nie zna Strzygowskiego i innych, nie zna całego odwrotu od kosmopolityzmu sztuki, nie już Mauguiera’a, ale takiego kosmopolity jak Maritain.

Może zresztą p. Kościalkowski uznaje podświadome bodźce duchowe na polu sztuki, a na urobienie ducha i na jego charakterystykę grupową ciężar wychowania danego środowiska, a tylko nie uznaje kultury narodowej z innej przyczyny: po prostu dlatego, że nie uznaje narodu na

polu społeczno-politycznym. W takim razie został o 70 lat wstecz z przebrzmiałym kosmopolitycznym liberalizmem, wynarodowieny nie tylko treścią swych zapatrywań, ale wyjątkowo faktycznie z ideologii polskiej i polskiego poczucia tych rzeczy, które odkryły „narod” na długo przed koncepcjami dla jego koncepcji ze strony socjologii XIX wieku, do których ją zmusiły fakty. Jeżeli zaś p. Kościalkowski nie należy do kultury narodowej polskiej, to dyskusja o tym byłaby dyskusją de lana caprina.

Wątpię czyby p. Kościalkowski dał się przekonać; zwykle nie lubią zmieniać zdania ci, co takich metod polemicznych używają jak on. Lecz pocieszam się następującą obserwacją, jeśli idzie o takie „gwizdanie” na kulturę narodową. Objaw ten bywa typową cechą młodości. Jest rzeczą znaną, że młodzież w pewnym wieku, w indywidualistycznej, najniższej fazie poczucia osobowości, pełna próżności i pewności siebie, oddala się od domu rodzicielskiego, ale nie orientuje się w swej ambicji na błędnie pojętą samodzielność, popada w zupełną zależność, zaledwie wyjdzie na ulicę, od pierwszych lepszych wpływów obcych: od przyjaciół i przyjaciółek, zakonnic, kabaretu, demagogów, jeśli nie od samej ulicy. Kto jednak jest coś wart, ten się z nich otrząśnie, z perspektywy zobaczy własny dom i naród własny i wróci. A kto nie wróci, to Bóg z nim! Polska obejdzie się bez takich aktywów artystycznych, któreby tylko mogła zarejestrować w swój inwentarz z tytułu, że twórca także mówił po polsku, albo służył w polskim wojsku. Polska nie potrzebuje suchego prowiantu, beefów i slice’ów, tylko polskiego chleba. Że zaś to nie leży w temacie, ani w technice, o tym artysta sam wiedzieć powinien, kiedy mówimy o sztuce.

Nie dlatego nieprzyjemne rzeczy mówię pod adresem p. Kościalkowskiego, iżbym mu chciał odpłacić pięknym za nadobne, — bo zresztą, mimo jego niepowściągliwego języka i lekkomyślności intelektualnej, mogę zachować dla niego najzupełniejszy szacunek, którego mnie raczył odmówić. Ja już znam taki „malarski” język, na który — było —, że zareagowałem o wiele wyraźniej, co nie przeszкодziło, że malarz stał się jednym z moich najserdeczniejszych przyjaciół. Był nim Sichulski.

Jeśli zatem piszę, to piszę dla innych, by wskazać na drogi niebezpieczne. Takim bowiem rozumowaniem po pierwsze — zaszczepia się anarchię myślową przenoszącą się ze sztuki w inne dziedziny. Po drugie — uczy, że krzykiem i nadawaniem sobie tonu zgodnie z filozofią indywidualistyczną niemieckiego totalitaryzmu można tworzyć dowolne racje i mity, nie potrzebując ich uzasadniać. Po trzecie — demoralizuje się

sztukę i obniża jej poziom ogólny przez tworzenie fikcji, że bez wysiłku twórczego można tworzyć trwałe wartości, po czwarte — mnoży blagierów i zarozumiałców, z których każdy się nad drugiego wynosi ze swoim niesprawdzalnym „ja”, zwierając się tylko w grupy wzajemnej adoracji, z dziełem równouprawnia się zarówno mydło jak knót, z poezją grafomaństwo, z harmonią nieartykułowane krzyki. Po piąte — mnoży się snobów, prześcigających się w udawaniu rozumienia tego, czego nie rozumieją, a często tego, gdzie nic do zrozumienia nie ma. Po szóste — propagując wszelki bezkrytycyzm i redukując prawdziwe wartości do poziomu mizernych, w chaosie przypadkowości, obniża się wychowanie estetyczne ogółu. Przed tym wszystkim świadomość ogółu ma prawo się bronić, zwłaszcza dziś, kiedy narzucanie wszystkiego ludziom głośnym jest tak ułatwione! Sztuka nie tylko ma się zalecać sama sobą, ale ma wielkie zadanie wychowawcze, aby się miała komu zalecać. Im bardziej jest pozaintelektualna, tym więcej obowiązują ją zasady w działaniu pozaintelektualnym. Sztuka ma przywilej budowania sobie form i tworzenia własnych praw, ale przede wszystkim sama zasada prawa, „wewnętrznego sensu”, jak przyznaje p. Jarema, rytmu, harmonii, a potem też jego gatunek mają źródła w mentalności ludzkiej i są sprawą cywilizacji.

* * *

Zgadzam się, oczywiście, z p. Domańską co do obowiązku ustalania definicji w pracach naukowych i widzę, że sprawę pod tym względem autorka ujmuję właściwie. Zgadzam się także co do tego, że w artykule dziennikarskim z powodu szczupłości miejsca, ale tylko dlatego, potrzebne są pewne skróty, które jednak — ut exemplum docet — niezmiernie utrudniają porozumienie z nieprzygotowanym czytelnikiem. Być też może, iż mój własny skrót był zbyt silny i dlatego niektóre słowa były po prostu niedosłyszane.

Nie zgadzam się jednak stanowczo, aby artykuły dziennikarskie dawały uprawnienia do „rzucania hasła”, któreby się posługiwały argumentami sprzecznymi z logiką. Lepiej jest czegoś niedopowiedzieć, lepiej zgoła źle się wyrazić, niż nie wiedzieć, co się chce wyrazić. Ścisłość myślenia obowiązuje nawet w artykułach dziennikarskich i rozgrzesza nawet brak precyzji wyrazu. Jeżeli ktoś, na przykład, powołuje się na „kulturę chrześcijańską”, a potem rzuca hasło „zupełnego wyzwolenia”, to w ogóle nie wie, co to jest „kultura chrześcijańska” (o ile taka istnieje — ale dyskusja o tym za daleko by nas zaprowadziła).

Ja wiem, że nie każdy umie się precyzyjnie wyrażać i dlatego trzeba go słuchać z dobrą wolą i szukać tego, czego właści-

wie chce. Przyznam się, że artykuł p. Jaremy czytałem z najlepszą wolą, ale wiem tylko tyle, że chciałby pogodzić hasło zupełnej anarchii, zupełnego wykluczenia wszelkiego kryterium obiektywnego, hasło nawskroś heglowskiego, germańskiego „indywidualizmu”, przeszczonego tylko w dziedzinę sztuki, ale mającego to samo psychiczne podłoże, z szanownymi zasadami, które mu jego polskie wychowanie do szacunku podało. P. Jarema chciałby pogodzić ogień z wodą, ale wcale nas nie przekonał, że mu się to udało. Jeśli mnie zaś artykuł jego sprowokował, to właśnie dlatego, że uważam, iż musimy przeorać naszą psychikę w kierunku ścisłego myślenia. Pół biedy, jeżeli z jego braku mamy zamiast dyskusji o sztuce zwykłą Kunstplauderei, albo apodyktyczne zwracanie głowy przez artystów i kabotynów, bo wtedy trudno ich odróżnić burżuom, i dyktaturę sumieniu estetycznemu widzów, Gorzej, że to się przerzuca i rozszerza w innych dziedzinach.

A teraz — zapytuję p. Domańską — czy artykuł mój istotnie był czytany z dobrą wolą zrozumienia o co mi chodzi? — Prawda, że dzięki drukarni z mojego tekstu i to w najważniejszym, rozstrzelonym miejscu wypadł cały wiersz, zmierzający do określenia „normy” w sztuce, a sprostowania jakie redakcja dała w następnym numerze nikt, naturalnie, już nie czytał, ale czy dobra wola nie byłaby mimo to zauważyła mojej tezy czarnej na białym, że sztuka polega na odstępstwach od normy, na to jednak, aby one miały właściwą wagę trzeba mieć wewnętrzne poczucie normy. Czy nie lepiej byłoby zatrzymać się nad tym zdaniem i spróbować udowodnić mi, że się mylę, niż dać się skusić na chwytły przypominające p. Kościółkowskiego? A co do twierdzenia, że termin jakiegokolwiek, z góry, i to zanim się rozumie jego znaczenie w danym wypadku — miałby być wyłączony z jakiegokolwiek dziedziny, to czy nie wydałoby się ono przypadkiem autorce przedwczesnym?

Co do „kultury”, to stwierdzenie przeze mnie chaosu i rozmaitości pojęć, które koncepcja Hessena jeszcze przynajmniej, nie tylko nie zaprzecza faktowi, że kultura bezprzymiotnikowa w ogóle nic nie znaczy, ale zdaje mi się, że ustalenie tego faktu czysto logicznego, jest pierwszym krokiem do wybrnięcia z chaosu.

Po co jednak zajmować jeszcze tyle miejsca na dyskusję, którą ponowne, ale tym razem uważniejsze przeczytanie mego artykułu najzupełniej powinno wykluczyć. Jeżeli ktokolwiek doczytał się w nim jakiegokolwiek tematowych postulatów, albo jeśli się w nim doczytał narzucania form sztuce z zewnątrz, to tylko dowodzi nawy-

ków opędzania się jakiejś opinii szczególnej kondycji i — bardzo przepraszam p. Domańską — powierzchownego czytania. Wobec tego istotnie szkoda psuć papier.

Bo, zdaje mi się, że z p. Domańską wcale nie mielibyśmy tylu punktów sprzecznych. Zdaje mi się, że prawie te same rzeczy bierzemy tylko z innych stron. A dla czego ja przywiązuję szczególną wagę do potrzeby przedstawienia punktu widzenia nawet na fakty, któreby się okazały za uznane zgodne, tego już w artykule dzien-

nikarskim wyłożyć mi nie sposób. Zanim będę mógł odesłać czytelników do mojej większej pracy w tym kierunku, pozwolę sobie zwrócić uwagę na moje fragmentaryczne artykuły potrącające o te tematy. (W sprawie kultury narodowej m. in. w „Orle Białym”: „Dawność a Polskość”, w sprawie „normy” artykuł o „Dyscyplinie formy poetyckiej”, który się ukazał także w „Orle Białym”. Pomijam oczywiście rzeczy drukowane w Polsce).

Michał Pawlikowski

O literaturze białoruskiej XVI wieku

Najpierw kilka uwag ogólnych, dotyczących języka białoruskiego i różnych wpływów na rozwój literatury białoruskiej.

Dzisiejszy język białoruski rozwinął się z różnych narzeczy Słowian grupy wschodniej, przede wszystkim zaś Krywiczów, Dryhowiczów i Radzimiczów. Plemiona te zlały się ostatecznie w jeden naród białoruski w XIII i XIV wieku.

Do czasów przyłączenia ziem ukraińskich i białoruskich do Litwy, a następnie razem z nią do Rzeczypospolitej Polskiej, Białoruś zostawała pod przemożnym wpływem kultury bizantyńskiej, przenikającej do niej bezpośrednio z Kijowa. Po zajęciu Białorusi i Ukrainy przez Litwę, a następnie po połączeniu się różnych tych organizmów politycznie z Polską, rozpoczyna się na nie wpływ coraz większy Zachodu.

Trzeba przyznać, że związek polityczny wspomnianych narodów niejednokrotnie był oceniany. W każdym razie, jeśli chodzi o w. XVI, który uważa się za złoty w literaturze białoruskiej, jest on dodatni.

Po złotym wieku XVI w literaturze białoruskiej przychodzi czas upadku, po którym znowu, wraz ze świadomością narodową, budzi się życie kulturalne Białorusinów, a wraz z nim i literatura: wiek XIX i XX.

Nie możemy tu zbyt milczeniem jeszcze jednego czynnika, który bardzo silnie zaważył na losach narodu białoruskiego, wyciskając swe piętno także na rozwoju literatury. Czynnikiem tym jest wiara, religia. Chyba żaden z narodów na kuli ziemskiej nie miał tylu zmian swego wyznania, ile ich widzimy na przestrzeni historii narodu białoruskiego. Schematycznie dałaby się ująć całość wydarzeń w następujący sposób. Od czasów przyjęcia

chrztu do końca wieku XIII Białoruś pozostaje katolicka; z biegiem czasu, podobnie jak Ruś kijowska i moskiewska, ulega wpływom schizmatyckiego Wschodu, bezwiednie i nieświadomie staje się także „prawosławną” (schizmatycką). Na horyzoncie dziejów zjawia się Unia Brzeska (r. 1596). Dysputy religijne, polemiki, zapęły misjonarskie, kłótnie ostatecznie kończą się tym, że w połowie wieku XVIII cała Białoruś znowu staje się katolicką (unici). Po rozbiorach Polski, ze strony dystrykcyjnej Rosji dowodzą, że Białorusini — to” istinno ruskij naród”, a ich religia — to zepsute prawosławie. Wiemy, że na skutek tych i wielu jeszcze innych przyczyn, jedni z Białorusinów przyjmują obrządek łaciński, by tym sposobem ratować zagrożoną wiarę, inni „dobrowolnie” stają się znowu prawosławnymi. Tragiczne to ze wszelkich miar rozdzielenie w wierze, w obrządku, trwa do dnia dzisiejszego. Skutkiem tych bolesnych przeżyć historycznych był zanik i upadek życia kulturalnego Białorusinów w XVII i XVIII w. Odbiciem zaś tego jest właśnie ówczesny stan literatury białoruskiej.

Po tych uwagach ogólnych, w których wypowiedzianiu zamiarem moim było stać jak najdalej od wydawania sądów o kwestiach nas tu interesujących w zależności od jakichkolwiek koncepcyj lub koniunktur politycznych, chciałbym zająć się bliżej oznaczonym tematem.

W rozwoju literatury białoruskiej da się rozróżnić następujące okresy:

I. Starodawny okres piśmiennictwa, który trwa około 8 wieków: X-XVIII, a który można znowu podzielić następująco:

- 1) Czas literatury cerkiewno-słowiańskiej, X-XV w.;
- 2) Wiek złoty, XVI;

3) Upadek, XVII-XVIII w.

II. Okres literatury nowoczesnej, XIX w.

III. Okres literatury nowszej (F. Bahuszewicz, J. Niasłuchowski, Ciotka, Jakub Kołas, Janka Kupała, Maksim Bahdanowicz etc.

IV. Literatura współczesna w Białorusi Sowieckiej i w Zachodniej, „Maładniak”.

Starodawny okres piśmiennictwa

Z tego okresu nie bierzemy pod uwagę czasu literatury cerkiewno-słowiańskiej. Nadmieniamy tylko, że w języku białoruskim żywym, różniącym się od starosłowiańskiego, zaczęto pisać o wiele wcześniej, aniżeli np. w języku wielkoruskim. Przedmiotem piśmiennictwa starodawnego są najczęściej życiorysy świętych, oryginalne, na modłę grecką skomponowane, lub wprost tłumaczone, następnie akty książąt lub osób z hierarchii cerkiewnej, apokryfy, legendy.

XVI wiek złoty

Po upadku Bizancjum jako imperium, centrum kultury bizantyjskiej powoli zaczyna się przesuwać na Wschód słowiański. Białoruś jednak połączeniu się jej z Polską oddala się od Wschodu, natomiast coraz bardziej ulega wpływowi Zachodu. Humanizm, reformacja, akcja unijna (1596) i antyunijna głęboko rzeźbią teren życia kulturalnego ówczesnej Rusi i Białorusi. Jedne z tych wpływów na literaturę uważa się dzisiaj za dodatnie (humanizm), inne znawcy surowo się osądzają (reformacja, ruch unijny).

Utwory z XVI w. w języku białoruskim w części zaginęły, zwłaszcza, że w następnych stuleciach nikt się nimi nie interesował. Dla usprawiedliwienia jednak nazwy, którą dajemy owej epoce, wystarczy w zupełności to, co do nas doszło. Oto najważniejsze postacie i ich prace:

1) Franciszek-Jerzy Skaryna (ok. 1486—ok. 1536), tłumacz na język białoruski, wydawca i drukarz Pisma Św.

2) B. Ciapiński (druga poł. XVI wieku) także tłumacz Pisma Św. na język białoruski (Nowy Testament).

3) S. Budny (druga poł. XVI w.)

4) Filon Kmita (druga poł. XVI w.), autor „Odpisów”.

5) Teodor Jewłaszewski (1546 - 1604), „Dziennik”.

6) Mieleško, „Przemowa” z r. 1589 (?).

7) Andrzej Rymsza (koniec XVI w.)

8) Barkułabajska Kronika, zaczynająca się od roku 1563, a kończąca się 1608 r.

9) Statut Litewski, trzy jego redakcje: 1529 — 1566 — 1588.

Niesposób omówić wszystkie wyliczone tu punkty wyczerpująco. W miarę możności, w najkrótszy sposób postaram się podać poniżej najważniejsze dane, odnoszące się do wymienionych postaci, lub ich dzieł.

Franciszek Jerzy Skaryna

Bibliografia: Najważniejszą z prac o Skarynie jest praca rosyjskiego uczonego Vladimirova. Z Polaków zajmowali się Skaryną Brucker w „Zeitschrift slav. Philologie”, IV (1927) 198 sq. i wielu innych: Łowmiański, Abramowicz, Wojciechowska... Z Białorusinów: A. Stankiewicz, Piczeta, Jazep Vouk-Levandowicz...

Życiorys. Franciszek Jerzy Skaryna urodził się w Połocku ok. 1486 r. Rodzice jego zajmowali się kupiectwem. Po otrzymaniu początków wykształcenia w domu



Dr Franciszek Skaryna, tłumacz Pisma Świętego na język białoruski i pierwszy białoruski drukarz.

rodzicielskim udaje się do Wilna, stąd zaś wysyłają go na dalsze studia magnaci — protektorzy do Krakowa (rok 1504 lub 1505).

W Krakowie otrzymuje stopień bakałarza. Następnie wyjeżdża do Włoch i w r. 1512

w uniwersytecie w Padwie zostaje doktorem medycyny. Później zwiedza zachodnią Europę. Na czas dłuższy zatrzymuje się w Pradze, gdzie przy uniwersytecie istniało kolegium litewskie (założone w r. 1397). W tym kolegium Skaryna rozpoczął swą pracę tłumacza, drukarza i wydawcy ksiąg Pisma Sw. Rok 1517 jest uważany przez Białorusinów za datę początku druku białoruskiego. (W roku 1917, 6 sierpnia obchodzili Białorusini jubileusz 400 lat swego druku). Z nieznanej bliżej przyczyny przerywa Skaryna swą pracę w Pradze i już w 1525 r. widzimy go w Wilnie, zajmującego się w dalszym ciągu tłumacze-



Jedna ze stroniec Biblii Skaryny, drukowanej w Pradze w latach 1517-1519.

niem i drukowaniem Pisma Sw. i słowiańskich ksiąg liturgicznych. Z dalszego czasu doszły do nas bardzo szczupłe wiadomości o Skarynie. Wiemy tylko, że się ożenił, klepał biedę, zaciągnął dług, skarżył się królowi polskiemu na różnego rodzaju doznawane krzywdy. Podobnie jak nie znamy dokładnej daty urodzenia Skaryny, tak też nie znamy i daty jego śmierci. Niektórzy podają rok 1536.

Prace Skaryny. Jak już zaznaczyliśmy Skaryna był równocześnie tłumaczem, drukarzem i wydawcą. W Pradze w latach 1517-1519 potrafił wydać 22 księgi Starego Testamentu Pisma Sw. Była to, jak sam się wyraża Skaryna „Biblija ruska, wylażana doktorom Francyskam Ska-

ryna i z staunaha hrada Połacka, Bohu ko ěci i ludziom paspalitum k dobramu nauczeńniu”. W słowach tych mamy wyrażony cel, który przyświecał pobożnemu i oświeconemu pracownikowi: przez swoje tłumaczenie chciał on przygotować szerszemu ogółowi lub raczej udostępnić owe źródła odwiecznych prawd, które zawarte są w natchnionych księgach Pisma Sw. — W Wilnie w r. 1525 Skaryna wydrukował: *Małaju padarożnaju kniżycu*, w której umieścił *Psalterz* (ten sam, który wydał przedtem w Pradze), *akafisty*, *czasasłou*, *menologium* i *szestadnieu* (księgi liturgiczne obrządku bizant., — słowiańskiego.) W tym samym roku wydał w Wilnie także *Apostol*. —

Dzisiaj prace Skaryny stanowią bibliograficzną rzadkość. Wszystkie znajdują się w Londynie w Muzeum Brytyjskim, częściowo w Pradze i w Wilnie, w Muzeum Białoruskim Ivana Luckiewicza, Wspomnieć wypada, że tu, w Rzymie, w bibliotece Wiktora Emanuela pod sygnaturą 34. 2. H. 14. 12 znajduje się niewielka praca z dziedziny skrypturystryki, której autor i tytuł brzmi następująco: *Schorichius Georgius, Disputatio De varijs Scripturarum sensibus, Anno millesimo quingentesimo septuagesimo, in Inclita, et Catholica Academia Ingolstadiana publice proposita. Er Officina Weissenhoriana Anno MDLXX.* Następują 41 kwestie, poczem czytamy: *Sub praesidio Theodori Peltani, Dectoris Theologi, pro impetranda, in SS. Theologia Licentia, defendit M. Georgius Schorichius, eiusdem sacrae Theologiae Baccalaureus formatus, et Cancionator Ducalis etc.*”. Czy nie jest to może jedna z prac naszego Skaryny?

Znaczenie Skaryny: Jako drukarza — naśladowają go późniejsi wydawcy Pisma Sw. (Ivan Fiodarow, Piotr Mścislawiec i wielu innych).

Jako tłumacza — Biblia Skaryny była trzecim z rzędu wydawnictwem drukowanym Pisma Sw. (po niemieckim i czeskim).

Jako narodowego działacza kulturalnego. Język Skaryny, białoruski ówczesny, tj. XVI wieku. Czuł na nim wpływ języka owych narodów, wśród których sam Skaryna albo jako uczeń pobierał nauki (polski), albo z którymi musiał się stykać (litewski, ukraiński, czeski) w ciągu swej działalności. Czasem też sam Skaryna umyślnie pozostawia staro-słowiański język, do którego od dzieciństwa się przyzwyczaił, jako do mowy sakralnej. Chociaż dzieło Skaryny nie miało takiego wpływu na życie kulturalne i religijne Białorusi późniejszej, jaki np. wywarło na życie polskie dzieło Wujka, to jednak na zawsze pozostanie pomnikiem monumentalnym czasu złotej epoki, kiedy to różne narody potrafiły się żyć i według własnych

swoich dążności i potrzeb tworzyć rzeczy wielkie. Epoka Jagiellonów.

Bazyli Ciapiński

Pochodził z Połocznyny podobnie jak i Skaryna. Uległ wpływowi reformacyjnym, należał do Arianów. Współpracował w wydawaniu ksiąg w języku białoruskim z Budnym.

W latach 1570-1580 przetłumaczył na język białoruski i wydał ewangelię. Drukował on tekst podwójny: cerkiewno-słowiański i tuż obok niego białoruski. Na marginesach daje wyjaśnienia.

Język Ciapińskiego ma wiele polonizmów, a jeszcze więcej pozostawia wyrazów cerkiewno-słowiańskiego języka.

O szlachetnych poglądach Ciapińskiego dowiadujemy się ze wstępu umieszczone-

Nie mając większego znaczenia w literaturze, księgi Budnego powiększyły liczbę druków w rodzinnym języku na Białorusi i szerzyły idee nowinkarskie.

Kmita

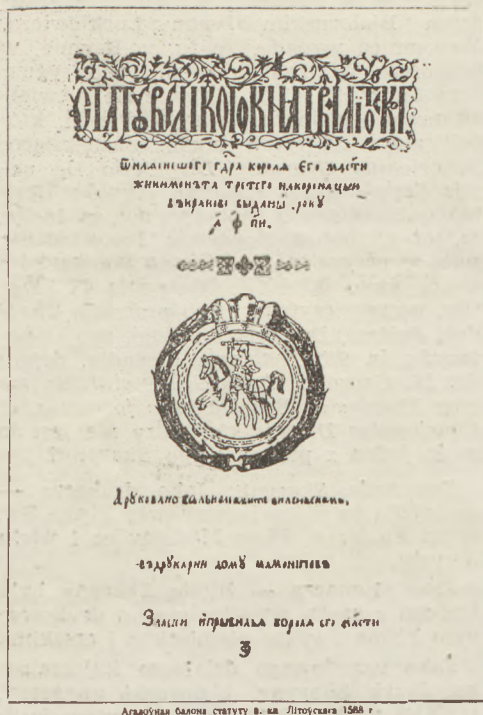
Wojewoda smoleński. W rękopisie w Petersburgu zachowały się tak zwane „Odpisy”. Kmita był Polakiem. Żyjąc jednak na Białorusi przyswoił sobie dobrze język Białorusinów, w którym też żywcem zapisał najrozmaitszego rodzaju opowiadania, przypowieści, wyrażenia. Odmalowuje on ówczesne społeczeństwo różnych warstw.

Pomijamy (z braku miejsca) Jewłaszewskiego i Mieleszkę. O Andrzeju Rymszym notujemy kilka rysów charakterystycznych: z pochodzenia — Litwin. Pisał prozą i wierszem. Jakże takie znaczenie mają przede wszystkim jego wiersze (epigramy), bez większego kunsztu ułożone, wychwalające wielmożów (Sapiehów, Wołłowiczów) lub ich herby. Przykład sztuki wierszowania XVI w.

Barkułabajska kronika

Nazywa się tak od wsi Barkułabawa (pow. Bychowski w Mohilowszczyźnie). Obejmuje lata 1563—1608. Autor nie jest znany. Harecki powiada, że nie brak dowodów, ażeby za niego uważać popa barkułabskiego, Aleksandra Mścisławca. Mowa Kroniki nadzwyczaj piękna i czysta, materiał historyczny bogaty. Wykorzystali ją jako źródło do swoich prac Sergiusz Szcwajew i Kostomarow. Styl Kroniki obrazowy, przeniknięty szczerością autora, która podbija czytelnika. Dla charakterystyki języka i dramatyzmu, który spostrzegamy w opisanych scenach podamy opis głodu z r. 1601. (Oryginał napisany cyrylicą. Na tym miejscu nic nie zmieniając słów przepisujemy ortografią przyjętą dziś u Białorusinów).

„...adzin druhoŭa pakidali, nia wiedaju-
czy adzin a druhim, mała nia usi pamierli.
A kali toj nachod, u varot, albo u domu
u koho stajaczy, chleba prasili, aciec z syn-
nam, syn z accom, matka z daczkoju, dacz-
ka z matkaju, brat z bratam, siostra z
siastroju, muž z żanoju, tymi słowy mo-
vili silnie, śleźnie, horka movili tak: „Ma-
tuchna, ziaziuluchna, vutuchna, panu-
szka, spadarynia, sonca, miesiac, żwiez-
duchna daj kroszku chleba!” Tut-ż pod-
le varot budziec stajaci zrania da abieda i da
pałudnia, tak-to prosiaczy; tam-ża druhi
pad płotam i umreć. A kali varyva pra-
sili, tyja słowy movili: „Spadarynia, pie-
rapielaczka, zoruchna, ziernietka, souny-
szka, daj łozaczku dzieciatku varyuca syro-
ha!”... M. Harecki, Hist. Bielarus. Literat.
Vilnia 1924, 34;
Autor Kroniki odnosi się nieprzychylnie
do łacinników.



Karta tytułowa Statutu Wielkiego Księstwa Litewskiego. Redukcja z roku 1588-go.

go przed ewangeliami: „Z ubohaje sva-
jeje majentnaści narodu majmu usłuhu-
ju... z życzliwaści ku majej atczyźnie...” Żą-
da on też od magnatów, by zakładali szko-
ły i szerzyli oświatę.

Szymon Budny

Wspominamy tu o nim, gdyż pisał i dru-
kował heretyckie swoje dzieła także po
białorusku. W r. 1562 wydał po białoru-
sku katechizm.

[illegible]

53



Rafaël: *Parnarino.*

Zal Fornariny

Zza gór Albańskich dostałe lato
chlusnęło na mnie słońcem przez okno:
ściana jak płótno, obrazy światła
i ja modelka.

Jak odgłos kroków
w dal odchodzących, serce twe cichło,
mój Raffaello!

U bram ogrodów
Ktoś zawsze szklany wytrwale czyhał,
aż grób twe ciało porwał za miedu.

Tylko naprzeciw obraz Madonny
(okno tęsknoty na świat, gdy ciemno)
między mną został a twoim skonem,
został pomiędzy tobą a ziemią.

Lecz cóż nam z tego, że blask u czoła
i usta moje kwitną jak czerwiec?
Długim milczeniem przez wieki wołam
w oczekiwaniu trwając bez przerwy.

Bolesław Kobjyński

Papieże medycejscy

Ilekróć zwiedzałem Florencję i jej zabytki w towarzystwie zawodowych przewodników tylekróć wypadało mi słyszeć z ich ust, że ród florenckich Medyceuszów wydał poza innymi znakomitościami również *czterech papieży*. Ponieważ informacja ta jest tylko częściowo ścisła, pragnąłbym ją sprostować i podać kilka szczegółów, odpowiadających historycznej prawdzie.

Istotnie jest czterech papieży pieczętujących się herbem Medyceuszów. Są to Leon X, Klemens VII, Pius IV i Leon XI. Jedynie dwaj pierwsi pochodzą z historycznego rodu władców Florencji. Natomiast Pius IV nie miał właściwie z rodem tym, chyba poza nazwiskiem, nie wspólnego, zaś Leon XI był jedynie bardzo daleko z rodem tym spokrewniony.

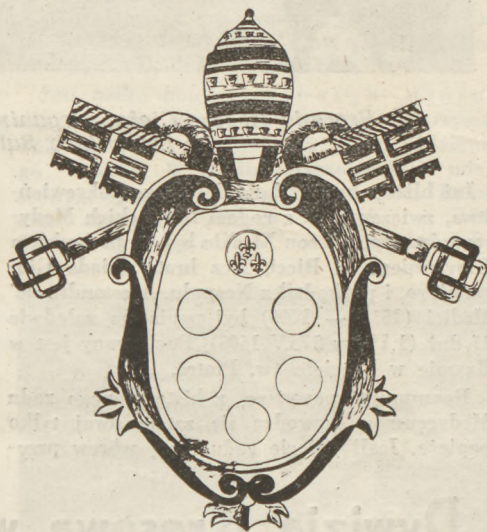
Ród Medyceuszów posiada kilka linii z których za główną uważana jest przez historię linia wywodząca się od Giovanniego di Bicci de Medici *) (1360 — 1423). Dwaj jego synowie dali początek dwu liniom władców Florencji wzgl. Toskanii, a to starszej (założyciel jej Cosimo il Vecchio „Pater Patriae”, (ur. 1389, um. 1464), która wygasła w r. 1589 wraz ze śmiercią Katarzyny de’ Medici, królowej Francji, wdowy po Henryku II, oraz linii młodszej (założyciel jej Lorenzo il Vecchio, ur. 1395, um. 1440), która wygasła w r. 1743 na osobie Anny Marii Ludwika, siostry ostatniego w. księcia Toskanii, a wdowy po elektorze Palatynu Janie Wilhelmie.

Ożół z owej starszej linii historycznego rodu Medyceuszów pochodzą dwaj Papieże. Z tych pierwszy to Leon X (Giovanni de’ Medici, ur. 1476, um. 1521, syn Lorenza „il Magnifico”, a prawnuk Giovanniego di Bicci). Zasiadał on na Stolicy Apostolskiej w latach 1513 — 1521, a pochowany jest w Rzymie w kościele Santa Maria sopra Minerva. Na cześć jego pontyfikatu przypada słynne wystąpienie Marcina Lutra w Wormacji. Drugi z tych papieży to Klemens VII, stryjeczny brat Leona X i długoletni jego doradca (Giulio de’ Medici, ur. 1478, um. 1534, prawnuk Giovanniego di Bicci, nieślubny syn Antonii Gorini i Giuliana de’ Medici, brata Wawrzyńca Wspaniałego). Papieżem był w latach 1523 — 1534, a na czas

jego pontyfikatu przypada złupienie Rzymu (Sacco di Roma) przez żołdactwo Karola V. Pochowany jest, podobnie jak Leon X, w Rzymie w kościele Santa Maria sopra Minerva.

Obaj papieże nadają starszej linii Medyceuszów specjalnego splendoru, zrównoważonego może wielko-książęcą koroną, jaka przypadła w udziale linii młodszej rodu, potomkom Lorenza Vecchio.

Z kolei kilka słów o papieżu Piusie IV uważanym nieszłusznie za członka rodu florenckich Medyceuszów. Giovanni Angelo Medici (lub Medichino), późniejszy papież Pius IV, ur. 1499, um. 1565, pochodził z rodziny niespokrewnionej z Medyceuszami i był synem, drobnego mediolańskiego kupca. Współczesny mu władca Florencji, Cosimo I de’ Medici (1519 — 1574) pragnąc sobie zjednać papieża w na-



(Rys. J. Borkowski)

Herb medycejskich papieży

dzieci, że uda mu się tą drogą otrzymać z jego rak wymarzoną koronę wielko-książęcą, uznał go ze względu na podobieństwo nazwiska swym krewniakiem i nie wyraził sprzeciwu, skoro papież zaczął pieczętować się herbem rodu Medyceuszów. Co więcej, opracowano specjalnie genealogię papieża, wywodząc go od Giambuono de’ Medici, przodka Giovanniego di Bicci. Ten pseudomedycejski papież, który zasiadał na Stolicy Apostolskiej w latach 1559 — 1565, spoczywa w Rzymie w kościele Santa Maria degli Angeli.

* „...de’ Medici” nie oznacza wcale szlacheckiego pochodzenia rodu. Odpowiada to „dei Medici”, a więc dopełniaczowi, i daje się przetłumaczyć na polski „z Medyceuszów”. Przykładów takich można znaleźć wśród rodów florenckich więcej.



Procesja Bożego Ciała, zorganizowana w Grottamare przez jeden z Lwowskich Batalionów Kresowej.

Już bliżej choć węzłami dalekiego pokrewieństwa, związany był z rodem florenckich Medyceuszów papież Leon XI. Nie był on potomkiem Giovanniego (di Bicci, lecz brata dziada Giovanniego, i pochodził z Neapolu. Alessandro de' Medici (1535 — 1605) był papieżem zaledwie 27 dni (1.IV — 27.IV 1605). Pochowany jest w Rzymie w kościele św. Piotra.

Reasumując powyższe, z historycznego rodu Medyceuszów wywodzą się zatem dwaj tylko papieże. Jeśli pojęcie rodu tego, wbrew przy-

jętym przez naukę zwyczajom rozszerzyć i na inne linie wywodzące się od jednego praojca, a przez to spokrewnione z władcami Florencji, to uzyskamy trzeciego papieża Medyceusza. W każdym razie jednak trudno mówić o czterech papieżach tego rodu, skoro Pius IV został doń włączony jedynie z powodu osobistych ambicji Cosima I, późniejszego pierwszego wielkiego księcia Toskanii.

Wiktor Szach

Dywizja Kresowa w Predappio Nuova

Spśród trzech elementów klasycznego dramatu tylko jedność akcji była zachowana w kampanii włoskiej 2. Korpusu: czas i miejsce się zmieniały. W październiku 1944 r. po parutygodniowym odpoczynku, Korpus wszedł do akcji po raz czwarty. Rozpoczęła, tym razem, Dywizja Kresowa. Różniła się ta kampania swym charakterem i od pierwszych działań zimowych w południowych Apeninach, wyrażających się w lakonicznych komunikatach: „wymiana ognia artyleryjskiego i obustronna działalność patroli” i od pościgu adriatyckiego który — jeszcze przed ofensywą bolońską — uprzytomnił żołnierzom polskim,

że Italia — klasyczny cel podróży posłubnych — mogła być również terenem kawalerskiej jazdy.

Sceną akcji był tym razem środkowy odcinek północnych Apenin, porą roku — jesień, leitmotywem — błoto. Wszystkie te czynniki wpływały oczywiście na osłabienie tempa. Wprawdzie tak często spotykane na murach włoskich ulic hasło: *sempre avanti* nadal przyświecało żołnierzom 2. Korpusu, ale umiarkowane zaaleceniem autycznej mądrości: *festina lente*. Myślano się nie bez melancholii, że Hitlerowi, temu Cunctatorowi klęski, pogoda dopoma-

gała w przewlekaniu działań, tak jak kiedyś sprzyjała w przyspieszaniu.

Nadto akcja apenińska będąc niekiedy — mniej krwawa od adriatyckiej była przytym, w jesiennej słońce, mniej przyjemna, bardziej pełna t. zw. trudu żołnierskiego i — niestety — mniej efektowna. Brak było na trasie nazw geograficznych, któreby tak przemawiały do wyobraźni i apelowały do grandilocwencji jak Monte Cassino, Ancona lub ostatnio Bologna.

Było za to Predappio Nuova, Małe miasteczko w Romanii, z niepełnymi dwoma tysiącami mieszkańców, 15 km na południe od Forlì. Predappio Nuova jest położone malowniczo w dolinie rzeki Rabbi i otoczone ostatnimi pasemkami północnych Apenin, za którymi zaczyna się już równina padańska. Zdobyte zostało, jak i inne sąsiednie miasteczka romañskie, przez piechotę kresową wspieraną przez pułki kresowej artylerii.

Cóż jednak wyróżnia Predappio Nuova spośród innych *piccoli paesi* o krętych uliczkach z arkadami i harmonijnych piazzach, o starych romańskich kościołach i renesansowych pałacach, o malowniczym położeniu, stylowych i uroczych, jakich kilka widzieliśmy i zdobyli w tejże Romanii (Santa Sofia, Galeata, Civitella, Meldola, Brisighella) a kilkasć w całej Italii? Otóż to właśnie, że Predappio Nuova nie posiada nie z powyższych właściwości, poza malowniczością ła, które zresztą w tym kraju jest nie do uniknięcia. Predappio Nuova mimo swej nazwy jest naprawdę nowe, niewielkie wprawdzie, ale regularnie rozplanowane, nowoczesne, omal wielkomiejskie. A przed laty dwunastu stały tu zaledwie cztery wiejskie chałupy. Czemu zawdzięcza miasto ten wyjątkowy rozrost?

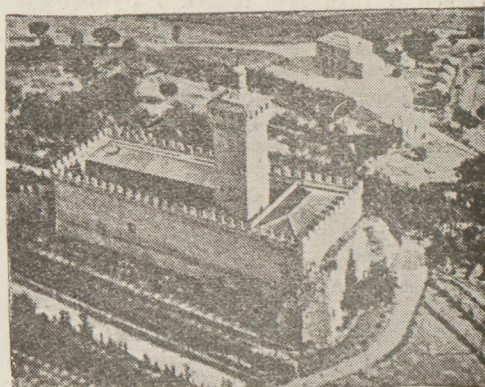
Drobnemu i przypadkowemu wydarzeniu, jakie tu zaszło przed laty przeszło sześćdziesiąć: w jednym ze wspomnianych czterech domków przyszło na świat *piccino bambino* — Benito.

Predappio Nuova jest więc Mekką faszyzmu. Jest jednak nie tylko kolebką Duce, jest także jego dziełem. Niewątpliwie w braku Predappio maleńki Benito, lub wielki Mussolini urodziłby się gdzie indziej. Ale bez Mussoliniego nie byłoby Predappio. Cztery domki, jakie tu stały w pierwszym roku ery faszystowskiej rozpadłyby się w gruzy ze starości, nawet bez udziału naszej kresowej artylerii. Wszystkie inne osiągnięcia ustroju, jak doskonale drogi jakimi teraz jeździ zmotoryzowany żołnierz polski, albo osuszone bagna pontyjskie z Littorią i Sabaudią, albo zupełnie wyjątkowa uroda *signorin* (piszący te słowa pamięta z całą dokładnością, że w pierwszych latach „Ery” Italia była krajem niezliczonych pięknych widoków, ale niewielu urodziwych kobiet), mogłyby niewątpliwie być w równym stopniu dziełem kapitalizmu, demokratycznego parlamentaryzmu, lub choćby i komunizmu (w Palestynie

podobne rezultaty są owocem sjonizmu — syntezy wszystkich tych doktryn), ale Predappio jest niezaprzeczalnym tworem faszyzmu.

Wystarczy półgodzinnej przechadzki po mieście, aby się o tym przekonać. Widzi się więcej gmachów publicznych niż mieszkalnych i każdy z nich realizuje jakiś inny postulat doktryny faszystowskiej. Najjaskrawszym budynkiem jest modernistyczna Casa del Fascio — siedziba partii, Futuryzm, urzędowy kierunek estetyczny reżimu, zapomniany już prawie w poezji i malarstwie, w architekturze — jak wiadomo — okazał się najbardziej żywotny. Szpital położony na centralnej placzy miasta i przytułek dziecięcy są wyrazem dbałości o przyrost naturalny, dom Balilla i szkoły im. rodziców Duce, Rosy Maltoni i Alessandra („mamma” i „babbio”, jak ich nazywa ludność) — przejawem troski o dusze młodego pokolenia. Fabryka samolotów Aeronautica Caproni dawała rodakom Duce zatrudnienie, Instytut Ubezpieczeń Społecznych — zabezpieczenie, klub *Dopolavoro* — wytchnienie. Nawet bardzo harmonijny kościół w stylu renesansowym z charakterystyczną kopułą postawiony już po traktacie laterańskim, nosi podwójną datę budowy: A.D. 1934 — E.F.XIII.

Jest nadto hotel i albergo diurno dla turystów, którzy tu tłumnie pielgrzymowali do domu rodzinnego i grobu rodzinnego Duce. W kaplicy-mauzoleum na miejscowym cmentarzu spoczywają rodzice Benita oraz syn-łotnik Bruno (poległy w 1941 („povero Bruno” mówi o nim jedna



La Rocca delle Caminate

z sąsiadek Casa Mussolini). Nie ma natomiast grobu conte Ciano. Nad miastem wznosi się zamek Rocca delle Caminate, ulubiona rezydencja donny Rachele, żony dyktatora.

Wszystko to nie tylko powstało w okresie czasu między marszem na Rzym, a „zdradą” Badoglio, ale nosi wyraźne piętno osoby Mussoliniego i reżimu, piętno którego zamazy-

waniem napisów „V il Duce” i symbolów faszcia nie można było, wraz z inwazją aliancką i zmianą ustroju zetrzeć tak bez reszty jak wszędzie indziej w Italii. Predappio, zniszczone teraz pociskami kresowej artylerii, jest jak Pompea autentycznym pomnikiem epoki, doskonałą próbką stylu i symbolem cywilizacji faszystowskiej w ruinach.

Wiele osób zadaje sobie często pytanie, czy są jeszcze we Włoszech faszyści. Pytanie jest absurdałne. Nie ma dziś we Włoszech faszystów, tak jak przed paru laty byli nimi wszyscy. Wiadomo przecież, że nie ideologia kształtowała ustrój, tylko ustrój ideologię.

Możliwe jednak, że gdzieś tam na pograniczu Apenin i równiny lombardzkiej, w

małej miejscinie romańskiej, upamiętnionej przejściem Żołnierza polskiego, która przy nieco innym biegu wydarzeń rozrosłaby się potężnie za lat kilkadziesiąt i stałaby się ośrodkiem wielkiego przemysłu jak Turyn albo celem pielgrzymek (jak Gori na Kaukazie). Przez długie lata jeszcze opowiadając o pewnym dawno zmarłym kowalu i nauczycielce ludowej będą ludzie miejscowi używać pieśń-
czotliwych określeń „m a m m a” i „b a b b o”, pewną nieszczęśliwą, starszą panią nazywać „d o n n a R a c h e l e” a nad młodym, poległym na wojnie lotnikiem wzdychać „p o v e r o B r u n o”.

P o v e r o B e n i t o.

Azymut

Było to w Szkocji...

Jak powiada stare i nad wyraz zbanalizowane przysłowie — „Podróże kształcą”!... My, Polacy na brak wędrowek po świecie w czasie obecnej wojny uskarżać się nie możemy. Czyśmy wyciągnęli głębokie wnioski z tych naszych, niemal zawsze przymusowych wycieczek — to już sprawa całkiem inna i nad nią się tu zastanawiać nie zamierzam. Chocę natomiast sięgnąć pamięcią do moich wspomnień sprzed lat już przeszło czterech i opowiedzieć o rzeczach, które się wtedy działy. Działy się zaś już (w tak pozornie odległych, „szkockich” czasach).

Dzień, w którym piszę te słowa, jest, zbiegłom okoliczności, dokładnie piątą rocznicą wylądowania na wyspie Brytyjskiej po klęsce Francji w roku 1940 resztek 3 Dywizji Piechoty. Mimo zdrowego i bez przeszkód przebiegu z Bretanii do Plymouth nastroje były, co tu tać, pod psem, a przyszłość przedstawiała się prawie beznadziejnie. Dwie klęski w ciągu ośmiu miesięcy, to jednak bardzo wiele... Rzeczywistość dzisiejsza jest bez porównania więcej naładowana atmosferą burzliwą i politycznie bardziej skomplikowana. Wtedy pachniało po prostu przegraną wojną z Niemcami, a choć Churchill zapowiadał walkę nieugiętą, widok uzbrojonego głównie w halabardy „Home Guard”u nie usposabiał optymistycznie.

Trzeba było jednak jakoś okrzepnąć, zdać sobie sprawę z sytuacji. Chęć działania wynikała z reakcji przeciw beznadziejnej, jak się wówczas zdawało, sytuacji. Z tych właśnie lat-
nych początków wyrósł później poważny ruch kulturalny i propaganda istotnych, polskich wartości wśród naszego wojska.

Inicjatywa była prywatna. Red. Ludwik Rubel zaczął wydawać biuletyn informacyjny w środowisku, z którego w kilka lat później wyrosła 1 Dywizja Pancerna; z biuletynu powstał „Dziennik Żołnierza”. Inż. arch. Stanisław Jankowski, Klemens Dunin-Keplicz i ja zainicjowaliśmy ścienną gazetkę ilustrowaną dla resztek naszego pułku w skromnym nakładzie czterech egzemplarzy. Wydaje mi się nawet,

że nasza gazetka była o dwa dni starsza od Rublowego biuletynu.

W następnym m.p., w najbardziej chyba dżdzystej miejscowości w Szkocji, Crawford, powstały z naszego piśmka w zorganizowanej tam 1 Samodzielnej Brygadzie Strzelców, pod auspicjami jej oficera oświatowego, Jana Rembielińskiego — „Nowiny Pierwszej Brygady”.

Zastrzegam się z góry, że wspomnienia moje nie mają najmniejszej pretensji do jakiegokolwiek dokumentacji i dotyczą tylko tego, z czym się mniej lub więcej bezpośrednio stykałem.

Ostatecznie 1 Brygada rozłożyła się dokoła miasteczka Biggar, dość podłego, ale bardzo atrakcyjnego dla nas, mieszkańców namiotów. Rembieliński wyciągnął z szeregów kilku dziennikarzy i literatów i jednego malarza. Byli to Janusz Laskowski, Jan Lachowicz, Marian Walentyńczyk i kilka mniej ważnych person. Całe to zgromadzenie, łącznie z satelitami z oddziałów, postanowiło wydawać poza „Nowinami” pismo poważniejsze i celu dopieło. Miesięcznik nazywał się „Czata”, zawierał materiały literackie i polityczne i był tak prawdopodobny w swych ocenach „cywilnego” Rządu naszego w Londynie, że został zamknięty po trzech numerach. Zmartwiliśmy się bardzo i zmieniliśmy tytuł na „Odwet”, przyrzekając solennie nowemu Kierownikowi Referatu Oświaty i Kultury Brygady, kpt. Adamowi Kowalskiemu, że będziemy grzeczni. Przyznać trzeba, żeśmy wytrzymali dwa lata, po czym „Odwet” spotkał los „Czaty”. Ale to sprawy późniejsze.

„Czata” cieszyła się dużą poczytnością, co wynikało nie tyle z jej niezłego poziomu, ile z absolutnego braku polskiego słowa drukowanego. W Londynie wychodził już co prawda „Dziennik Polski”, ale przedziwne bujdy, które wypisywał o polskich bojach we Francji i o „wzorowości” ewakuacji nie usposabiały doń życzliwie żołnierzy. Mieli na ten temat zdanie wyrobione, różniące się

znacznie od wersji oficjalnej. Ponieważ poglądom „dołów” hołdowała i „Czata”, można się domysleć, dlaczego została zamknięta. Dobrze, że nas to nie spotkało!

Adam Kowalski, wódz od brygadowej kultury, miał duże ambicje i zgromadził szereg ludzi piszących w rodzaj klubu literackiego, który się nazwał grupa literacka „Odwetu”. Główną jej zasługą było to, że wynalazła skromnego i cichego strzelca, który zaczął pisać dobre wiersze, a nazywał się Jan Rostworowski. Poza tym z nowych i starszych rzeczy zmontowano program wieczoru literackiego, z którym objeżdżano oddziały. Niewątpliwie poparcie władz, a tym samym znacznie mniej pionierskie warunki mieszkaniowe członków zespołu z centrali sprawiły, że program zaczął dziwnie kosztować, a początkowo niewątpliwie interesujące czasopismo „Odwet” również. Redakcja ogłosiła co prawda konkurs na wspomnienia z września 1939 r. z nagrodami i opublikowała jego plony, a nawet wydała tomik „odwetowej” poezji. Ten jednak był dziwną miszkulancją wierszy bardzo dobrych i zgoła straszliwych. Utwierdził natomiast opinię co do niewątpliwiej wartości Jana Rostworowskiego.

Kiedy się to wszystko działo przy brygadowym „wielkim ołtarzu”, w oddziałach działy się rzeczy co najmniej tak samo ciekawe, a może nawet donioślejsze ze względu na propagandę między Szkołami. Organizowane były bardzo udatne przedstawienia amatorskie o zupełnie nieraz dobrym poziomie wykonawczym. Okazało się, że są i doskonali dekoratorzy. Rywalizowały w tej zewnętrznej propagandzie polskich wartości kulturalnych głównie Oddział Rozpoznawczy Brygady i jej Batalion Trzeci.

Najciekawsze rzeczy działy się jednak w Batalionie Drugim, t.zw. „szkoekim” ze względu na noszenie na furaczkach wstążeczki o barwach królewskiego tartanu Stuartów. Jego dowódca, płk. Bronisław Chruściel, zgromadził pod egidą oficera oświatowego, Ludwika Bara, zwarty zespół ludzi zdolnych i z olejem w głowie i powstało gimnazjum, koła samokształceniowe o poziomie zdecydowanie poważnym, a niezależnie od tego „brains trust”, — trust mózgów, zapożyczony w formie od Anglików doskonały środek wymiany wartości kulturalnych między tymi, którzy coś wiedzą, a tymi, którzy wiedzą niewiele. Wszelakiego rodzaju wieczory, czy poranki artystyczne nie miały może wybitnych asów, ale odznaczały się rzetelną robotą i dobrym poziomem. Szczytowym osiągnięciem była sztuka teatralna, napisana i odegrana przez żołnierzy batalionu.

Nosiła ona tytuł „Droga, która trwa” i była ciekawie zainscenizowanym fakto-montażem, obrazującym wędrówki żołnierskie poprzez Węgry i Francję do Szkocji z uwzględnieniem, oczywiście, wiekopomnego Coetquidanu. Napisali sztukę Wsiewołod Poleski, Wacław Szomek i Marek Świącicki, muzykę skomponował Stanisław Gorzkowski,

inscenizacją i reżyserią zajmował się Szczepan Baczyński, jedyny w całym tym zespole aktor zawodowy. Był to chyba jedyny tak stu-procentowo żołnierski teatr w naszym wojsku na emigracji; sztukę napisali amatorzy, grali ją amatorzy, osiągnięcie zaś artystyczne było na poziomie przynoszącym zaręczony całemu towarzystwu, napewno zaś nie ustępowało temu, co widziałem dotychczas na polskiej scenie wojskowej.

Laurów teatrowi 2 Batalionu pozazdrościł wódz brygadowej kultury, mistrz Adam, i założył teatr rewiowy pod dyktando Tadeusza Olszy. Noworodek był rachityczny i po dwóch programach skończył na uwiad starczy, wywoławszy znacznie więcej wesołości u patrzących nań z boku, niż u widzów.

Grupa „Odwetowa” tym czasem zatęchła w błogim bezruchu i nie bardzo wiedziała, czego się trzymać, bo „Odwet” zamknęły władze wojskowe. Chodziło o zbyt uroczysty numer na 12 maja... Tym razem, zdaje się, ktoś jednak siedział... W każdym razie nowego czasopisma już nikt nie założył.

Takby się przedstawiały w ogólnych rysach dzieje ruchu kulturalnego w 1 Brygadzie Strzelców w Szkocji. Ponieważ w pierwszej połowie 1942 r. i Brygada zaczęła być rozwiązywana powoli na rzecz Dywizji Pancerniej, nosiciele kultury oglądali się za nowymi przydziałami aż do Bliskiego Wschodu włącznie.

Wspomnieć muszę natomiast o kilku innych rzeczach, które z Brygadą miały luźny związek, ale posiadały swoje znaczenie.

Chronologicznie na pierwszym miejscu trzeba powiedzieć o „Wesołej Lwowskiej Fali”. W roku 1940 i 1941 mogła swą ofiarną i wytężoną pracą służyć mogła za wzór dla objazdowych teatrów żołnierskich. Docierała wszędzie, grała bez względu na pogodę i lokal. Żądała tylko jakiejś estrady, stolika, dwóch krzeseł (rekwizyty) i fortepianu. Potem i jej trochę zapachu zabrakło.

Osobną kartę ma ruch kulturalny lotników. Wydawali i zresztą wydają do dziś przyjemnie redagowany dwutygodnik „Skrzydła”, który jest najstarszym pismem emigracyjnym i wojskowym na terenie W. Brytanii. Oprócz tego w r. 1942 powstał pod kierownictwem Leopolda Skwierczyńskiego teatr dramatyczny. Po roku, z chwilą odejścia swego twórcy, też zaczął on chodzić swoistymi, a dziwnymi drogami, ale tam właśnie pierwszy rok, z „Zemstą” i „Grubymi Rybami” w repertuarze, był dużym osiągnięciem.

O pracy Polskiej YMCA mówić chyba nie potrzeba. Zaznaczę tylko, że w owych czasach zajmowała się ona przede wszystkim pracą kulturalną, organizując coraz większą sieć świetlic. Doskonałe wydawnictwo YMCA, „Poradnik Świetlicowy” jest znany i na naszym terenie, więc nie potrzebuje go omawiać. Pierwszy wóz dźwiękowy, to też dzieło YMCA.

Na zakończenie kilka słów o sprawach muzycznych. Tutaj najważniejszą pozycją był „Chór Wojska Polskiego” założony i prowa-

dzony przez Jerzego Kołaczkowskiego. Poziom artystyczny tego zespołu zapewnił mu ogromną popularność wśród brytyjskich słuchaczy. Cieszył się nią i dobry pianista - szopenista, Marian Błaszczyński.

To wszystko, co tu opowiedziałem, zamyka się w ramach czasu 1940 - 1942 i nie wkracza prawie w rok 1943. Mowa tu była tylko o życiu kulturalnym wojska, które to życie mimo rozmaitych mankamentów, chodziło

własnymi dobrymi drogami i z cywilno-londyńskim, poza kupowaniem książek Kolina, miało niewiele wspólnego.

Nie wspominałem też o „Dzienniku Żołnierza”. Miałem z nim zbyt wiele kontaktów osobistych i fachowych, by mówić o nim źle, własnymi dobrymi drogami i z cywilno-londyńskim, poza kupowaniem książek Kolina, miało niewiele wspólnego.

Jan Łukasz Pagowski

Burmistrz szalony

Oto pode mną tętni potwór,
Podnoszę dłonie — wszystkie rynny,
Kominy, gonty, domy, płoty,
Stroją zgiełkliwe mandoliny.

Uwaga, basy — zaczynamy,
Huczącą falą, głuchym słowem,
Klawisze bruku, bębny-bramy,
Szyby harficzno-muślinowe,

Uwaga, akord! Więcej, głośniej,
Skrzypiące schody, drzwi zgrzytliwe —
Niech bije ton wezbrany w wiósnę,
W winnicę senną, w gaj oliwek.

Niech się rozwieją w ostry rapsod
Cymbałki okien zatrzaśniętych,
Fugi klasztoru, plac-parasol,
Dachy ubogich i nieświeżych.

Posągi niech kanciaste arie
Wzniosą jęklliwe i złowieszczo
I skrzypce wyłamanych barier
Niech rozkołyszają wizgiem przestrzeń!

Wieżo-batuto, wieżo krzywa,
Prowadź pijane kōndygnacje!
...Burmistrz szalony dogorywa
W nabrzmiałym winem magistracie.

Artur Międzyrzecki



Katedra w Pizie

„Umskaja kazionnaja gimnazija“

Do gimnazjum państwowego w Humanu zdawałem egzaminy wstępne w 1905 roku. Była to wielka tragedia dla mojej matki, która odwiedzając co parę lat krewnych w Starym Samborze w Galicji, przywoziła stamtąd nuty marsza Sokółów, opowiadania o ludziach chodzących w kontuszach przy karabelach, srebrne orzełki, książeczki z wierszami, w których stało czarno na białym „dalej, jedźna na Moskale!” i ciche marzenie, że ja pójdę do szkół w tej wspaniałej Galicji.

W kilkanaście lat później już po wojnie 14-go roku, już w niepodległej Polsce, widywałem po różnych Samborach i Buczacach tych grubych starszych panów w amarantowych koszulach i piaskowego koloru czamarach (wpięte pod szyją srebrne orzełki lśniły jak kropla rosy świeżością dziecięcego marzenia). Spoczone grubasy piły piwo, grały w kręgle, śpiewały „ospały i gnuśny, zgrzybiały ten świat” i organizowały amatorskie przedstawienia „Gwiazdy Syberii”. Nie! Nie było to ani tak dynamiczne jak w słowach pieśni sokolej, ani tak groźne jak w raportach rosyjskich żandarmów, ani tak wzniosłe, jak w wyobrażeniu tych wszystkich szczeniaków na stepach naddnieprzańskich, czarowanych wierszami o Moskalu i srebrnym orzełkiem.

Są to już jednak dalsze sprawy.

Narazie jako siedmioletni chłopak stanąłem przed nader przykrą koniecznością nauczenia się języka państwowego i zdawania do rosyjskiego gimnazjum. Marzenia matki o Galicji, późniejsze jej usiłowania, ażeby przynajmniej wysłać mnie do Warszawy do prywatnego gimnazjum polskiego, spełzły na niczym. Twarde konieczności życiowe, wszystkie koneksje, powiązania i stosunki, wskazywały na to, że moją karierę będę musiał robić tu, nad Dnieprem, na tej ziemi mlekiem i miodem płynącej, na której się urodziłem i która mnie bynajmniej za intruza nie uznawała.

Z pięknych marzeń pozostały więc tylko tomiki wierszy i srebrny orzełek, głęboko ukryte w szufladzie biurka matki, rzeczywistość zaś objawiła się pewnego szarego styczniowego dnia w postaci Iwana Iwanowicza, długowłosego i wągrowatego seminarzysty z Humania, który zobowiązał się do jesieni wprowadzić mnie we wszystkie tajniki „udarenij” i poprawnego wystawiania się w mowie wielkiego Imperium carów.

Bowiem Imperium rosyjskie, potężne i wielkie Imperium, nie znało jeszcze nowoczesnych niezawodnych metod wyna-

radawiania. Car i rząd, siedzący w Petersburgu, w tym „Oknie wyrąbanym przez wielkiego Piotra do Europy”, czuli się jeszcze z tą Europą związani, jej urokowi ulegali, jej podstawową zasadę — prawo — mniej lub więcej niechętnie, szanowali. Wprawdzie nazywało się to Imperium, Rosją — wprawdzie nie było tam jeszcze tych kilkunastu republik „dobrowolnie” i entuzjastycznie sfederowanych, ale Ukrainiec mógł mówić po ukraińsku, Gruzin po gruzińsku, a Polak po polsku, nie wstydząc się tego, ani nie bojąc. Był naród rosyjski i byli setki innych narodów „inorodców”, które Rosja chciała wchłoniąć, przerobić na swoje kopyto, uczynić z nich mierzwę pod bujny rozwój swego narodu. Nie było wtedy jeszcze „dialektyki marksistowskiej” i najzagrożalszym rusyfikatorem nawet się nie śniło, że można „wolne i niepodległe” republiki ukraińskie, białoruskie, gruzińskie i uzbeckie zamienić jednym „narodem sowieckim”. „Czudaki!” Oni koniecznie chcieli, ażeby naród nazywał się rosyjski!

W jesieni 1944 roku spotkałem we Florencji 20-letnią Ukrainkę, Lidię Didiuk. Dziewczynę z nad Dniepru wywiózł jakiś oficer bersaglierów. Potem porzucił ją we Florencji. Ona zaś robiła wszystkie wysiłki, jakie może robić bezbronny i obce stworzenie, ażeby — broń Boże! — nie wrócić do ojczyzny. Rozumiała, że to śmierć.

Rozmawiałem z nią parokrotnie. Nic rewelacyjnego mi nie powiedziała. O głosie na Ukrainie w 33 roku, o ludobójstwie, o tych beczkach solonego ludzkiego mięsa, o polowaniach na dzieci — wiedziałem już przedtem dużo. (Te historie opowiadał mi ktoś, kto w 1935 roku z Sowietów do Polski się przedostał, z moich stron, mój bliski sąsiad. Mówiliśmy o dawnych znajomych. „A wiesz, Białokura zjedli” — powiedział po prostu mój rozmówca — „widziałem jego zasoloną głowę; poznałem go po wąsach”).

Później, w czasie mojej wiligiatyry w Ałtajskich górach na Syberii w 1941 r. widziałem tę masę Ukraińców, których kilkanaście milionów wywieziono na „posiedlenie”. Przegadałem z nimi niejedną noc i naogół orientowałem się dość dobrze co i jak tam było.

Ale w rozmowie z Lidią Didiuk uderzyło mnie, że mówiła ona po ukraińsku (le i mówiła niechętnie. Zapytałem, dlaczego tak jest, „U nas ludzie wstydziła się mówić po ukraińsku” — odpowiedziała.

I to było dla mnie rewelacją. Bo że każdego, kto się upierał przy mowie ojczystej

zazwyczaj „demaskowano” jako „kułaka” lub kontrrewolucjonistę, wyrzucano z pracy i wysyłano na posiedzenie, to powiedziano mi już pod Ałtajem, ale że obywateli „wolnej i niepodległej” Ukrainy, której przedstawiciel zasiada na konferencji w San Frisco, doprowadzono do tego, że się wstydzą mówić po ukraińsku...?

O, jakąż potęgą jest „dialektyka marksistowska”! Jakimiż niewinnymi i naiwnym dziećmi były „stupajki” z carskiego Petersburga w porównaniu ze swymi kremłowskimi następcami!

A jednak i ci, carscy, robili wszystko, co mogli. Daleko było im wprowadzić do rozmachu współczesnych metod, zmiatających całe narody z powierzchni ziemi, jeszcze wpływy „zgnitego Zachodu” hamowały wrodzone instynkty sfer rządzących Imperium, byli tam jeszcze jacyś niezależni pisarze i uczeni, mający sumienie i wychowanie europejskie. Ale tendencje do rusyfikowania, do wynarodowiania, do wchłaniania przez panujący naród rosyjski wszystkich elementów zdolniejszych, wybijających się, istniały oczywiście w Rosji zawsze. W czasach carskich jednym z powszechnie stosowanych sposobów wynarodowiania była szkoła. Młody obywatel, a raczej poddany rosyjski („demokratyczną” nazwę „grażdianina” — obywatela otrzymał on dopiero za czasów sowieckich, kiedy pozbawiono go nawet tych nikłych resztek praw ludzkich, jakie zostawili mu carowie) mógł pobierać w szkole naukę tylko w języku państwowym i musiał w tym państwowym języku rosyjskim do szkół egzamina zdać.

Tysiące więc 8-9 letnich dzieciaków na olbrzymiej przestrzeni od Wisły do naftowych pól Kaukazu wylewało rok rocznie gorzkie łzy nad nienawistnymi kartkami różnych „Chrestomatij” i gramatyk rosyjskich.

Nie jedna też i moja łza rozmazała pracowicie kaligrafowane litery dziwacznej cyrylicy, nie jedna wsiąkła w wystrzępione kartki rosyjskiej czytanki, wyciśnięta nieprzewidywalną obcością akcentowania.

Od urodzenia niemal, od chwili kiedy zacząłem wchłaniać w dziecięcą świadomość otoczenie, świat narastał we mnie w dwóch językach; po polsku i po ukraińsku. Słowa polskie słyszane od ojca, od matki, od gołębiej łagodności i dobroci babki, spletały się i zrastały z ukraińskimi wyrazami, którymi przemawiały do mnie niańka, kucharka, chłopcy i dziewczęta wiejskie, których kilkoro stałe kręciło się po domu, wykonując różne czynności ówczesnego prymitywnego gospodarstwa.

Tylko słowa rosyjskiego do pojawienia się Iwana Iwanowicza nie słyszałem. Może się to wydawać dziwaczne i nieprawdopod-

ne, ale ten cały kraj nad Dnieprem, stepem złotej pszenicy do Czarnego Morza schodzący, od półtora niemal wieku w granice Rosji włączony, zachował strukturę, układ, tradycje i obyczaj takie, jakie tu Rzeczpospolita Polska przez wieki wytworzyła. Ziemia oficjalnie „Małorosja” zwana była wprawdzie pokryta nikłą siecią rosyjskich urzędów i garnizonów wojskowych, stacjonowanych po gubernialnych miastach i powiatowych miasteczkach, ale przez rzadkie oka tej sieci przepływało życie samodzielne, odrębne, inne, nie wspólne z Rosją i rosyjskością nie mające.

Więc chociaż to brzmi zgola nieprawdopodobnie, urodzony w Rosji po raz pierwszy zetknąłem się z nią dopiero idąc do szkoły.

Moje przygotowania — „uprażnienija” — do posługiwania się mową szkolną trwały niespełna rok i nigdy nie doprowadziły do doskonałości. Z tego okresu dziś już nie pamiętam żadnych szczegółów: pozostał tylko ogólny ton tępej udręki, coś niby uporczywe, mdłe świdrowanie w zębie.

I jeszcze coś: uszczypliwe przymówki babki i matki. Te zacne kobiety, które każde słowo mego Iwana zwrócone do nich poczytywały sobie za osobistą obrazę, uważały mnie za jedynego winowajcę, że „do porządnego polskiego domu” trzeba było wpuścić „tego Moskala”. Cierpiełem więc podwójnie, a do tego zupełnie samotnie, bo i mój młodszy brat, — ba! nawet Iwaśko odkomenderowany do obsługi Iwana Iwanowicza, mieli do mnie również żal, kiedy kosmaty pedagog w przystępie dobrego humoru zagadywał i do nich: „Kak pożywajecie?”

Ołowiane chmury, wiszące nisko nad stepem krótkich, zimowych dni, przesłoniły mi wspomnienia tych czasów. Postać Iwana Iwanowicza majaczy w pamięci w szarym pustkowiu styczniowego popołudnia, w półmroku cichej beznadziei spadających bezszelestnie płatków śniegu.

Jak później przeszła wiosna i lato, jak tam musiałem wykręcać się od tego „przymusu szkolnego”, ażeby biec do ogrodu, na pola, na łąki nad rzeką, do lasu, — wszędzie tam, gdzie się stawało wielkie i wspaniałe życie, z tego już nic nie pamiętam. Ale do dziś noszę jeszcze w sercu zdumiony zachwyt samotnego chłopca, pochylonego nad bladym kłębkim przylaszczek, przebijających się ku ciepłym promieniom marcowego słońca przez brunatną skorupę zeschniętego listowia, do dziś mam w pamięci siwe woły spokojnie ciągnące lśniącego lemieszka pługów, do dziś czuję zapach czarnych wilgotnych skib i widzę granatowe kruki, rozważnie i dostojnie kroczące za bosymi stopami oraczy.

Co tu tać! — do dziś chowam na dnie serca jedno nieziszczone marzenie — znaleźć gniazdo zimorodka, który jak kolorowa iskra przelatuje nad lustrzaną taflą głębokiej wody i niepojętą tajemnicą znikła w splątanym gąszczu nadbrzeżnych jeżyn.

Wszystko to zatoneło, zapadło się gdzieś w lata niepamięci i tylko jako nikły drogowskaz kierujący myśl w te dawne czasy wypływa wspomnienie upalnego sierpniowego dnia, dnia wyjazdu do Humania.

Do Humania mieliśmy około stu kilometrów (sto wiorst — jak mówiło się wtedy). Można było tę drogę odbyć bezpośrednio końmi, można było dojechać 40 kilometrów do stacji kolejowej i dalej pociągami. Jednakże ten nowoczesny środek lokomocji poza licznymi niedogodnościami miał i tę złą stronę, że znacznie przedłużał czas podróży: jeździło się więc przeważnie końmi.

Wczesnym rankiem wyruszał obładowany jak arka Noego stary powóz. Jeszcze włożyły się lekkie, niebieskawe mgiełki nad mokradłami nad rzeką, jeszcze migwały w powietrzu szybkimi jak myśl skrętami bekasy i krzyki nad łąkami. Zaledwie wiejski pastuch wyganiał srokatę bydło na pastwisko. Zaledwie gdzieś niedaleko kurzyły się siwym dymem kominy wsiowych chałup i baby w kolorowo wyszywanych koszulach kręciły się między opłotkami. W rzekim powietrzu poranka, po trakcie pustym jeszcze i nie spowitym wienne tumany kurzu, mknęła szparko czwórka.

Droga, nie żadna tam szosa, która tylko podbija nienawykłe kopyta końskie, ale dobry trakt, czarnoziem zaschły w letnich upałach i czarnomorskich wiatrach na szary rzemień, biegła równym kłusem przez szerokie, żyzne pola, przez płaskie dno olbrzymiej miski Bożej, pełnej wszelkiego dobra i dosytu.

Wielki i piękny ten kraj rozwijał się powoli przed oczyma podróżnego, jak niekończący się barwny szal w ręku wędrownego kupca ze Wschodu.

Od drogi w bok szły aż po daleki horyzont, pod wysoką, błękitną kopułę nieba, złoto-brązowe ścierniska pszeniczne, ciemno-zielone prostokąty mięsistolistych buraków. Gdzieś niedaleko stały jeszcze niezżęte owsy i prosa. Lekkomysłne wołania przepiórek: „pójdźcie żać!” dźwięczały jak szklane dzwoneczki w nieruchomym powietrzu.

Mijało się spalone słońcem „basztany”, na których, ucepione do długich zaschłych badyli leżały zielone kule kawonów (tak nazywanych z tatarska) i złociste banie melonów (to dla odmiany z włoska!). Mijało się dębinki i dąbrowy — gęste lasy potężnie rozrosłych na tłustym czarnoziemie rososchatych dębów.

Przejeżdżało się przez liczne, bogate i ludne wsie. Taka więc rozrzucona po parowach i jarach wyrznięta w ziemi odwieczną pracą rzek, ciągnęła się nieraz kilometrami i miewała po kilka tysięcy mieszkańców. Z daleka wyglądała ona jak plama szarozielona od sadów owocowych, pełnych jesienną porą rumianych jabłek, podługich dzbanuszków grusz i fioleto- wych, słodkich „węgielek”. Wzdłuż drogi, za niskimi płotkami plecionymi z chrustu, stały rzędy chat. Słapiącą w słońcu biel ścian nasycali jeszcze większą jasnością kolorowe kity malw. Złote koło słonecznika obracało się ciężale nad płotem. Przed progiem niedomkniętych drzwi drzemał jakiś wiecznie sen-ny kundel i samotny kogut, przekrzywając koralowy grzebień, spoglądał beznamiętnym wzrokiem na przejeżdżających.

W tych wsiach można się było zatrzymać przed lepszą chatą, wyprostować zmęczone od długiego siedzenia nogi, wypić w zielonym cieniu sadu dzban zimnego mleka, przyniesionego z głębi wykopanego w ziemi „lochu”, posłuchać statecznej i pełnej wzajemnej grzeczności rozmowy o wiecznie żywych i interesujących sprawach gospodarstwa, przypatrzeć się nieodmiennie- mu ceremoniałowi z jakim srebrny pieniążek z woreczka matki przechodził — po długich wymawianiach się i wzdrygniach — do ciemnego schowka za piecem.

A potem rososchaty Semen, dwumetrowy dragon któregoś tam pułku carskiej gwardii, zbierał lejce i cmokał: „wio, maluskie”... i znów równym kłusem przesuwiał się ciepły jesienny dzień przed ciekawymi oczyma dziecka...

W Humaniu od rana rozpoczęły się kłopoty i „sprawy”. Zaraz na drugi dzień był egzamin. W dużej widnej klasie gimnazjalnej kilkudziesięciu wystraszonych malców w „cywilnych” ubrankach, przeżywało duszne katusze swego sąd-ego dnia. Nie pamiętam z tego dziś nic doszczętnie, prócz jednego epizodu, który wrył mi się w pamięć wyraźnie i plastycznie.

Chodziło — oczywiście! — o rosyjski. Dali mi do przeczytania bajkę Kryłowa „Wół i żaba”. Potem, gdy już wydukałem swoje, kazano opowiedzieć treść. Kiedy tak, lepiąc rozważnie zdania, doszedłem do tego, jak żaba zaczęła się nadymać — egzaminator mi przerwał: „wot eto nie wierno!” — powiedział — „eto nie była żaba!” — Próbowałem nieśmiało oponować, że jednak w bajce była mowa o żabie... „Niet, gałubczik” — rzekł pedagog, który zapewne nie mnie pierwszego zagaił tą żabą — „eto była lżaguszka! A czy wiesz ty młody przyjacielu” — ciągnął dalej — „jaka jest różnica między lżaguszką a żabą?” — Niestety! Dopiero w ciągu mego dziesięcioletniego pobytu w murach uczelni humańskiej zdołało utwierdzić się w mojej świadomości,

że „żaba” po rosyjsku znaczy — ropucha, a to, co my nazywamy żabą, — to właśnie jest owa ljąguszka. Ale w ten dzień, w dzień próby, nie wiedziałem tego...

— „Nu, uwidim, uwidim” — mruknął pedagog — i wyszedłem z klasy pełen niepokoju...

Jednak wszystko skończyło się dobrze. Zaniepokojona matka jeszcze tego dnia wieczorem złożyła wizytę memu egzaminatorowi. Usłyszała od niego kilka cierpkich uwag o fatalnych skutkach tego, że dzieci nie mówią w domu po rosyjsku. Wobec czego wystąpiła z uzasadnioną prośbą, ażeby pan profesor zechciał osobiście dać mi parę lekcji „doskonalących”. Propozycja wraz z honorarium płatnym z góry została łaskawie przyjęta. Teraz z kolei ja poszedłem parę razy do domu mego przyszłego „wospitatela”. Dostawałem od niego, lub od jego żony ilustro-

wany tom bajek Kryłowa, gapilem się przez pół godziny przez okno, poczym wypuszczano mnie na wolność, zaopatrując niekiedy na drogę jakąś sentencją pedagogiczną z typu: „uczenie — świet, nieuczenie — tśma”...

A gdzieś po tygodniu wywieszono w gimnazjum listę przyjętych, na której było i moje nazwisko. „Zaionczkowski — wyderżał egzamin”. „Wytrzymał” — jak to się mówiło w naszym szkolnym żargonie.

I mimo to, że się komuś może ten wyraz wydać chłodnym rusycyzmem, ja zawsze będę uważał go za najtrafniejsze określenie pokonywania egzaminów w ówczesnej szkole: wiele, zaiste, trzeba było „wytrzymać”, zanim się dobrnęło do upragnionej go końca — do matury!

Tadeusz Zajaczkowski

SYLWETKI ŻOŁNIERZY KRESOWEJ

Wojna mu kochanką była

Otworzył ostrożnie drzwi, wszedł po cichu do pokoju i stanął tak skromnie, jak skromny był jego wygląd. Tak skromny był sam. Czarny beret i patki na kołnierzu okleślały jego oddział macierzysty

— Czy mogę kupić książkę — zapytał śpiwnym, kresowym akcentem.

— Owszem. Proszę pana, proszę przejrzeć. Wszystkie te leżące na stole książki są do nabycia.

Ogląda ostrożnie każdą książkę i z jakimś dziwnym skupieniem bierze do ręki. Szczególnie uważnie ogląda zbiory poezji.

— Trzeba poznać młodych naszych poetów. Starych w szkole trochę poznałem, ale tych nowych nie znam. Zobaczymy, co oni piszą i jak piszą. — Mówi prawie do siebie.

Zostawiłem go przy książkach i tylko od czasu do czasu spoglądałem nań z ukradką. Po chwili ze zdziwieniem zauważyłem, że mój dziwny gość odłożył serię książek. Ze wszystkich wybrał po jednej. Nawijając z nim rozmowę. Chętnie mi opowiada o sobie.

Wrzesień. Przez gęste zarośla młodego zagajnika przedziera się nieliczny oddział kawaleryjski, prowadzony przez młodego porucznika. Ostatni na zbiedzzonej szkapie

podąża za oddziałem ułan Michał Turonek

Dwa tygodnie ciężkiej walki, dwa tygodnie nieprzespanych nocy, niezliczona ilość stoczonych z nieprzyjacielem potyczek. Zmęczeni ludzie, zmęczone konie, a jednych i drugich trawi ponadto gorączka.

Grodno, rodzinne miasto, przewija mu się przed oczami. Widzi starszusków rodziców, widzi zboląłą matkę i uwijającą się po domu małą siostrzyczkę. Nabrzmiate powieki bezwładnie zakrywają oczy, a on ciągle widzi siostrę.

Co to? Koń nie bierze nowu, ale słamarnie przezeń przełazi. O więc i na konia już liczyć nie można! Przez taki sobie zwykły rów przeskoczyć już nie może, ale stękając i sapiąc brnie w błoto.

Matka, biedna matka staje przed oczami.

Matka? Nie, to cała Polska stoi przed oczami. Zwały dymów i zgliszczu wiją się paciorkami. Zgorzele i spaleniska wypełniają jedyny na przestrzeni dwóch tygodni widok, który mrozi krew w żyłach, który przesłania zdolność myślenia.

Dokąd idziemy?... Do Warszawy, by tam podjąć jeszcze bój, by tam złożyć manifest walki, manifest trwania do ostatka.

Nie prędko i nie łatwo dotarli do celu. Osaczeni ze wszystkich stron zagonami nieprzyjacielskich kolumn, ścigani bez przerwy jak przez sforę psów gończych, wyczynami dywersji, uparcie dążą tam, gdzie jes-

cze przez chwilę może świecić polskie słońce. Jeszcze szereg dni i szereg nocy poprzez gąszcza i zarośla, poprzez moczary i rozległe niwy dążyli niezlomni rycerze, by nieść pomoc stolicy.

Warszawa! Nieskruszona twierdza ducha polskiego! Nieugięta twierdza trwałego pogotowia! Praga... Targówek... i oto nowe szanse, na których stoi żołnierz polski, stoi i zbolalymi rękami walczy do ostatka, do ostatniego tchu.

Michał Turonek wyczerpany siłą męki i utrapień aż do ostatecznych granic staje za szansem, Karabin drżącą ręką przyciska do piersi. Sypią się gruzы domów i dachów, wałą się nawały ognia artyleryjskiego, żłobią szczyrbiny w murach, zalewają drogi, przejścia i przesieki. Wałą się domy, wałą się mury, wałą się opłotki, stanowiące jedyną osłonę przed ogniem nieprzyjaciela.

Michał Turonek przesuwając się kolejno to na cmentarz na Bródnie, to na ulicę Targową. Wszędzie walczy. Walczy z najgłębszym przekonaniem, że tylko tak walczyć trzeba, że tylko tak walczyć należy!

Mijają dni, mijają noce, a żołnierz polski krwawi i nie wypuszcza broni z ręki.

Ale oto wałą się ostatnie szanse obrony, wałą się i kruszeją te resztki sił zbrojnych, które przewagi siły i ognia, przewagi żelaza przenieść nie są w stanie.

Nadszedł dzień ostatni. Grodnianin, co walczył z takim samozaparciem, co walczył o każdą miedzę rozległych pól polskich, o każdy dom rozległej stolicy, stanął oto wobec rzeczywistości, że już dalej i dłużej walczyć nie może.

* * *

Wlecz się powoli pociąg. Zamknięte wagony, przepełnione żołnierzami polskimi. To jeńcy! To resztki obrońców Warszawy, dla których jedynym wspomnieniem są dymy i pożary tego, czego tak zaciekle bronili.

Kilka dni niewysłowionej męki w wagonach niemieckich. Kilka dni pragnienia i głodu. Wyładowanie w Królewcu, w stolicy Prus Wschodnich. Szeregowanie, segregowanie — i oto Michał Turonek wyjeżdża z grupą innych kolegów, bojowników z Warszawy, do gospodarstw rolnych na roboty.

I znowu mijają długie dni i długie noce w ciężkiej pracy, w poniewierce, w upokorzeniu. Michał Turonek nie może pogodzić się z myślą, że to już właściwie wszystko się skończyło. Czy to możliwe? Trapiła go jak zhora spóźniona refleksja. Przecież on tak szczerze i tak rzetelnie walczył!

Ma się pogodzić z tym stanem rzeczy? Ma w tym upokorzeniu pozostawać? Nie!

Późnym wieczorem, kiedy wszystko wokół zaległo w nocnym apocynku, Turonek to biegnąc, to zwalniając kroku zdążył w kierunku południowym wąską leśną drożyną. Poznał on już te tereny w ciągu kilku miesięcy pracy w fermie niemieckiej. Mija znane mu ścieżki, mija znane mu słupy i drzewa.

* * *

Wiosna uzieniła radośnie drzewa i krzewy, ziemia pokryła się jakby z uporem z niej wychodzącymi subtelными zdziebełkami traw i wszelakiej roślinności. Jenow Michała Turonka zalega smutek i niepokój. Męczy go głód. Osiem dni jak dziki zwierz przekrada się nocami poprzez lasy i pola, ostrożnie omijając osiedla i wioski, wszelkie budynki, w obawie zetknięcia się z kimkolwiek. Wie dobrze, że nawet dziecko niemieckie jest dla niego niebezpieczne, bo łatwo może go wskazać lub zawiadomić żandarmów o pojawieniu się jakiegoś podejrzanego człowieka.

Żeby tylko przedostać się na teren Polski, do jakiejś polskiej wioski! Tam już nie zginie, tam nakarmią go i przygarną. Ale jak się zorientować, gdzie jest? Przekrada się tylko nocami. W dzień zaszywa się głęboko w jakieś zarośla, czy w lesie unikając zetknięcia z ludźmi.

Gdy ósmego dnia rano dojrzał resztkami sił do skraju młodego zagajnika, w którym rzadka tylko sterczały wyniosłe stare drzewa, posłyszał dochodzącą gdzieś z boku rozmowę. Na razie nie mógł zupełnie rozróżnić, w jakim języku rozmowa jest prowadzona. Zaszył się więc głęboko pod rozłożysty krzak, podwinął nogi pod siebie i wyczekiwał ze strachem. Głosy coraz bardziej się przybliżają. Nasłuchuje pilnie.

— Ja ci mówię, że to są dranie i to dranie największe! —

A więc polska mowa, a więc pewnie już jest poza granicą niemiecką. Pilniej się

przysłuchuje. Głosy coraz wyraźniej brzmią, coraz bardziej się przybliżają. I kiedy posłyszał kroki naprzeciw swego legowiska, zawołał ostrożnie: — Panowie! Rodacy!

Dwaj ludzie zatrzymali się. Michał Turonek z trudem i nie bez łęku wylał spod krzaku. Nastąpiła dość długa i wyczerpująca rozmowa. Wygląd zewnętrzny Turonka, jego zbiedzona twarz, zniszczone ubranie z wyraźnymi plamami po odprutej w drodze literze P — nie budziły wątpliwości, iż wszystko, co ten człowiek mówi, jest prawdą oczywistą.

Jeden ze spotkanych dwu nieznanym mu ludzi zajął się nim, jak bratem rodzonym. Doprowadził do domu, nakarmił i ułożył spać. Okazało się, iż spotkany dobroczyńca był właścicielem niewielkiego gospodarstwa rolnego, jakiegoś tam kolonii niedaleko Pułtuska. A więc teren już rdzenie polski, chociaż świeżo wcielony do Rzeszy.

Po kilkudniowym pobycie w tym gospodarstwie, po gruntownej zmianie okrycia aż do bielizny włącznie, dalsza podróż do Warszawy nie była już taka trudna. Po prostu podwożono go, albo przeprowadzano od wsi do wsi. Tak zdążał uparcie do Warszawy. Dlaczego do Warszawy?... Na to Turonek nie umiał sobie odpowiedzieć ani wtedy, ani dziś jeszcze. W każdym razie on musiał uciekać z niewoli niemieckiej do domu, do Grodna, koniecznie przez Warszawę. Jakoż po szeregu dniach, z przzerwami, z zatrzymywaniem się w wioskach niekiedy po kilka dni ze względu na bezpieczeństwo dobrnął ostatecznie do stolicy.

Jakaż zmiana, jakaż straszna zmiana! Wszystko się tu zmieniło. I ludzie też nie byli ci sami. Kiedy był tu jako żołnierz walczący w obronie stolicy, każde dziecko z radością służyło mu i podaniem wody, i chleba, i papierosa. Teraz na niego już nikt nie zwracał uwagi. Bo i munduru żołnierskiego nie miał na sobie, bo i on się zmienił.

I tu znalazł się człowiek, co go przegarnął i chlebem nakarmił, chociaż sam niewiele go miał, i noclegu użyczył i wreszcie poprzez swoich przyjaciół i usługnych jak zawsze chłopaków poza miasto na Brześć go skierował, bo tak obmyślili drogę do Grodna, jako w ich pojęciu najbardziej bezpieczną i najłatwiejszą.

Nie łatwo Turonek dobrnął do świeżo utworzonej granicy, która na żywym ciele Polski zakreślona broczyła krwią, jak rana brutalnym cięciem noża zadana.

Z Brześcia musiał się cofnąć na Małkinię, gdzie przejście miało być łatwiejsze. Wiele trudności, wiele przeszkód — niekiedy grożących jego życiu — musiał przezwyciężyć. Znowu tułał się jak bezpański, wyrzucony pies, choć na ojczystej ziemi. Wiedział, że jest wśród swoich, a jednak do każdego człowieka podchodził jak do obcego. Bo na twarzy każdego spotkanego malowało się jakieś przerażenie, jakiś dziwny lęk. Podchodził więc Turonek z obawą do każdego i każdy, kogo spotkał, z taką samą obawą i strachem udzielał mu rad jak ma iść, gdzie i czego należy unikać.

Aż wreszcie po długich i wyczerpujących dniach wędrówki dotarł do Bugu. Przepłynął wpiaw rzekę. Nakoniec znalazł się po drugiej stronie kordonu w obliczu nie mniej groźnego i niebezpiecznego nieprzyjaciela. Zobaczył ze zdziwieniem, że tu właśnie, na tej drugiej stronie pulsującego ongi żywym sercem życia polskiego ludzie chodzą bardziej zastrachani, aniżeli po tamtej.

Skrada się więc Turonek bardziej niż przedtem, unika osiedli i ludzi zbiedzony, zgłodzony i zniszczony do najwyższego stopnia.

Nie wie, jaki jest dzień i jaka jest data. Już tak długo wędruje, że zatracił poczucie czasu. Mija wszakże skrzętnie wsie i miasteczka i orientuje się, iż cel jego podróży jest niedaleki. Zbliża się do Niemna. Idzie traktem prowadzącym z Grodna poprzez długi most drewniany, za którym już leży miasto. Ludzie grupkami idą w jedną i drugą stronę. Dołącza więc do pierwszej najbliższej grupy, i tak rozmawiając oględnie o codziennych kłopotach, z zachowaniem największej ostrożności, wchodzi na most. U wejścia stoi „bojec” bolszewicki. Po raz pierwszy w życiu widzi tak blisko bolszewika. Stoi sobie mizerota i patrzy bezmyślnie gdzieś daleko, jakby w zaświaty. Mijają go i bardziej skupieni przechodzą most. Na drugim końcu, u wylotu mostu stoi drugi „bojec”. I o dziwo! Podchodzi wprost do Turonka, zapytuje o „propusk”. Nikogo nie za-

czepił, nikogo o to nie zapytał, ale jego, właśnie jego zatrzymał.

Tłumaczy się chłopak jak może, że wraca z sąsiedniej wsi, że stale mieszka w



(Rys. A. Werner)

„Propusk!”

Grodnie, podaje adres, błaga, prosi. Nic nie pomaga. W tej chwili przychodzi zmiana warty. Turonka uprowadzają ze sobą.

* * *

W ciasnej szopie o podmokłym klepisku stłoczono kilkudziesięciu ludzi. Gajowi, dozorczy z pobliskich folwarków, a nawet zwykli pracownicy dworscy, nauczyciele szkół powszechnych, kilku leśniczych i jeden lekarz. Oto całe towarzystwo, w jakim się znalazł Turonek. Nie wie, ile dni już tu siedzi. W każdą porę dnia i nocy kogoś stąd wyprowadzają na badania, by po jakimś czasie z powrotem nawpół przytomnego przyprowadzić.

Pierwsze badanie Turonka zaczęło się od niewinnych zdawałoby się przytyczków w nos, by po przez kopanie w kostki nóg dojść do bicia w pięty i podeszwy.

Musiał się przyznać, że zbiegł z niewoli niemieckiej. To dało pretekst do ponowienia wszystkich wypróbowanych tortur dla wymuszenia na nim przyznania się, jakie

zlecenia otrzymał od niemieckiego wywiadu. Wreszcie bez podstaw oskarżono go o szpiegostwo i przestępstwo jego zakwalifikowano wedle właściwych przepisów kodeksu sowieckiego. Od tego czasu zaprzestano już badań Turonka. Ofiarami tortur byli inni współuczestnicy niedoli, którzy cierpieli tak, jak i on tylko dlatego, że przyznawali się do polskości i że w życiu dotychczasowym zajmowali się takim albo innym zajęciem. W przerwach między badaniami Turonek poprzez szczeliny w ścianach szopy, okrążonej kilku „bojcami” i dwoma psami wypatrywał pilnie, czy też nie ujrzy kogoś ze swych bliskich albo znajomych. Widział, jak blisko jest jego dom, gdzie niewątpliwie matka, ojciec i siostra modlą się za niego i proszą o zlitowanie boskie, nie wiedząc o tym, że tak blisko nich się znajduje.

Po szeregu dniach tortur i znęcania się nad ofiarami w nocy stłoczono wszystkich nieszczęśliwców z szopy do piętnastotonowego wagonu towarowego, który starannie zamknięto.

Nie widział Turonek rodziny, nie widział domu.

Smętnie i ociężale turkocą koła wagonu po torach kolejowych w powolnej podróży w dalekie nieznane. Pragnienie i głód przypominały Turonkowi taką samą podróż, kiedy jako jeniec jechał do Prus. Ta tym się różniła tylko, że w krótkich odstępach czasu w nocy jeden z „bojców” przechodził koło wagonu i walił nierlitościwie drewnianym młotem po ścianach wagonu, badając w ten sposób, czy która z nich nie została naruszona i czy kto przypadkiem nie uciekł.

Praktyki te powtarzały się po kilka razy każdej nocy aż do przybycia na miejsce. Ile dni jechali — któż to może zliczyć?! Jedno tylko Turonek zauważył, że im dłużej, tym noce są jaśniejsze, aż wreszcie stały się całkiem jasne, jak o wszesnym zmierzchu wieczór u nas.

Wyładowano ich na jakiejś bezludnej stacyjce. Jeszcze trzy dni i trzy noce pieszo wędrowali do miejsca przeznaczenia. Po przybyciu na miejsce dowiedział się od innych skazańców tam już przebywających, że jest w Komi S.S.R.

Niewielki teren ogrodzony trzema rzędami drutów kolczastych, wśród których

znajdowało się kilka dużych, bo na dwustu ludzi obliczonych namiotów płóciennych. To miało być ich domem, wioską, rodziną, wszystkim...

Ponure dni i ponure noce. Wyczerpująca praca. Nieludzkie obchodzenie się „boj-ców” bolszewickich z nieszczęśliwcami, głód, komary i wszystko to, co życie człowieka może sprowadzić do jednej wielkiej rozpacz, wywołały w duszy Turonka bunt niepohamowany.

Znowu zaczął się zastanawiać, czy to wszystko ma już tak pozostać? Gdzież jest sprawiedliwość boska, gdzie jest sprawiedliwość?

Te resztki tlejącego jeszcze w nim życia powoli skierowywały myśli jego w kierunku buntu wewnętrznego. Zaczął obmyślać plan ucieczki. Nikomu nic nie mówił, z nikim nie dzielił się myślą, bo wiedział, że głód i tortury, ciągłe upokarzanie i gnębienie prędko ludzi łamie i że nie wolno nikomu ufać.

Tu dowiedział się, że jest skazany na dziesięć lat za szpiegostwo. A to równa się skazaniu na śmierć. Nikt w tych warunkach nie przeżyje i połowy tego.

Dwa miesiące obmyślał plan, by wreszcie przystąpić do jego wykonania. Pod pozorem udania się na stronę w czasie prac przy karczowaniu pniaków zmyła czujność „bojca”. Skrada się, przemyka, by po chwili skoczyć w las i co tchu biec bez upamiętania. Jak długo tak biegł, nie wie. Zmęczył się w końcu. Strzał! Poderwał się — znów biegnie. Przystanął. Goni pies. Skacze łapami na piersi, by zębami wgryźć się w ciało. Silne pchnięcie nożem w gardło. Pies charcząc i brocząc krwią powalił się na ziemię nieżywy. Strzepnął jeno nogami. „Bojce” nie mógł biec, bo był jeden przy pracujących. Od obozu zesańców było zbyt daleko, by strzał alarmowy mógł wywołać pościg.

* * *

I zaczęła się nowa, straszliwie uciążliwa wędrówka Turonka. Przeważnie piechotą, o żlebraczym chlebie tygodniami całymi błąkał się od wsi do wsi, od stacji do stacji, unikając policji, by wreszcie jesienią już porą znaleźć się w okolicach Grodna. Podchodzi skradając się do znanej sprzed wojny gajówki. Stąd już tylko siedem kilometrów do Grodna. Jest zmęczony. Nie dojdzie

w żaden sposób do domu. Musi się zatrzymać. Podchodzi ostrożnie do gajówki. Widzi na tle budynku postać człowieka. Ostrożnie, ściszonego głosem mówi — dobry wieczór! — Poznaje głos znajomego gajowego. Witają się. Rozmowa szczerą, serdeczną. Mówi wszystko. Zdaje mu się, że jest już w domu. Przecież to tylko siedem kilometrów! Gajowy go zna i jego rodziców też zna. Chętnie go przenocuje.

Wypili herbatę. Turonek zjadł, co mu podano. Ułożyli się spać. Nie upłynęło od tego momentu i piętnastu minut, jak ktoś gwałtownie zapukał do drzwi.

Czterech „boj-ców” wkracza do izby z karabinami, a z głosów na podwórzu wiadać, że jest ich więcej. Sprawdzają dokumenty. Turonek oczywiście ich nie ma. Nie pomaga tłumaczenie się, prośby, wstawienie do gospodarzy.



(Rys. A. Werner)

W przygranicznym areście

Znalazł się znowu w tej samej szopie, skąd przed paru miesiącami został z grupą innych nieszczęśliwców wywieziony. Tym razem w tej szopie towarzystwo było bardziej urozmaicone. Były i kobiety. Byli Żydzi, drobni handlarze, drobni rzemieślnicy różnych narodowości. Byli znowu nauczyciele szkół powszechnych, których przedtem nie zdołano wywieźć.

I znowu rozpoczęły się badania. I znowu rozpoczęło się bicie i katowanie Turonka. Tym razem tym bolesniejsze, że organizm jego był aż nazbyt wyczerpany. To też i teraz powiedział prawdę jak i poprzednio. Zapadł nowy wyrok. Domu ani rodziców nie widział. Przyglądał się tylko przez szpary ścian jak i przedtem, czy znajomego nie zobaczy. Pewnego razu wydało mu się, że jakby kogoś znajomego widzi, ale ani krzyczeć, ani też podejść z zewnątrz do szopy nikt nie mógł.

* * *

Skrzyp wagonów i gwizd i zimno towarzyszy uciążliwej podróży Turonka. Turonek wie, że tym razem czeka go gorsza przyszłość, niż przedtem. Mijają długie tygodnie. Jedzie gdzieś poprzez stepy, góry, rozległe pola i lasy. Z głównych stacyj spostrzega, że cel jego podróży jest gdzieś daleko, daleko na wschodzie. Znowu ten sam tłok w wagonie. Znowu budzenie po kilka razy w nocy. Znowu nieludzkie wołanie o wodę.

Wreszcie wieczorem wysadzono ich z pociągu na jakiejś stacji. Stąd statkiem powieziono ich gdzieś, nie wiadomo gdzie. Wieczorem tylko po gwiazdach Turonek zorientował się, że jadą wyraźnie na północ. Zimno. Mroźne wiatry, zwiastujące rychłe nadejście zimy, strasznej, syberyjskiej zimy.

Długie miesiące zimowe. Mroz straszliwy. Z opowiadań innych towarzyszy niedoli dowiaduje się, że są nad Jenisejem. Daleki, daleki wschód. Stąd już nie będzie można zbiec. A jednak!...

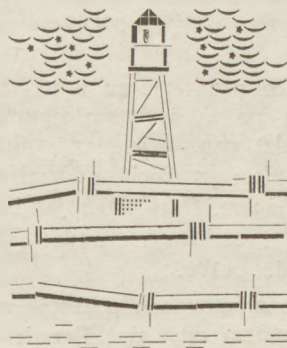
Kilka miesięcy uciążliwej pracy. Na mrozie, w szmacianych butach, w fufajkach stanowiących uniwersalny strój na wszystkie okoliczności rosyjskiej pogody i warunków.

Przyszła wiosna, a za nią lato. Szereg towarzyszy, z którymi tu przybył, już zmarło. Śmierć, na którą wszyscy byli skazani, nielitościwie a skrzytnie zbierała swoje ofiary.

W obozie był jedyny głośnik radiowy przy budynku „uprawlenija łagieria” z którego można było od czasu do czasu dowiedzieć się o wyczynach — o sukcesach różnych stachanowców, o osiągnięciach takich czy innych sowchozów i tp. Jakoż gdzieś w połowie lata Turonek na własne

uszy usłyszał przez to samo radio o parckie polsko-sowieckim, o amnestii dla skazanych obywateli polskich. Wiadomością tą pokrzepił innych, żyjących jeszcze kolegów.

Amnestia jednak nie przychodziła. Po dawnemu chodzili wszyscy na ciężkie prace leśne. Po dawnemu „bojcy” znęcali się nad ludźmi. A na zapytanie pewnego dnia komendanta obozu co do owej amnestii usłyszał odpowiedź — „dla takich swolocznie, kak wy, jamnietii niet”.



Wyk. Jan Grochowski

Zakołowało się w sercu Turonka, a zarazem poczęła się myśl, która go już ani na chwilę nie opuści. I znowu nie zważając się nikomu postanawia zbiec z obozu.

Dalekie i niezgłębione są tereny syberyjskie, nieprzeniknione tajgi, w mrokach których kryją się dziesiątki milionów istnień ludzkich, skazanych na powolne skonanie. Pochłonie je ziemia, pochłona śniegi i lody, pochłona w odwieczną ciemność spowite tajgi. Ślad po nich zaginie.

Z tego to piekła ucieka Turonek przekonany tym razem, że zanim zdoła dobrać do jakiegokolwiek osiedla ludzkiego, śmierć niemiłosiernie może po drodze wyjść mu na spotkanie.

Po trzech dniach podróży spotyka drugiego towarzysza niedoli, Rosjanina, skazanego na dwadzieścia pięć lat najcięższych robót.

Ten bywalec, który już po raz czwarty ucieka z obozu, oddał Turonkowi nieocenione usługi. Bez pomocy jego nie wyszedłby z tych otchłani syberyjskich.

Sześć tygodni wędrowali zarabiając na przystaniach i stacjach kolejowych wyladowywaniem i załadowywaniem ciężarów by, jak złodzieje, cichaczem ułapić się w wagonu i przejechać ile się da kilometrów. Po pełnych przygód i utrapień długich dniach i nocach, w straszliwą zimę, dotarli do Orenburga. Tu przygodni przyjaciele musieli się rozstać, jako że dalsza podróż we dwójkę stawała się coraz bardziej niebezpieczna.

Dwa tygodnie jeszcze poszukiwał Turonek właściwej dla siebie drogi, zanim dojechał do Tocka.

* * *

— A co pan teraz tu u nas robi? — zapytałem po skończonym opowiadaniu.

— Widzi pan, byłem w szpitalu. Zanim zdążyłem powrócić, oddział mój wyjechał za morze. Dzisiaj jestem jak bez domu, siedzę tu i czekam na najbliższą okazję odjazdu do pułku.

— Nie mógłby pan pozostać w jakimkolwiek innym oddziale? Przecież wojsko jest wszędzie jednakie — powiadam.

— O nie, panie. To pan się myli. Dla mnie pułk dzisiaj stanowi tyle, co rodzina. Wszystko — dom, matka, siostra, ojciec, jednym słowem wszystko. A pan chce, żebym się w obcej rodzinie czuł tak samo dobrze, jak w swojej. Tu mnie może być dobrze dzień, dwa, trzy, ale im dłużej tu siedzę, tym więcej do domu chce się. Panie, gdyby mi tak pozwolono jechać autostopem, to ja najdalej za dziesięć dni, albo dwa tygodnie będę w pułku.

— Jakżeż pan przez morze pojedzie autostopem?

— Dalibóg, panie pojedę. Niech mi tylko pozwolą.

W oczach jego było tyle ognia i pewnością, że uwierzyłem.

Mnie tylko martwi — ciągnie dalej mój rozmówca — że pułk odszedł gdzieś na dalekie tyły. Mnie na front chce się.

— Przecież pan już był na froncie i wie pan co to wojna.

— Właśnie dlatego jeszcze chce się. Bo wojna, panie, dla żołnierza to jak kochanka. Jak ją raz polubisz, trudno z nią rozstać się.

Aleksander Wieliczko

Tęsknota

Tęskniąc, wyciągają piersi i ręce
ku morzom szumiącym w oddali,
gdzie słońce w bezsilnej płonąc męce
w nocej spotkań tonie fali.

Już chodzą po piaskach ostygniętych
i srebrzą swe biodra i łono.
Z morza gwiazdne łykają ostrzygi
połykając noc obnażoną.

Nie ma kochanka na ziemi,
nie ma na wodzie, na niebie.
Jak snów falami ciemnymi
zatopić świat cały i siebie.

Łodzie rybaków spłynęły,
sieci są pełne księżycą.
Dziewczyny na palce się wspięły,
i w mrok pałacy krzyczą, krzyczą...

Ave

W obronie prawa

Jako Polacy jesteśmy wszyscy ludźmi kultury łacińskiej. Zatem obrońcami prawa. Bo może najbardziej charakterystycznym dla tej kultury jest prosty „kult prawa”; prawa oderwanego i prawa, jako obiektywnej normy postępowania. obrońcami świadomego, racjonalnego prawa przed czysto intuicyjną, czy zmysłową, irracjonalną siłą — samowolną, kapryśną i ślepa.

Kto w kręgu tej kultury nie wzniósł się do wyżyn religijności i nie podporządkował nakazom prawa nadprzyrodzonego, ten z nas szuka przynajmniej obiektywnego prawa w naukach przyrodniczych, w nakazach racjonalnej etyki, a nawet flukta wydarzeń dziejowych stara się ująć w kłamry jakiejś historiozofii. Chaos, bezprawie i anarchia społeczna, to są pierwiastki chyba najbardziej obce duchowi łacińskiemu, które piętnujemy mianem nalołu ze Wschodu.

To też o ile szczeniemy się ideałami kultury łacińskiej, to obowiązują nas nie tylko przestrzeganie jej nakazów w naszym postępowaniu osobistym, ale również ich obrona na arenie publicznej, narodowej i międzynarodowej. Bo trzeba sobie jasno powiedzieć, iż ideały te są dziś szczególnie zagrożone, że w twierdzy łacińskiej grasuje znowu zaraza bizantyzmu, rozumianego, jako wschodni despotyzm jednostki, zewnętrzna formalistyka i zasadnicze bezprawie.

Pierwszy, złamany dziś, atak na zachodnią, europejską kulturę łacińską przyparli Niemcy hitlerowscy, burząc nie tylko podstawy prawa międzynarodowego, ale również i poczucie obiektywnego, niewymuszonego prawa w stosunkach wewnętrznych swego kraju. Zrzekli się nado — dość konsekwentnie — wszelkich założeń filozoficznych obiektywizmu, racjonalizmu, czy na prawie przyrodzonym opartego porządku społecznego, czerpiąc do tego natchnienie z ideologii wyrosłych w kręgu starożytnych kultur wschodnich. Przyznawali się do tego otwarcie.

Z wyraźnie nienaukowych przesłanek, zbudowali, poniekąd kunsztowny, siłą terroru spojony i kłamstwem podszyty gmach państwa militarystycznego, który miał przetrwać tysiąclecia. Nie minęły lat dziesiątki, a ustrój ten pod kilku potężnymi uderzeniami runął w gruzy, zapowietrzając jeszcze świat wyziewami wydobywającymi się spod jego ruin i zaciemniając błękit nieba obłokami ciemnego dymu i pyłu unoszącego się nad jego ruinami i zgłiszczami.

Obecnie przeżywamy okres niewojennego natarcia drugiego śmiertelnego przeciwnika kultury łacińskiej w postaci udrapowanego w rosyjski mistycyzm imperialistyczny — bolszewizmu. On również na krwawym terrorze wniósł kolosalny gmach państwowy, którego podwaliny odziedziczył po carach. Ożywił go

tylko przez dalsze rozpętanie instynktów materialistycznego barbarzyństwa. Kolos to szedzący również z wszelkiej postaci prawa nadprzyrodzonego czy przyrodzonego, natomiast ubóstwiający ślepego molocha siły, dla którego zaspokojenia złożył już hetakomby ofiar spośród własnych stronników i utajonych przeciwników. Dźwiga się on nadal z zupełną pogardą dla wszelkich wartości sponiewieranych przez siebie jednostek i ich osobowości.

Obrona cywilizacji łacińskiej przed tymi dalszymi siłami rozkładu i ich zakusami jest takim samym naszym obowiązkiem, jakim była obrona cywilizacji zachodniej przed załewem niemieckiego barbarzyństwa. I to bez względu na to, czy walkę toczy się orężnie, czy też wieść trzeba bój jeszcze bardziej gigantyczny, bo przybierający postać zmagania się duchowego. Dlatego też zdarcie w tym momencie z bolszewizmu wszelkiej zasłony obłudy i postawienie przed światem istoty jego ducha w całej nagiej jego ohydzie jest czynem odwagi cywilnej i wysokiego poczucia odpowiedzialności.

Czynu takiego dokonywa nareszcie nowo wydana publikacja pt. „Sprawiedliwość Sowiecka”*) napisana przez dwóch publicystów: Sylwestra Morę i Piotra Zwierniaka. Pokażny tom liczący 275 stron wielkiego formatu książkowego z 36 oryginalnymi rysunkami i fotografiami całostronicowymi, wykresami i rewelacyjną mapką sowieckich obozów koncentracyjnych wszelkiego typu. Ukazanie się jej przypadło w dobrej chwili, gdyż właśnie zbiegła się z zapowiedzianym przez Stalina „procesem sądowym” przeciwko 16 aresztowanym członkom polskiego rządu podziemnego i kierownikom polskich ugrupowań demokratycznych. Przyczynić się więc ona powinna do zdemaskowania tej — jeszcze jednej więcej — farsy „sowieckiej sprawiedliwości”.

Cóż bowiem składa się na ten tom, wobec którego „brunatna księga” antyhitlerowska z procesu o podpalenie Reichstagu w 1933 r. wydaje się nabierać różowego odcienia, pomimo wszelkich okropności, jakie zapoczątkowała, a z którymi mógł się niedawno zapoznać naoecznie cały świat — dopiero po zwycięstwie nad Niemcami? Mówiąc krótko składa się nań kilkaset spośród wielu tysięcy zeznań zesłańców i więźniów ze wszystkich chyba miejsc kaźni na rozległych obszarach imperium sowieckiego. A nado to wstępni, w którym materiały te zostały przeanalizowane, skonfrontowane, sklasyfikowane, skomentowane i zilustrowane, tak, aby dawały wierny choć nawet trochę scieniony obraz rzeczywistych

*) Sylwester Mora i Piotr Zwierniak: „Sprawiedliwość sowiecka”. Włochy, 1945. Str. 176 i 2 mapy.

stosunków prawnych w Rosji sowieckiej. Scien-
niowany dlatego, że jakby zdawało się, iż
podanie całej prawdy mogłoby odbiegać zbyt
daleko od pojęć zachodnio-europejskich, aby
nie budzić podejrzeń o przesadę.

Jak z tego widać w konstrukcji swej książ-
ka ta przypomina pracę Władysława Kani pt.
„Religia i bolszewizm”. Tym razem jednak
rozpatrzona została taka sfera spraw społecz-
nych, które bodajże jeszcze bardziej kontras-
tują z rzeczywistością i poglądami panujący-
mi na Zachodzie. Zamiast streszczać ją po-
staraliśmy się ująć jej zasadniczą problematykę.
Okazuje się bowiem, że ona dopiero pozwala
dobitnie uświadomić sobie, jaka jest w ogóle
istota sprawiedliwości, istota prawa.

A więc, iż sprawiedliwość, tak jak ją poj-
muje Zachód, opiera się na głębokim prze-
świadczeniu, iż istnieje pewien obiektywny,
optymalny porządek etyczny, który prawo w
zakresie swych niedoskonałych, ludzkich me-
tod wymiaru sprawiedliwości, stara się bronić
w imię prawdy, słuszności i dobra publicz-
nego.

Natomiast „sprawiedliwość”, tak jak jest
rozumiana przez totalistyczne Sowiety, jest
tylko środkiem walki w obronie panującego
ustroju politycznego, opiera się na wierze w
rację bytu jego reżymu i w skuteczność me-
tod przemocy, zaledwie niekiedy przystroj-
nych w pozory form prawnych, tak jak są
one rozumiane na Zachodzie.

Już z tak skrótego zestawienia widać, iż
różnica jest tak zasadnicza, że właściwie nie
nie uzasadnia używania w obu tych wypad-
kach tego samego terminu „sprawiedliwość”.
Jest to nadużycie mowy ludzkiej, którego czel-
ność ginie tylko wobec potworności naduży-
cia rzeczowego, jakie kryje się za słowami.
Pomimo tych obston, wyniki do jakich pro-
wadza te nadużycia, są wystarczające naoczne,
iż winnyby dostatecznie potępiać samą meto-
dę i wyrokować na rzecz zachodnio-europej-
skiego sposobu pojmowania prawa, jako je-
dynie tu słusznego, z punktu widzenia rozwo-
ju humanitarnej kultury, opartej na szczyt-
nych ideałach chrześcijańskich.

Nie mniej nie powinniśmy się cofnąć przed
postawieniem pytania, czy może istnieć ustrój,

w imię obrony którego wołno dopuszczać się
takiego barbarzyństwa, w imię którego należy
zrezygnować z wszelkich wymagań humanita-
ryzmu, i obrony wartości indywidualnych czło-
wieka? Wszystkie dotychczasowe doświadcze-
nia — wraz z hitlerowskim, faszystowskim,
czy leninowsko-stalinowskim — wykazują, iż
takiego ustroju właściwie być nie może i że
państwo-moloch podporządkowujące sobie
zupełnie życie jednostki już całkowicie — w ka-
tegoriach ideowych i moralnych — zbankruto-
wało, choć jeszcze się może bronić materialnie
jakiś czas. Póki wreszcie nie zwycięży idea
przeciwna — prawa do obrony przez wolne
jednostki podstawowych, kulturalnych i po-
litycznych, wartości życia narodowego, któ-
rych żywymi symbolami są niezależne pań-
stwa w służbie swych zbiorowości.

Możność wyciągania tak ogólnych syntez z
tej książki świadczy o jej istotnej wartości.
Tymbardziej, że jest to książka, która jakkol-
wiek jest niewątpliwie niepozbawiona wartości
czysto propagandowych, ma tę cechę, iż jest pi-
sana z wielkim umiarem w tonie i z widoczną
chęcią zachowania jak największego obiekty-
wizmu. A to właśnie odpowiada postulatowi
dobrej propagandy, która winna spełniać swe
zadanie nie budząc nieufności, jaka rodzi się
u czytelnika, jeśli tylko powstanie w nim po-
dejście, iż autor nie miał w swej pracy
czysto rzeczowych względów na oku.

Wartość naukowo - publicystyczną książki
podnoszą różne rejestry i skorowidze dodane
do tekstu. Szkoda więc tylko, że nie zdobyto
się na opracowanie zwykłego rejestru rzeczowe-
go pojęć, któryby ułatwił korzystanie z niej w
poszczególnych wypadkach konkretnych.

„Sprawiedliwość sowiecka” okazała się w ję-
zyku polskim w chwili, gdy toczył się proces
16-tu Polaków w Moskwie, który z gorzką iro-
nią nazwać by wypadało: pierwszym procesem
przeciwko „zbrodniarzom wojennym”, choć w
rzeczywistości na ławie oskarżonych postawieni
zostali zupełnie bezprawnie nie siepacze tota-
listycznych morderców, lecz bohaterscy kierow-
nicy pierwszego państwa podziemnego, zwabi-
ni podstępem.

Pen

Konkurs na przebudowę pomnika Marszałka Piłsudskiego w Rzymie

Dowódca 2 Korpusu rozpisuje konkurs
na szkicowy projekt przebudowy pomnika
Marszałka Piłsudskiego na Viale Piłsudski
w Rzymie.

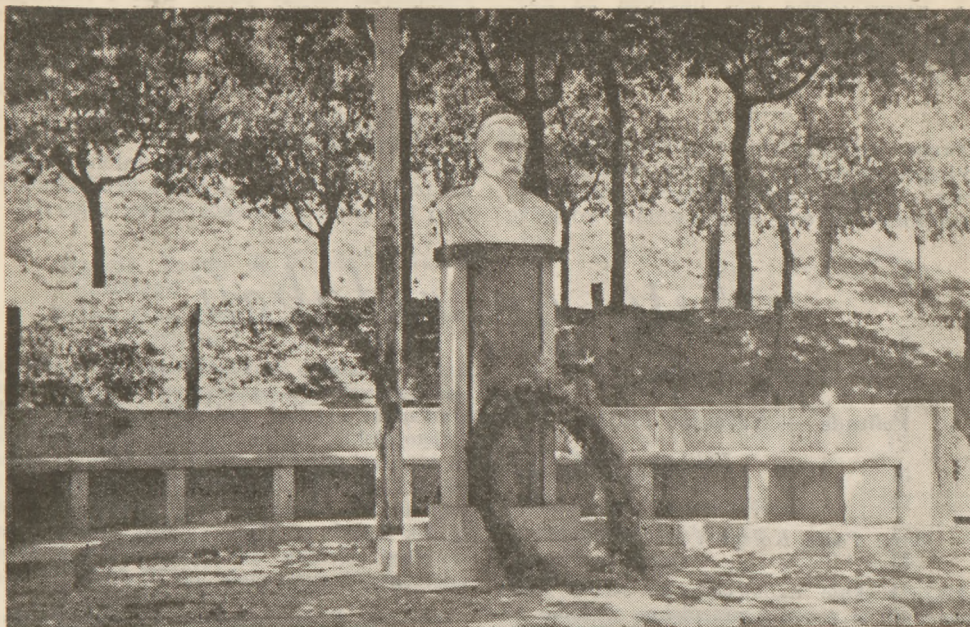
Celem rozpisanego konkursu jest uzyska-
nie najlepszego rozwiązania oprawy archi-
tektonicznej dotychczasowego pomnika,
któraby nadała godniejszy i bardziej
reprezentacyjny wygląd obecnemu po-
piersiu Marszałka, a równocześnie pozostawienie

pamiętki pobytu żołnierza pol-
skiego walczącego na ziemi włoskiej.

Warunki konkursu

1. Projekt powinien tematycznie odpowia-
dać przewidzianemu napisowi dedykacyjne-
mu: „Żołnierze 2 Korpusu w hołdzie Mar-
szałkowi Piłsudskiemu w drodze z ziemi
włoskiej do polskiej”.

2. Materiał — trawertyn, marmur, brąz.



Pomnik Marszałka Józefa Piłsudskiego w Rzymie

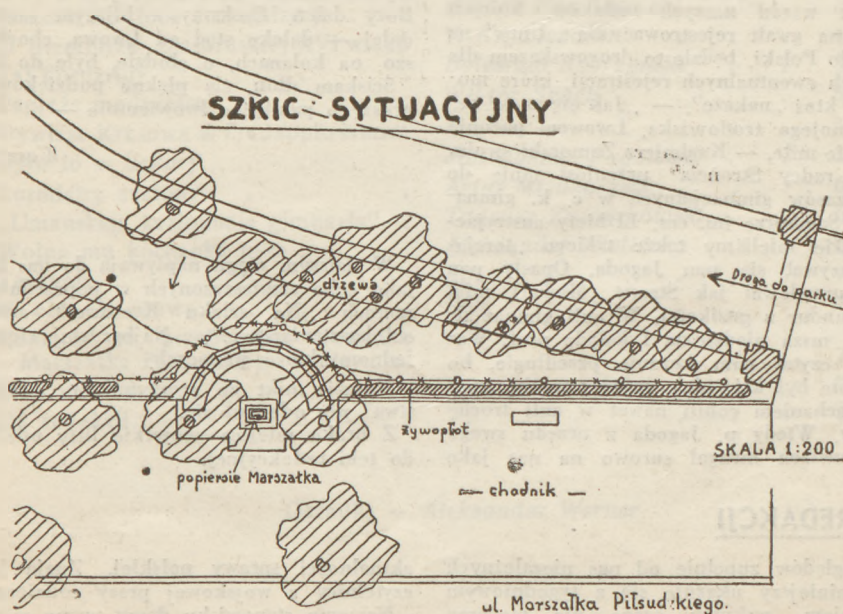
(Fot. W Boruta)

3. Szkic projektu w skali 1:25 winien być wykonany na papierze gładkim, w ołówku lub piórkiem.

4. W projekcie nie należy przewidywać zmian otoczenia — (wycinanie drzew) lub linii regulacyjnych ulic.

5. Projekt powinien przewidywać koszt wykonania nie przekraczający 1.000.000 lirów.

6. W konkursie mogą brać udział tylko żołnierze 2 Korpusu i obywatele polscy przebywający na terenie Włoch.



7. Przewidziana jest nagroda za najlepszy projekt w wysokości 10.000 lirów.

8. Termin nadsyłania prac na konkurs do dnia 15 lipca 1945 r.

Prace konkursowe odpowiadające powyższym warunkom, należy nadsyłać do K-dy Miasta Rzym. Prace winny być oznaczone godłem, a w osobnej kopercie

zamkniętej należy podać imię i nazwisko projektodawcy. Projekty będą rozpatrzone przez jury, powołane z grona architektów, rzeźbiarzy i plastyków przez Komendanta miasta Rzym, a wynik konkursu będzie ogłoszony w prasie po zatwierdzeniu przez Dowódcę 2 Korpusu.

Nadesłane, a nie uwzględnione prace przez jury, zostaną zwrócone projektodawcom bez prawa jakiegokolwiek regresu.

Listy do redakcji

Małek Mieczysław
Polish Camp
Valivade — Kolhapur, India.

Valivade, 12. V. 1945.

Drogi Panie Kolego i Redaktorze!

Jakże pięknie wydajecie „Na szlaku Kresowej” — to przecież przepiękne wydanie — artykuły pierwszej klasy — dziś otrzymałem pocztą od Kochanego Pana Nr. 2-3. Przepięknie Perkowicz napisał o drogiej pamięci Dziadka naszego, Zahorski prawdę dał o Sosnkowskim, doskonały artykuł; Charkiewiczowi dałbym gębę i uścisk dłoni serdecznej za „Wilno i Lwów”, nasze kochane miasta. Artykuł „Nieszczęsne bagna Prypeci” Ciolka nadaje się do osobnej publikacji w języku angielskim, francuskim, jako propagandowy nasz polski argument rzeczowy i z wielkim znawstwem materiału napisany. M.M. napisał doskonale o Turcji; „W sprawie rodzin” posłuży tu wśród naszych rodaków, których chciano na gwałt rejestrować dla „Unry” na wyjazd do Polski, będzie to drogowskazem dla przyszłych ewentualnych rejestracji, które może znów ktoś „nakaże”. — „Jak się masz Seńcio” z mojego środowiska, Lwowem pachnie i dla mnie miłe, — Kazimierz Zamorski swoim „Mistrz radcy Strońcia” przeniósł mnie do moich czasów gimnazjalnych w c. k. gimnazjum w Samborze im. ces. Elżbiety austriackiej, gdzie mieliśmy także takiego „tercjana”. Nazywał się pan Jagoda. Opasły pan tercjan urzędował jak Strońc (Michał), miał także mundur z guzikami. W auli gimnazjalnej była msza niedzielna i ksiądz prof. Walewicz czytał nam kazanie przedługie, bo mównicą nie był księżulek, myśmy trochę zmęczeni słuchaniem robili nawet w auli trochę psikusów. Wtedy p. Jagoda z urzędu swego przy drzwiach mrugał surowo na nas jako

zastępca samego p. dyrektora. Zona p. Jagody sprzedawała na przerwach na korytarzu studentom rogaliki, bułeczki z szynką, rożki świętojańskie, jabłka za 1-2 centów — było to w roku pańskim 1905, gdy zdawałem maturę. Ten artykuł nasunął w mojej głowie wspomnienia bujnej mojej młodości i żal, że tak minęła szybko — a dziś, psiakrew, aż się pieni człowiek, gdy słyszy co „nasi sprzymierzeńcy i przyjaciele ze Wschodu” robia.

Kochany Panie Kolego, czy mógłbym zdobyć dla Lwowa, by przywieźć dla biblioteki czy to miejskiej, czy zbiorów Orzechowicza (obok głównej poczyty) — komplety „Na szlaku Kresowej”? Piszecie, że 21 numerów wyszło, to znaczy brak mi byłoby 20 numerów, czy i o dalsze mogę prosić i jak się w Wasze serce dobre wepchnąć, aby dać o prawie komplet i hajda z nim do Lwowa!

U nas duszno, parno, gorąco tropikalne, zdecydować trzeba z potów — czekamy za 2 tygodnie pory deszczowej, a trwa 4 miesiące — będzie lato, lato jak z cebra — ale to lepsze, aniżeli takie poty, jak w łaźni, cały Boży dzień. Czekamy z bijącym sercem co dalej — daleko stąd od Lwowa, choćby pieczo, na kolanach, o głodzie, hyle do Lwowa.

Ściskam dłoń, śle piękne podziękowanie i proszę o pamięć o lwowianinie —

Wasz Małek.

W dalszym ciągu napływają do nas listy — jako echo zamieszczonych w poprzednich numerach „Na szlaku Kresowej” artykułów o „kasztaniarstwie”. Najbardziej cieszy nas jedynomyślność piszących.

Narazie nikt ze zwolenników „kasztaniarstwa” nie odezwał się.

Z braku miejsca wszystkie listy odkładamy do teki redakcyjnej.

OD REDAKCJI

Ze względów zupełnie od nas niezależnych numer niniejszy ukazuje się z tygodniowym opóźnieniem, wskutek czego nie możemy omówić nowych wydarzeń politycznych i

aktualności sprawy polskiej. Znają je nasi czytelnicy z wojskowej prasy codziennej.

Naszemu stanowiisku damy wyraz w następnym numerze „Na szlaku Kresowej”.

SPIS TREŚCI

	Str.
Oreǳie Rządu R. P. do Narodu Polskiego	3
Polish Government Appeals to the Polish Nation	6
Appello del Governo Pollacco	8
Uchwały Rady Jedności Narodowej w Kraju	11
Tylko z bronią w ięku!	12
Po moskiewskim szantażu.	14
Ciała	17
O kulturę zachodnią	17
Czarna śmierć	18
O dynamicznych ideach	19
Niemcy „walczą“ w Warszawie.	21
U braci nad Adriatykiem	23
Za demokratycznym parawanem	27
Sytuacja na kontynencie azjatyckim	32
Ostateczne stadium.	33
Blisko dna	34
Lwów — serce gorejące Polski.	37
Sprawa Stanisława Brzozowskiego	39
Homer (tłumaczenie z włoskiego)	43
Omero	43
Ignacy Jan Paderewski	44
Jeszcze o sztuce i cywilizacji	45
O literaturze białoruskiej XVI wieku	49
Żal Fornariny	54
Papieże medycejscy	55
Dywizja Kresowa w Fredappio Nuova	56
Było to w Szkocji.. . . .	58
Burmistrz szalony	60
„Umanskaja kazionnaja gimnazja“	61
Wojna mu kochanką była	64
Tęsknota	70
W obronie prawa.	71
Konkurs na przebudowę pomnika Marszałka Piłsudskiego w Rzymie.	72
Listy do redakcji.	74
Od redakcji	74

W Y K A Ź

wydawnictw książkowych Oddziału Kultury i Prasy 2 Korpusu

1. Konstytucja R. P. z przedmową R. Piestrzyńskiego L. 30
2. Geopolityka, Strategia i Granice — R. Wraga L. 30
3. Z doświadczeń przeszłości — Łukasiewicz L. 12
4. Rok 1863 — J. Piłsudski L. 20
5. Polskim szlakiem cz. II — J. Pilatowa L. 100
6. „ „ „ cz. III „ „ „ L. 140
7. Wrześniowym szlakiem — J. Łużyc L. 100
8. Skrócony podręcznik języka włoskiego L. 25
9. W marszu — Sandelewski i Dyląg L. 50
10. Kalendarz Żołnierza Polskiego A.P.W. L. 20
11. Legnickie Pole — Z. Kossak-Szczucka L. 100
12. Przewodnik po Włoszech L. 20
13. Modlitewnik Grek. Kat. L. 100
14. Album z pobytu Naczelnego Wodza na Wschodzie L. 40
15. W Laboratorium radości życia — Dr. W. Szaryński L. 35
16. Azja i Afryka — Antologia — J. Bielatowicz L. 100
17. Album Monte Cassino — Z. Turkiewicz L. 220
18. Wspomnienia Starobielskie 2 nakł. — J. Czapski L. 50
19. Przewodnik serdeczny — B. Kобрzyński L. 40
20. Artykuły A. Bocheńskiego — A. Bocheński L. 50
21. Wracające Zagłębie — J. Wedow L. 40
22. Prosta jak sosna wyrosnąć — J. Olechowski L. 40
23. Polskim szlakiem T. I. — J. Pilatowa L. 60
24. 150-lecie Rzezi Pragi — M. Grydzewski L. 10
25. O powołaniu nowego pokolenia — J. Brzoza L. 10
26. Rozmowa z Księżcem — J. Zywna L. 40
27. Pamiętniki Murawiewa L. 55
28. Wolność Tragiczna — K. Wierzyński L. 60
29. Nurt — W. Berent L. 100
30. Album Fotog. Monte Cassino — W. Ostrowski L. 220
31. Cele Wojenne Polski — A. Prager L. 75
32. Dzieje Rodziny Korzeniowskich — M. Wańkowicz L. 50
33. O Rewolucji — R. Wraga L. 40
34. Wojna Rosyjsko-Niemiecka — R. Wraga L. 65
35. Tajfun — J. Conrad L. 60
36. Czerwone Djabły — M. Święcicki L. 60
37. Polska a Kapitalistyczna Interwencja w Stosunku do ZSRR. — B. Andreus L. 40
38. Kraj bez Quislinga — Stefan Tadeusz Norwid L. 100
39. W cieniu zapomnianej olszyny — Juliusz Kaden-Bandrowski L. 75
40. Żywi i umarli Gustaw Herling - Grudziński L. 40
41. Kamienie na szaniec — J. Górecki L. 50
42. Ludzie sponiewierani — H. Naglerowa L. 60
43. Opowieści o Szwejku — Wacław Solski L. 80
44. Smocza 13 — S. Zahorska L. 50
45. Polskie doświadczenia powstańcze — Zagóńczyk L. 20
46. Wkład Polski do 2 wojny światowej — H. Piątkowski L. 10

UWAGA: Poz.: 1, 2, 3, 4, 7, 8, 9, 10, 11; 14, 23 — wyczerpane.

